WYDANIE SPECJALNE NA NOWY ROK

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 1/508 8 STYCZNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- Święta wojna Władimira Putina?
- Wielka korupcja w Parlamencie Europejskim
- Kto naprawdę rządzi Kościołem
- Józef Orzeł odsłania kulisy Zjednoczonej Prawicy
- Krzysztof Masłoń o najlepszej polskiej książce XXI w.
- Feministki śpieszą na ratunek czarownicom

PROGNOZY NA ROK

2023

CHIŃSKI MODEL ZAMORDYZMU

Czy świat się mu podda?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 01 >
Nakład: 53 500 egzemplarzy

- ZIEMKIEWICZ I FIEDORCZUK: Jak się potoczy wojna na Ukrainie
- SEMKA: Kto wygra wybory do Sejmu i Senatu
- WARZECHA: Co z polityką Warszawy wobec Brukseli

eprasa.pl 86d441b100

ALIOR BANK

KONTO JAKŻE OSOBISTE

WSZYSTKICH KRĘCI 2% ZWROTU ZA PŁATNOŚCI MOBILNE

www.aliorbank.pl

Oferta specjalna „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%" trwa od 1 grudnia 2022 r. do 28 lutego 2023 r. i jest skierowana do klientów, którzy posiadają lub otworzą Konto Jakże Osobiste z aktywną korzyścią Zwrot za Zbliżeniowe Płatności Mobilne. Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne w trakcie trwania oferty specjalnej wynosi 2% wartości płatności bezgotówkowych wykonanych w sklepach stacjonarnych z użyciem Google Pay, Apple Pay, Fitbit Pay, Garmin Pay, SwatchPAY!, Xiaomi Pay oraz usługi BLIK, nie więcej jednak niż 50 zł w miesiącu kalendarzowym. Do płatności zbliżeniowych Apple Pay, Google Pay, SwatchPAY!, Garmin Pay, Xiaomi Pay lub Fitbit Pay jest wymagane urządzenie obsługujące tę funkcję. BLIK zbliżeniowy jest dostępny w telefonach z Androidem 6.0 (lub nowszym) oraz aktywną usługą NFC. Szczegółowe warunki oferty znajdują się w regulaminie oferty specjalnej „Zwrot za zbliżeniowe płatności mobilne do 2%" dostępnym na stronie www.aliorbank.pl. Aplikację Alior Mobile można pobrać bezpłatnie na telefon ze sklepów App Store (iOS), Google Play™ (Android™) lub AppGallery (dla urządzeń Huawei). Android, Google Pay i Google Play to znaki towarowe Google Inc. Nie pobierzemy opłaty 10 zł za prowadzenie konta, jeśli w danym miesiącu kalendarzowym na konto wpłynie jednorazowo min. 1500 zł z innego banku lub z konta firmowego w naszym banku (jako wpływ nie są traktowane przelewy z rachunków Kantoru Walutowego Alior Banku należących do klientów indywidualnych i biznesowych) lub jeśli nie masz ukończonych 26 lat. Dwie korzyści są bezpłatne, każda kolejna kosztuje 3,50 zł miesięcznie. Korzyść wybrana do konta będzie aktywna od następnego dnia. W przypadku rezygnacji z korzyści przestaje być ona aktywna pierwszego dnia kolejnego miesiąca kalendarzowego. Szczegółowe informacje znajdują się w Taryfie Opłat i Prowizji Alior Banku SA dla Klientów Indywidualnych, Regulaminie rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych, oszczędnościowych i terminowych lokat oszczędnościowych, Regulaminie kart płatniczych Alior Banku SA, Regulaminie korzyści do Konta Jakże Osobistego oraz w Regulaminie korzystania z kanałów elektronicznych dla Klientów Indywidualnych. Zastosowane w niniejszym materiale pojęcia oznaczają zgodnie z wykazem usług reprezentatywnych: prowadzenie konta – prowadzenie rachunku płatniczego, Alior Mobile – usługa bankowości elektronicznej. Stan na 1.12.2022 r.

eprasa.pl 86d441b100

W RZECZY SAMEJ

Chiński model Klausa Schwaba

PAWEŁ LISICKI

Najbardziej przygnębiającą nauką, jaką sam wyciągam z doświadczenia ostatnich kilku lat, jest ta, że wystarczy użyć odpowiednich, prostych bodźców, a ludzie wyrzekną się swoich podstawowych praw. Dotyczy to przede wszystkim mieszkańców Zachodu. Środki, które powszechnie stosowały liberalne państwa w walce z tzw. pandemią COVID-19 – masowe lockdowny, szantaż emocjonalny i moralny, nagonki i szczucie jednych przeciw drugim, system kar i nadzoru wobec nieposłusznych i niesfornych, wreszcie wykorzystanie „wolnych" mediów jako maszynki propagandowej do wzbudzania strachu – przypominały postępowanie reżimów autokratycznych. Tymi, którzy najchętniej sięgali po te narzędzia, nie byli afrykańscy dyktatorzy republik bananowych, ale tzw. przywódcy wolnego świata, na czele z prezydentem USA Joe Bidenem, premierem Kanady Justinem Trudeau czy prezydentem Francji Emanuelem Macronem.

Wszystko to razem prowadzi do przekonania, że największym współcześnie zagrożeniem dla wolności człowieka jest globalny zamordyzm. W imię zdrowia i życia można całkowicie odebrać ludziom zdrowy rozsądek i poddać ich totalnej kontroli. Światowi liderzy nawet takich planów nie ukrywają. Nie jest zatem przypadkiem, że jeszcze na początku 2022 r. w Davos Klaus Schwab, założyciel i przewodniczący Światowego Forum w Davos, ktoś, kogo śmiało można nazwać organizatorem, menedżerem i administratorem powszechnej wyobraźni, ogłosił, że prawdziwym wzorcem i modelem do naśladowania są dzisiaj Chiny. Bez zastrzeżeń chwalił postawę Xi Jinpinga i twierdził, że „potrzebujemy silniejszej globalnej agendy, aby rozwiązać wszystkie problemy, z którymi wszyscy się borykamy. Pandemia tej wielkości pokazała nam, że nie możemy sami rozwiązywać problemów, potrzebujemy dialogu i współpracy. Jestem wdzięczny, że przewodniczący Xi nadal przedstawia na naszej platformie spójne stanowisko". Ani słowa o powszechnej w Chinach inwigilacji, o nieludzkim systemie przyznawania obywatelom punktów za posłuszeństwo wobec władzy, o prześladowaniach inaczej myślących i inaczej wierzących.

To nie wszystko. Ten sam Schwab w listopadzie 2022 r. nie mógł się wręcz nachwalić Xi. W specjalnym wywiadzie dla chińskiej państwowej sieci telewizyjnej CGTN podlizywał się komunistom w Pekinie ile wlezie. Według niego to Chiny są „głównym pozytywnym bohaterem wizji »Wielkiego Resetu« kapitalizmu, który ma zaprowadzić »świat jutra«". Schwab mówił to krótko przed wybuchem wielkiej fali buntu społecznego w Chinach. Okazało się, że nawet potulni, grzeczni i zawsze posłuszni Chińczycy nie wytrzymali szaleństwa partii i Xi, który to w ramach polityki zero-COVID zamykał całe miasta i regiony, wierząc, że tak pokona niechcianego wirusa. Wszystko to, powtarzam, Schwabowi nie przeszkadzało.

Czy zatem globalna walka z pandemią była jedynie swego rodzaju rozgrzewką lub poligonem, na którym władze sprawdzały gotowość do społecznego oporu? To całkiem możliwe. Wynikałoby z tego, że zamiast walki z pandemią pojawią się wkrótce inne pomysły dyscyplinowania, nadzorowania i reglamentowania wolności. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że w roli straszaka „pandemię" zastąpi „walka z globalnym ociepleniem". Okaże się, że – jak to wdzięcznie zdefiniowali liderzy „wolnego świata" – moja wolność kończy się tam, gdzie zagraża ona drugiemu. Rozciągając pojęcie „zagrożenia" w nieskończoność – może to być po prostu korzystanie z samochodu albo jedzenie mięsa, albo oddychanie – będzie można ogłaszać kolejne kampanie propagandowe.

Jeśli Chiny są współczesnym modelem i wzorcem do naśladowania, to nowy globalny ład po prostu stanie się starym utopijnym zniewoleniem. Dlatego zwycięstwa idei Wielkiego Resetu ani sobie, ani Państwu w 2023 r. nie życzę! Zresztą w żadnym następnym też nie. ©℗

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 9 STYCZNIA 2023 R.

eprasa.pl 86d441b100

TEMAT TYGODNIA

12 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM
WSZYSTKIE TWARZE XI JINPINGA
Komunista czy nacjonalista?

16 WOJCIECH GOLONKA
CHIŃSKI KURS?

20 JAN FIEDORCZUK
W STRONĘ NOWEJ JAŁTY

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
AMERYKA NIE ODPUŚCI

24 PIOTR SEMKA
W CIENIU STAREGO DYLEMATU

26 ŁUKASZ WARZECHA
WIELKA KAPITULACJA

KRAJ

28 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
DIABELSKA ALTERNATYWA
Czeka nas brutalna kampania wyborcza

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
CZY OJCZYZNY TRZEBA BRONIĆ?

34 TOMASZ ROWIŃSKI
FANATYZM ŚWIECKOŚCI PRZECIWKO OBRONIE CHRZEŚCIJAN

36 ROZMOWA Z ROBERTEM KOSTRO
WOLNOŚĆ I TOŻSAMOŚĆ

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BRYLANTOWA TAMARA
Biografia malarki

42 ROZMOWA Z PIOTREM KITRASIEWICZEM
OKO KAMERY II RZECZYPOSPOLITEJ

46 PIOTR GOCIEK
WYZNANIA KUGLARZA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM KUCHARCZYKIEM
TOTALITARYZM JEST ZAWSZE NOWOCZESNY?
Wokół najnowszej książki prof. Kucharczyka

58 PAWEŁ CHMIELEWSKI
„JEZUICKI SZWADRON" W WATYKANIE

HISTORIA

60 JACEK KOMUDA
BESKIDNICY KONTRA HARNICY
Legendarni zbójcy

64 TERESA STYLIŃSKA
KAPELUSZ, KOCIOŁEK, MIOTŁA I KOT

ŚWIAT

70 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŚWIĘTA WOJNA PUTINA
Prawosławny stalinizm i rosyjski dżihad

74 JAN BOGATKO
CHIŃSKI PROBLEM NIEMIEC

78 ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM GRZEGORZEM GROSSE
WIELKA KORUPCJA W PARLAMENCIE EUROPEJSKIM

EKONOMIA

82 OLIVIER BAULT
WIELKA BRYTANIA NIESTETY BEZ ŻELAZNEJ DAMY
Kryzys na Wyspach

86 JAKUB WOZIŃSKI
SOCJALTURYSTYKA

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
GENERACJA BEZPŁCIOWYCH
„Piękno płynności płci"

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (68), PRZYBYLSKI (76), GABRYEL, WARZECHA (85), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), NOWAK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 86d441b100

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Kevin Frayer/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 53 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Weto prezydenta. Mamy prawo wiedzieć

15 grudnia 2022 r. Pan Andrzej Duda, prezydent RP, poinformował, że podjął decyzję i nie podpisze Ustawy o zmianie ustawy – Prawo oświatowe oraz niektórych innych ustaw (potocznie „lex Czarnek"). Jak podała Kancelaria Prezydenta na oficjalnej stronie (Prezydent.pl – strona główna – prawo – ustawy zawetowane), uzasadnił m.in. tym, że napłynęły 133 listy protestacyjne, niektóre z nich są podpisane nawet przez kilkadziesiąt organizacji.

Zarówno w dniu decyzji, jak i w ciągu następnych dni Kancelaria Prezydenta nie opublikowała, w ślad za informacją podaną przez prezydenta, listy owych 133 protestujących.

Zarówno ja, jak i pozostali obywatele RP mamy prawo poznać tych, którzy mieli tak wielki wpływ na bardzo poważną część polityki państwa.

Podejrzewam – nie bez powodu – że te 133 organizacji protestujących to w większości, w istocie, jedna organizacja w kilku osobach, występująca w różnych sprawach pod różnymi nazwami. Dodatkowo – finansowanych z jednego źródła…

Chciałbym to zweryfikować. Nie będzie to możliwe, jeżeli Kancelaria Prezydenta nie zrealizuje mojego prawa do informacji…

Sławomir Siwek

Opiekuńczość Niemiec

Szanowna Redakcjo!
[…] Nie można wykluczyć, że jest to element deklarowanego już od pewnego czasu wielkiego planu Niemiec, czy raczej potwierdzenie realizacji tego planu, wzięcia „odpowiedzialności Niemiec za Europę". Tak poważna deklaracja troski o całą Europę nie może być przecież pustosłowiem deprecjonującym powagę wielkiego państwa. W takim ujęciu wybuch w Przewodowie nie mógł pozostać bez reakcji państwa czującego się odpowiedzialnym za Europę, a więc i za Polskę. To niejako w zasadzie bezkonfliktowa okazja, wręcz uzasadnienie do podjęcia kroków do realizacji przydanej sobie samodzielnie przez same Niemcy misji obrony Europy. Oczywiście nie chodzi tu o sam wybuch w Przewodowie, w tle są zbrodnicza Rosja, mordowana Ukraina, domniemywana możliwość napaści Rosji na państwa ościenne (w tym Polskę). Okoliczności te stanowią dostateczne uzasadnienie dla podjęcia konkretnych działań Niemiec w ramach przyjętej przez siebie odpowiedzialności za Europę.

Ocieplenie wzajemnych stosunków między Warszawą a Berlinem jako uzasadnienie do podjęcia przez Niemcy działań może stanowić pożądaną wartość. Ale czy „obrońcy Europy" muszą o to ocieplenie zabiegać? Dla samego ocieplenia? Oni przede wszystkim realizują obrany cel. Jakie są motywy tego samowolnego przyjęcia odpowiedzialności Niemiec za Europę, kto i na jakich warunkach jej oczekuje – to kluczowy, ale osobny temat. Zwróćmy uwagę, ile zabiegów Polska czyniła i czyni nadal, aby żołnierze amerykańscy trwale w zwiększonej liczbie przebywali na ziemi polskiej, ile Polska ponosiła i nadal ponosi kosztów z tym związanych, a, proszę, Niemcy sami, z własnej woli, jak mniemam, nawet nieproszeni przez stronę polską, chcą poprzez użyczenie rakiet Patriot bezpośrednio, jak Ameryka (zachowajmy proporcje), bronić granic wschodnich NATO (czytaj: Polski), gdzieś na terytorium Polski. Nie wiemy wprawdzie, na jakich warunkach użyczane mają być rakiety Patriot (np. na jaki czas), kto i jakie będzie ponosił koszty z tym związane (nie mam wątpliwości, że Niemcy tych elementów nie pominą), są to jednak kwestie drugorzędne. Cel jest nadrzędny.

Oczywiście deklaracje (propozycje) innych państw dotyczące wzmocnienia obronności naszego kraju należy przyjmować z szacunkiem, a także – stać nas na to – z rozwagą. Nie należy unikać odpowiedzi na rodzące się pytania, dlaczego Niemcy w sam raz dopiero na tym etapie wojny na Ukrainie, w sytuacji, że podobno mamy już prawie najsilniejszą armię w Europie, oni sami mają kłopoty z wyposażeniem swojej armii (czyżby?), z własnej inicjatywy troszczą się o nasze bezpieczeństwo. Rozważenie wszystkich okoliczności za i przeciw to obowiązek rządzących. Jedne problemy wymagają szybkich decyzji, inne niekoniecznie, nawet w sytuacji zagrożenia. […]

T.A.

eprasa.pl 86d441b100

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Braterska troska

Z racji agresji Putina na Ukrainę czy dolegliwej inflacji rok 2022 nazywany bywa „annus horribilis", czyli rokiem nieszczęść. Ja jednak chciałbym ostatnie 12 miesięcy zakończyć akcentem podnoszącym na duchu. Aktem odwagi chrześcijańskiej jest list „braterskiej troski" z lutego przewodniczącego Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego w sprawie niemieckiej „drogi synodalnej" do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec bp. Georga Bätzinga.

Metropolita poznański podzielił swój list pasterskiej troski na pięć części, każda z nich wyraża przestrogę przed pokusami, które potrafią nurtować współczesnych katolików. Pierwsza pokusa to szukanie pełni prawdy poza Ewangelią. Arcybiskup Gądecki przypomina dzieło Thomasa Jeffersona, amerykańskiego prezydenta, który stwierdził, że ewangelie zawierają zdania mądre i wzniosłe, które pochodzą od Jezusa, a także zdania w jego opinii głupie i trywialne, które uznał za pochodzące od niewykształconych apostołów.

Kolejna przestroga to pokusa wiary w nieomylność nauk społecznych. Polega ona na założeniu, że jeśli coś w Ewangelii nie zgadza się z aktualnym stanem wiedzy w tych naukach, to trzeba zaktualizować Ewangelię – aby uchronić boskiego mistrza przed kompromitacją w oczach współczesnych. Zapomina się jednak, że stan wiedzy naukowej zmienia się często i niekiedy w sposób diametralny. Dotyczy to dziś szczególnie tzw. sfery tożsamości seksualnej.

Trzecia pokusa to życie z kompleksem niższości. Zjawisko relatywizowania lub ukrywania swojej chrześcijańskiej tożsamości i przekonań religijnych w obliczu coraz bardziej niechętnego wierze życia publicznego.

Czwarta pokusa to kopiowanie życia korporacyjnego. Jak pisze abp Gądecki: „Mam świadomość, że Kościół w Niemczech systematycznie traci wiernych, a liczba kapłanów z roku na rok się zmniejsza [...]. [Kościół] staje w tym zakresie wobec ryzyka myślenia korporacyjnego: »brakuje pracowników, obniżmy kryteria wyboru«. Stąd postulat zniesienia obowiązku kapłańskiego celibatu. A także uleganie presji na udzielanie błogosławieństw związkom osób tej samej płci".

I wreszcie ostatnia pokusa ulegania presji.

List abp. Gądeckiego nie wywołał szerszej dyskusji w Niemczech. Poświęcono mu parę krótkich notek w wewnętrznych periodykach kościelnych. Co więcej, biskupi niemieccy zaangażowani w proces zmian z zapałem godnym lepszej sprawy wskazywali, że Gądecki napisał list tylko w swoim imieniu, a nie w imieniu Episkopatu Polski. To prawda, tyle że jest to wskazówka, że także w Episkopacie Polski znalazłaby się frakcja, która byłaby przeciwna tak odważnemu stawianiu sprawy. Zresztą jest znaczące, że z inicjatywą listu nie wystąpił zespół biskupów ds. kontaktów z Episkopatem Niemiec, w którym najwyższy kardynalską rangą jest np. abp Kazimierz Nycz, a przewodniczącym zespołu jest bp Jan Kopiec.

Nie zmienia to faktu, że list abp. Gądeckiego ma walor prorocki. Rzadko używam tego określenia, ale w tym wypadku jest ono jak najbardziej trafne. Jego diagnoza pokus, przed którymi stoją katolicy w Niemczech, pasuje do sytuacji w wielu krajach Zachodu i coraz bardziej opisuje sytuację Kościoła w Polsce. ©℗

FOT. OLIVER CONTRERAS/CNP/DPA/PAP

ZEŁENSKI ZA OCEANEM

– Wbrew wszelkim przeciwnościom i mrocznym scenariuszom Ukraina nie upadła. Ukraina żyje i walczy. I daje mi to powody, by podzielić się z wami naszym pierwszym wspólnym zwycięstwem: pokonaliśmy Rosję w walce o umysły świata – powiedział przed Kongresem prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. – Musimy pokonać Kreml na polu bitwy – podkreślał, dodając, że walka toczy się nie tylko o życie i wolność Ukraińców oraz innych narodów, które Rosja próbuje podbić, lecz także o kształt przyszłego świata. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 86d441b100

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Czego życzyć na nowy rok bohaterom naszej rubryki? Życzenia muszą być szczere, żeby się spełniły. No i realistyczne – w miarę. Dlatego nie będziemy życzyć np. Rafciowi Czajkowskiemu vel Trzaskowskiemu albo Szymonowi Płaczliwemu wersja 2.050, żeby zostali mężami stanu. Lubimy fantazjować, ale są pewne granice. Postawimy więc na życzenia praktyczne, łatwe do realizacji.

Mała, poręczna rzecz, niedroga – życzymy europejskiej lewicy, by w tym nowym roku nigdy nie zabrakło jej reklamówek ze Świętym Mikołajem. To w nich pojawiają się magiczne prezenty z Kataru w formie zwitków banknotów ojro.

Platformie – żeby im nie zabrakło reklamówek z Biedronki. To w nich pojawiają się magiczne prezenty w formie jak powyżej. Choć nie z Kataru, tylko takie bardziej swojskie. Bo my, Słowianie, my lubim sielanki i aferzystów też swojskich.

Pawłowi Piskorskiemu – żeby przypomniał sobie, w jakiej dokładnie reklamówce Kongres Liberalno-Demokratyczny pożyczał kiedyś kasę z Niemiec. Jak poznamy markę, to sobie takie kupimy, postawimy na kominku i kto wie, może wydarzy się cud i pewnego dnia się wypełnią.

Radkowi Sknerusowi Sikorskiemu życzymy, aby do Chobielina przyjechał autobus Arabów. I żeby każdy Arab płacił za konsultacje 40 tys. ojro miesięcznie.

I żeby nie musiał wpisywać tych wpływów do oświadczenia majątkowego.

Rafciowi Czajkowskiemu vel Trzaskowskiemu życzymy funduszy reprezentacyjnych, dzięki którym będzie latał równie daleko i często jak partyjni koledzy z Wiejskiej. Jako mieszkańcy Warszawy musimy bowiem zdradzić sekret – w stolicy dużo lepiej się żyje bez Rafcia.

Warszawie życzymy w nowym roku nowego logo. Jeszcze bardziej nowego niż to nowe za sto pięćdziesiąt tysiów, które wygląda jak stare. Uważamy, że stolicę wielkiego europejskiego kraju stać na to, żeby wydać na logo i milion. A skoro ma wyglądać jak stare, to nawet dwa miliony!

Łodzi życzymy, żeby nikt nie wstrzymał budowy CPK.

A Trójmiastu, żeby ktoś wstrzymał dulczessę Dulkiewicz.

Zielonym braciom z Peezelu życzymy głębokiej refleksji. A to z powodu plotek o wspólnej liście wyborczej z AgroUnią. Nie lubimy szafowania lekką ręką hasłem „ruskie onuce", ale tym razem niestety jest ono bardzo uzasadnione.

Zielonym ekoterrorystom z całego świata – żeby zamiast przyklejać się do obrazów van Gogha, przyklejali się do siebie nawzajem. Rodzina patchworkowa niejedno ma imię.

Komendantowi policji życzymy samych bezpiecznych granatników. To znaczy takich, które nie strzelają.

Naczelnemu dowódcy sił zbrojnych – odwrotnie.

Polskiej prawicy życzymy nowych Okopów Świętej Trójcy. Bo ze starych będzie się trzeba szybciutko ewakuować.

Polskiej lewicy – sukcesu wyborczego. Gdzieś na poziomie 4,9 proc.

A skoro już o wyborach, które wszak nadchodzą – to wszystkim Polakom, żeby już nigdy nie wróciły czasy, których hasłem było „pieniędzy nie ma i nie będzie".

Pieniądzom życzymy, żeby jednak były.

Immunitetom – odwrotnie.

Eine Totalopposition chcieliśmy tradycyjnie życzyć wspólnej listy, ale uświadomiliśmy sobie, że jeśli immunitety znikną, to będzie ona niepraktyczna, zarzuty przecież każdy dostaje osobno.

Czytelnikom powyższej notki życzymy, by pojęli w lot, że podczas pisania powyższych życzeń dużo myśleliśmy o Senacie. A zwłaszcza jego marszałku.

Wszystkim czytelnikom „Do Rzeczy" – żeby ich grono rosło.

A inflacji – żeby malała.

Polskiej reprezentacji w piłce nożnej – żeby się nikogo nie bała.

A celebrytom dokonującym apostazji – żeby się jednak bali. Pana Boga.

Wiewiórkom przynoszącym naszej kultowej rubryce orzeszki – żeby były to opowieści o wydarzeniach zabawnych, a nie żenujących.

A wszystkim, po prostu wszystkim – żeby nowy rok był lepszy od poprzedniego. Jednak nieco gorszy od następnego. Bo zawsze trzeba mieć na co czekać. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ofiara

W tej sprawie czuję się ofiarą" – oznajmił komendant główny policji po tym, jak już odzyskał słuch i mowę po przypadkowym wybuchu granatnika w jego gabinecie – wybuchu, który prawdziwym cudem nie zabił ani jego, ani nikogo innego, ograniczając się do „ukruszenia sufitu i naruszenia konstrukcji budynku". Nie wiem, czy miał na myśli potoczne określenie „ofiara losu", ale jeśli tak, to nie będę polemizował.

Wybuchł granatnik, wyjaśniono, który gen. Szymczyk dostał w prezencie od swego ukraińskiego odpowiednika. Granatnik miał być przyjęty w dobrej wierze jako „wystrzelony", bezpieczny, taka jakby ot, łuska durnostojka. Komendant, stawiając toto na półce, coś niechcący nacisnął i wywaliło. Wszystko wyjaśnione, nic poważnego się nikomu nie stało, ukruszony sufit się zaszpachluje i nie ma po co drążyć tematu – twierdzą przełożeni komendanta.

Raczej jednak jest. W jaki sposób można było przeoczyć, że granatnik nie jest pustą rurą, ale coś w nim jest i swoje waży? Jakim cudem gotowa do odpalenia bomba ot, tak sobie przejechała przez granicę i bez żadnej kontroli wylądowała w gabinecie – cokolwiek sądzić o jego ogarnięciu – wysokiego urzędnika państwowego? Czy innym przywódcom państwa i partii równie łatwo jest sprezentować gotowy do odpalenia materiał wybuchowy? Reakcje ministerstwa zdają się wskazywać, że idąc w zaparte, żadnych wniosków z tej dramatokomedii wyciągać nie zamierza, by – skoro i tak już straciło powagę – ocalić przynajmniej honor.

Nasze państwo obsesyjnie wręcz i histerycznie tłamsi, jak tylko się da, dostęp obywateli do broni. Zbudowało cały surowy system sprawdzania, czy obywatel jest zdrów na umyśle, zrównoważony psychicznie i odpowiedzialny, czy ma odpowiednio zabezpieczony sejf i zna wszystkie zasady ostrożnego obchodzenia się z bronią – o zezwolenie na broń trudniej u nas komuś niespowinowaconemu z władzą niż o używaną trumnę, a i wtedy za bodaj jeden nabój znaleziony poza sejfem grożą mu drakońskie kary. Na czele zaś tego systemu rygorów, restrykcji i inspekcji stoi… komendant główny policji. Doprawdy, właściwa ofiara na właściwym miejscu. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nieliberalna demokracja

Pseudotrybunał" i jego „pseudowyroki", „upolityczniona Krajowa Rada Sądownictwa", „neosędziowie" – wszystkie te klejnoty demokracji nieliberalnej to nie tylko język „Gazety Wyborczej", lecz także serwisów (!) informacyjnych Radia TOK FM. Powtarzam i będę powtarzał, że gdy Viktor Orbán mówił o nadchodzącej erze nieliberalnej demokracji – formułował społeczną diagnozę, a nie polityczny postulat. Żyjemy bowiem (i musimy żyć) w takich czasach. Mit obiektywnych liberalnych mediów, bezkompromisowych w swym relatywizmie, twardo „oddzielających informacje od komentarzy", rozpada się każdego dnia na naszych oczach.

Gdy mniej lub bardziej autorytarne rządy w latach 30. XX w. i później, z gabinetem Churchilla włącznie, mówiły, że rząd, jeśli ma ocalić naród od zewnętrznych i wewnętrznych zagrożeń, musi w epoce radia i masowej drukowanej prasy mieć narzędzia komunikacji ze społeczeństwem, przywoływały funkcję, która dziś na skalę masową powraca.

Liberalne media są przekonane, że muszą mówić ludziom, co mają myśleć, jeśli liberalizm ma się oprzeć zagrożeniom ze strony „populizmów". Reżim Liberalnego Ocalenia Publicznego rezygnuje z części swego liberalizmu, by zachować resztę; tak to uzasadnia i być może tak nawet wyglądają intencje jego niektórych funkcjonariuszy. W praktyce chodzi o coś dużo więcej, o reintegrację społeczeństwa wokół – egzekwowanych od wszystkich – publicznych dogmatów, Our Values. Gdy Nancy Pelosi nazywa przeciwników homoseksualnej ustawy RFMA „ekstremistami", mówi przecież nie o jakichś „niszowych" ugrupowaniach, ale o większości Kongresu, która niecałe pół wieku temu przyjęła obaloną teraz ustawę o ochronie małżeństwa.

Reintegracja to klucz. Demokracja liberalna okazała się jedynie chwilową fazą relatywizacji autorytetów i zasad cywilizacji chrześcijańskiej, by potem w to miejsce można było ustanowić nowe autorytety i nowe zasady, cały nowy antyporządek. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Merry Christmas

Tym razem agresywny wirus ciężkiej choroby umysłowej zaatakował w angielskim kurorcie Brighton. Ofiarą padły władze miejscowego uniwersytetu i kolektyw postępowych studentów. O katastrofalnych skutkach i rozmiarach szkód na umyśle, które bardzo zaraźliwa choroba za sobą pociąga, świadczą wydane przez uniwersytet instrukcje dotyczące „języka inkluzywnego" („Inclusive language guidance"), czyli jedynego, jakiego można w brightońskiej Alma Mater używać. Dziewięciostronicowy stek idiotyzmów skierowano do wszystkich wykładowców i studentów. Jak wyjaśniono, celem publikacji jest walka z dyskryminacją, ze stereotypami, z agresją, molestowaniem i represją, które często niepostrzeżenie wkraczają do naszego języka. Dlatego należy zachować czujność. Jak?

Z podanych przykładów wynika, że należy unikać używania „chrystocentrycznego języka", a więc takich słów jak „Boże Narodzenie" czy popularnego w angielskim pytania o imię „Jak ci dali na chrzcie?" („What is your Christian name?"), bo może to urazić wrażliwość wyznawców innych religii, np. islamu. Co więcej, jak wyjaśniono, takie pytanie nawiązuje do liturgii chrześcijańskiej, a więc wyklucza. Na liczne pytania, jakim sposobem „Boże Narodzenie" może być wyrazem wrogości wobec muzułmanów, skoro gdy narodził się Jezus ani Mahometa, ani islamu nie było, studenci usłyszeli, że czas podobnie jak przestrzeń to pojęcia bardzo względne.

Władze uniwersytetu przestrzegały też przed używaniem terminu „przerwa bożonarodzeniowa" („Christmas closure period"). Ma być „przerwa zimowa". Słowem, przekładając na nasze, zamiast „Wesołych świąt", trzeba było mówić „Wesołej przerwy zimowej". Można nabrać podejrzeń graniczących z pewnością, że zideologizowani szaleńcy z Brighton w walce o swoją wizję świata chcą wykorzenić z języka wszelkie odniesienia do chrześcijaństwa. Przy okazji znów kłania się Orwell. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 86d441b100

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

CZEMPIONAT W NARZEKANIU NA POLSKĘ

Rzutem na taśmę mamy zwyciężczynię w nieoficjalnym plebiscycie na największą bzdurę wypowiedzianą przez gwiazdę w roku 2022. Brawa i gratulacje należą się aktorce i piosenkarce Idze Krefft, która powiedziała tak wiele i tak niemądrze, że trzeba to rozłożyć na czynniki pierwsze. A więc po kolei. – Ja już się trochę poddałam w naszym kraju. Nie widzę swojej przyszłości tutaj. Będę robić wszystko, żeby tej przyszłości tutaj nie budować, bo nie widzę tutaj miejsca dla siebie – wyznała Ula z „M jak miłość". Droga Igo, granice są otwarte, można ruszać (w żadnym razie nie zachęcam, tylko przypominam). – Polska mi nic nie dała. Ziemia polska mi dała, mamy piękny kraj – stwierdziła dalej aktorka. Droga Igo, nie chcę być złośliwa, ale „polska ziemia" to właśnie Polska, tak jakby. – Naród wspaniały, tylko ludzie ku.wy – dopowiedział prowadzący rozmowę Grzegorz Betlej. – To jest to! – podsumowała wokalistka. Droga Igo, czyli Polska i Polacy nie dali Ci nic poza popularnością i karierą, dzięki którym jesteś teraz zapraszana do mediów i możesz narzekać na Polskę i Polaków. Witki opadają.

TAJEMNICZE CZAKRY

Końcówka grudnia obfitowała w wypowiedzi naprawdę zaskakujące. Nie żeby zaskakiwały szczególnie deklaracje dotyczące niechrzczenia dzieci przez celebrytów, ale Bożenka z „Klanu" wyniosła owo zjawisko na zupełnie nowy, kosmiczny wręcz poziom. – Nie chrzciliśmy dziewczynek. Nie jesteśmy powiązani z Kościołem – stwierdziła Agnieszka Kaczorowska. Tancerka uzasadnia to troską o... „czakry". – Uważam, to jest też od strony duchowej i energetycznej związanej z czakrami w naszym ciele potwierdzone, że sakramenty zamykają nasze czakry. Wierzę, że po co mamy coś zamykać, skoro możemy coś otwierać – przekonuje. W całym tym absurdzie jest jednak akcent optymistyczny. Aga zapewnia, że jest tolerancyjna. – Nie jestem zamknięta na nic. Nie hejtuję żadnej wiary. Nie hejtuję instytucji też. Rozumiem, z czego pewne rzeczy wynikają i dlaczego powstały, po co. My jako ludzie mamy ogromną potrzebę, żeby znajdować przestrzeń, w której możemy się zaopiekować niektórymi z tych naszych obszarów – podsumowała Kaczorowska. Na przykład przestrzenią czakr.

MILCZENIE JEST ZŁOTEM. NAPRAWDĘ

Maksyma stara, dobrze znana, ale jakże aktualna. Do serca powinna ją sobie wziąć szczególnie Inga z „Hotelu Paradise", która oprócz tego, że wystąpiła w randkowym show TVN, jest znana z tego, że jest znana. Widać celebrytka z niej jeszcze nie taka wielka, ponieważ dziewczyna zamiast prywatnym samolotem podróżuje plebejską koleją. Podróż nie może się oczywiście odbyć bez relacji na Instagramie. Inga dodała smutne zdjęcie z podpisem, który słusznie wywołał falę oburzenia. „Ja załamana swoim życiem z powodu mojego pociągu do Gdańska, który jest opóźniony o 2 godz., ponieważ ktoś postanowił się pod niego rzucić. Dlaczego samobójcy nie myślą o ludziach podróżujących pociągiem, którym np. spieszy się do pracy? Bo ja na przykład mam dziś pracę o 18" – żali się była uczestniczka randkowego show. Wpis szybko usunęła, ale niesmak pozostał. Obrzydzenie wręcz.

A JEDNAK USTAWKA!

Muzykujący góral Sebastian Karpiel-Bułecka dość rzadko bryluje w mediach i na ściankach. Co prawda, o jego życiu, dzięki sławnej żonie, która od blasku fleszy nie stroni, wiemy sporo, jednak sam niechętnie opowiada o tym, co się u niego dzieje. Wyjątek uczynił przy okazji jednego z wywiadów udzielonych w ramach promocji nowej płyty. Sebastian dostarczył obserwatorom rodzimego show-biznesu smakowity kąsek. Powiedział bowiem wprost coś, co wielu podejrzewało – że telewizyjne show są bardziej lub mniej, ale ustawiane. – Miałem sześć razy propozycję, żeby wystąpić w „Tańcu z gwiazdami". I za każdym razem odmawiałem, a była to łatwa droga do popularności. Tym bardziej że gwarantowali mi, że tam będę jak najdłużej – zdradził muzyk. Przypomnijmy, że obok głosów jury w programie zachęca się widzów, aby oddawali głosy na swoich ulubieńców. Dalej Karpiel-Bułecka wyjaśnił, dlaczego nie widział się w tanecznym formacie. – Nie wyobrażałem sobie siebie w roli tancerza, ubranego w te wszystkie koronki. Nie odnalazłbym się w tym kompletnie – tłumaczy. – Zdobyłbym pewnie w jakiś sposób tę popularność, bo oczywiście wierzę w siebie, że tańczyłbym jak przysłowiowy pieron, ale nie o to mi chodziło. Ja chciałem grać, robić muzykę i być znany przez to, a nie przez to, że fajnie podryguję czy podskakuję – podsumował góral. W tej rubryce robię to rzadko, ale tym razem muszę napisać: Brawo! ©℗

eprasa.pl 86d441b100

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak się macie po Winter Holidays? Udało się chociaż trochę w spokoju poświeckować, wdrożyć na rodzinnych spotkaniach elementy rozdziału Kościoła od państwa i np. zaśpiewać coś Dawida Podsiadły zamiast kolęd lub podzielić się grillowanym tofu zamiast opłatkiem, ewentualnie przeczytać zamiast fragmentu Biblii jakiś artykuł o aborcji z „Wysokich Obcasów"?

Jeśli przynajmniej na jedno z powyższych odpowiadacie „tak", to szczere gratulacje, iż nam się nic nie udało. Najbliżej było do tego fragmentu o aborcji, ale osobomatka przezornie sprawdziła, czy nie włożyliśmy jakiejś innej kartki między strony Biblii, no i niestety się nie udało.

W każdym razie wracamy do korpo pełni zapału, iż – jak sami widzicie – mieliśmy wiele świetnych pomysłów, które wymagają tylko pewnego doprecyzowania, reorganizacji i będą mogły zostać wdrożone przy okazji Spring Holidays, na Podkarpaciu obchodzonych pod nazwą Wielkanocy.

Tylko wcześniej dokładnie sobie ogarniemy, czy są tam jakieś podobne zwyczaje, bo jak wiecie, nie jesteśmy obeznani w tych etnograficznych anachronizmach i jak my mamy pamiętać, kiedy się oni tam po wsiach polewają wodą, a kiedy śpiewają kolędy czy chodzą na roraty?

Nie milkną echa występów reprezentacji tego kraju podczas mistrzostw świata w piłce nożnej. Jak wiecie, jesteśmy sceptyczni wobec piłki nożnej, postrzegamy ją jako niebezpieczny czynnik fashysmotwórczy i uważamy, iż jest to rozrywka dostarczana milionerom przez innych milionerów.

Nie możemy jednak przejść obojętnie wobec tego, iż dziennikarze renomowanego zachodniego magazynu „The Athletic" uznali mecz reprezentacji Polski i Meksyku za najgorsze spotkanie zakończonego niedawno mundialu.

No powiemy szczerze: aż takiej dekonstrukcji futbolu ze strony polskiej kadry to się nie spodziewaliśmy. Mało tego, czujemy nawet lekki podziw, iż w czasie, kiedy wszyscy wokół skupieni byli tylko na wyniku, piłkarze z tego kraju pokazali coś więcej – iż nie jest to najważniejsze, iżby grać ładnie, atrakcyjnie, żeby komukolwiek poza najwierniejszymi Januszami przyszło do głowy ich oglądać.

My się of kors na piłce nie znamy, wszelkie niuanse taktyczne i techniczne są dla nas tak odległe jak algebra czy prawo ciążenia, czy systematyka bezkręgowców. Postanowiliśmy jednak obejrzeć sobie ten mecz z odtworzenia i w sumie to powiemy wam, iż jeśli ta cała piłka nożna tak wygląda na co dzień, to my jeszcze mniej rozumiemy ten cały związany z nią fenomen.

Jako iż zbliża się końcówka roku, prosimy Was o to, iżbyście nie ulegali toksycznej męskości oraz patriarchatowi i rozmawiając o 31 grudnia, używali sformułowania Sylwesterx, nie sugerując, czy jest to Sylwester czy Sylwestera, a zostawiając neutralną końcówkę.

Przez lata bowiem przywykliśmy do mówienia o tej imprezie wieńczącej rok w rodzaju męskim, podczas gdy „impreza" jest w rodzaju żeńskim – of kors według wstecznych i sztywnych norm skodyfikowanego języka polskiego. Dlatego też mówimy w tym roku: imprezx z okazji Sylwestrx. I dzięki temu każdy, kto będzie na tego rodzaju imprezx, będzie się mógł czuć włączony w uczestnictwo.

A z okazji nadchodzącego nowego roku życzymy wam of kors wszystkiego neutralnego!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

To jest prezent od ukraińskiej delegacji

Mariusz, mam prośbę, mógłbyś ten wazon, który tam stoi na szafce, przestawić na parapet? Tylko poczekaj, ja się najpierw schowam do łazienki.

No... Niby mógłbym, Jacku. Ale czemu sam nie przestawisz?

Bo to prezent jest. Od ukraińskiej delegacji. A to w końcu ty jesteś ministrem obrony.

Ale co z tego?

Jak jesteś od obrony, to chyba jakoś tam się na tym znasz, co nie? Umiesz rozpoznać, czy to jest wazon czy... coś może innego.

Patrzę i to jest wazon moim zdaniem.

Wiesz, strzeżonego Pan Bóg strzeże. To ja się schowam, a ty go przestaw. Jakby co, to krzycz.

No dobrze.

BUM!!!

Pani Halinko? Pani wstawi w BIP-ie ogłoszenie, że szukamy ekipy remontowej. Aha, i lekarza niech przyślą. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„[...] rakiety ukraińskie spadły na teren rosyjski".

MONIKA OLEJNIK, *dziennikarka, w TVN 24 o ataku na bazę w Melitopolu, który jest miastem ukraińskim okupowanym przez Rosjan*

eprasa.pl 86d441b100

Z prof. Jakubem Politem, historykiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Wszystkie twarze Xi Jinpinga

TOMASZ D. KOLANEK: Bez wątpienia Xi Jinping jest obecnie jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie i mało kto nie zna jego nazwiska. Taka sytuacja jednak ma miejsce od niedawna. Dotychczas Xi był w cieniu, nie wychylał się, a jak mówiło się o „władcach świata", to wymieniano prezydentów USA czy Putina...

PROF. JAKUB POLIT: Od razu muszę zaprotestować. Rozmaite badania opinii publicznej podkreślają, że ponad połowa mieszkańców USA nie zna nazwiska Xi Jinpinga i nie wie, kto to jest. Oczywiście fakt ten świadczy tylko o tamtejszym społeczeństwie. Nawiasem mówiąc, podczas drugiej wojny światowej Amerykanie nie mieli pojęcia, jak nazywa się cesarz Japonii, a kiedy mieli wybrać w ankiecie jego imię, to wybierali zwykle albo Kamikadze, albo Harakiri.

To oczywiście nie znaczy, że Xi Jinping nie jest dziś jednym z najważniejszych decydentów światowych.

Wpisując w polskojęzyczną Wikipedię hasło „Xi Jinping", otrzymujemy tekst, którego lektura zajmuje mniej więcej trzy minuty...

Nie dziwi mnie to. Fakt, że w Polsce więcej osób może kojarzyć tego człowieka, nie oznacza, że ktokolwiek się nim interesuje.

Zapewniam pana, że z kolei na anglojęzycznej Wikipedii – a nie jest to jeszcze strona pisana przez chińskich działaczy – znajduje się naprawdę obszerny tekst na temat Xi Jinpinga, a także obszerny biogram jego ojca, co dowodzi, że była to postać dosyć interesująca.

W Polsce z racji relatywnie krótkiego trwania epoki komunistycznej ani syn Nicolae Ceaușescu, ani inny komunistyczny działacz, choćby był przygotowywany do przejęcia schedy po ojcu, takiej

eprasa.pl 86d441b100

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

schedy objąć nie zdołał. To udawało się jedynie w Azji.

Co wiemy na pewno o życiorysie Xi? Skąd ten człowiek się wziął?

Jego życiorys jest „mniej typowy" niż jego poprzedników, ale będący następstwem zmiany pokoleniowej.

Xi Jinping to po prostu komunistyczne książątko, to znaczy komunistyczny działacz będący synem komunistycznego działacza. Ponieważ komunizm rozpoczęto budować w Chinach później niż w ZSRS, to z przyczyn generacyjnych, z przyczyn metrykalnych, komuniści w drugim pokoleniu doszli do władzy późno. Zwłaszcza że w Chinach preferowano przywódców sędziwych.

Tutaj mamy człowieka, który urodził się w roku śmierci Stalina i który już w młodości podążał „właściwą ścieżką", ponieważ jego ojciec Xi Zhongxun – partyjny weteran, specjalista od spraw propagandy, kultury i edukacji – był bardzo ważną, acz zasiadającą w drugim rzędzie postacią w ramach chińskiej Kompartii. Właśnie dlatego mówię, że Xi Jinping należy do grona książątek, którym to terminem określa się narybek rewolucjonistów, urodzony, kiedy ich ojcowie zdobyli władzę. Podkreślam: ZDOBYLI WŁADZĘ, ponieważ zdarzali się działacze będący synami komunistów, urodzeni jeszcze przed zwycięską dla czerwonych wojną domową. Właściwymi książątkami są potomkowie panujących książąt, ludzie urodzeni w purpurze władzy.

Xi Jinping wychował się w chińskim mieście cesarskim Zhongnanhai, pekińskiej dzielnicy monarszej, gdzie zamieszkał jego ojciec u boku samego przewodniczącego Mao. Nie znaczy to, że Xi nie miał młodości bardzo burzliwej z uwagi na to, kim byli Mao i stworzone przez niego państwo.

A doświadczenia młodocianego Xi były przykre, ponieważ jako nastolatek zderzył się on z osławioną rewolucją kulturalną. Podczas niej nawet komuniści w Chinach nie znali dnia ani godziny.

Zderzenie, o którym pan mówi, jest stuprocentowym faktem z życia Xi? Czy może chce on w ten sposób, robiąc z siebie ofiarę rewolucji kulturalnej, budować swoją legendę?

Jest to stuprocentowy fakt z życiorysu Xi. Z jednym zastrzeżeniem. Przewodniczący KPCh absolutnie nie przedstawia się jako ofiara systemu. Nigdy nie było to rozpatrywane w tym kontekście, w jakim u nas dawał to do zrozumienia towarzysz Gomułka: „No cóż, siedzieliście w więzieniu, bito was, szczuto, ale ja także siedziałem", czy jak było w przypadku towarzysza Jaruzelskiego: „Mnie też wywieźli na Sybir i ja też miałem przykre doświadczenia".

Xi robi coś zupełnie przeciwnego: pokazuje, że rewolucja kulturalna była istotnym stopniem jego kariery. Stało się tak, ponieważ to przede wszystkim jego ojciec został dotknięty niełaską, a jak to zwykle bywa w Chinach – los ojca podzieliła rodzina.

Sam bohater naszej rozmowy w czasie rewolucji kulturalnej machał sobie łopatą w jakiejś głuchej wsi w prowincji Shaanxi. Z kolei przyrodnia siostra Xi, córka rodziciela z pierwszego małżeństwa, nie przeżyła tych prześladowań. Nie wiadomo dokładnie, co się z nią stało poza tym, że zakończyła życie. Są mocne przesłanki, że popełniła samobójstwo. Natomiast druga żona Xi seniora ojca została pobita. Kolejna siostra dzisiejszego przywódcy ChRL kopała w Mongolii Wewnętrznej kanały nawadniające.

Istotne jest, że te przykre doświadczenia bynajmniej nie wyleczyły Xi, jak on sam zapewnia, z wiary w sprawę komunizmu. Jeszcze podczas trwania tej „wesołej" epoki, czyli Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Kulturalnej, składał on siedem razy podanie o przyjęcie do Ligi Młodzieży Komunistycznej. O przyjęcie do partii starał się 10 razy.

Trzeba pamiętać, że ponieważ Xi był tym, kim był – jego ojciec pozostawał postacią dobrze rozpoznawalną, nawet dla mniej otrzaskanych działaczy partyjnych – to rozpatrujący te supliki doskonale wiedzieli, o kogo chodzi, i oczywiście dlatego odmawiali.

To się jednak Xi opłaciło. Kiedy Mao podążył na spotkanie z Marksem, pod chińskie niebo poszybował Deng Xiaoping. Ten przypomniał sobie o swoim koledze – ojcu Xi – i dźwignął go bardzo wysoko do łask. Xi senior został bowiem gubernatorem prowincji Guangdong, czyli terytorium graniczącego z Hongkongiem.

Hongkong miał być kołem zamachowym gospodarki tego regionu – i tak się rzeczywiście stało. Powstał tam eksperymentalny obszar nazywany Specjalną Strefą Ekonomiczną. Deng postawił na Xi starszego, musiał więc być pewien wierności swojego wypróbowanego giermka.

Oczywiście ojciec podźwignął z kolei syna – Xi młodszego. Tutaj mamy do czynienia z prawie klasyczną karierą książątka, karierą dzięki ojcu, który dożył XXI w., przeżywając nieco swego mistrza Denga.

Sugeruje pan, że Xi młodszy niczego by nie osiągnął, gdyby ojciec nie ciągnął go za uszy i nie dźwigał?

Prawdopodobnie miałby on tak trudny start, że nie byłoby to możliwe. Przeżycia z lat wczesnej młodości, takie jak rewolucja kulturalna, wbiły mu do głowy zasadę, że (mówiąc najdelikatniej) życie jest

eprasa.pl 86d441b100

niepewne, jeśli nie istnieją ustabilizowane warunki na szczycie władzy. Innymi słowy, komuniści nie powinni prześladować przekonanych komunistów.

Xi Jinpinga kojarzy się wewnątrz Chin m.in. z fanatyczną walką z korupcją, co oczywiście przysparza mu pewnej sławy. Można wręcz powiedzieć, że usiłuje on siebie przedstawiać jako ostatniego sprawiedliwego, jako przywódcę nieskorumpowanego. Geneza walki Xi z korupcją jest wcale ciekawa. Był on swego czasu gubernatorem najbogatszego miasta w Chinach, czyli Szanghaju, co jest zresztą bardzo charakterystyczne. Jeden z poprzedników Xi – Jiang Zemin – też zaczynał jako szef Szanghaju – chińskiego Nowego Jorku. To właśnie w Szanghaju Xi zetknął się z bardzo sławną aferą. Pewien obrotny biznesmen, niejaki Lai Changxing – Chińczyk z konotacjami zagranicznymi – skorumpował ogromną liczbę urzędników partyjnych. Potem był stawiany przed sądem. Powiedziano, bez wątpienia słusznie, że wręczył czerwone koperty z łapówkami wielu bardzo wysoko postawionym ludziom. Ale marnie skończył nie dlatego, że je wręczał, tylko dlatego, że nie wręczył tej ostatniej, o którą poprosił ówczesny premier ChRL – Zhu Rongji. Xi mógł wówczas polecieć na łeb na szyję, ponieważ władza w Pekinie zamierzała ukarać kogoś dla przykładu. Wyszedł on jednak ze wszystkiego obronną ręką, niemniej porządnie się wystraszył. Ta historia jest bardzo często przywoływana w kontekście jego późniejszych krucjat przeciwko korupcji.

Dodam tylko, że Lai Changxing zdołał zbiec do Kanady, ale po paru latach przepychanek został wydany Chinom. Za cenę obietnicy, że nie zostanie on skazany na śmierć, czego rzeczywiście dotrzymano. Dostał dożywocie.

14 marca 2013 r. Xi Jinping zostaje przewodniczącym KPCh czy też prezydentem ChRL...

Wcześniej był wiceprezydentem, a należy pamiętać, że w chińskiej praktyce wiceprezydent to właściwie „następca tronu".

Chce pan powiedzieć, że ChRL ma ciągoty monarchistyczne?

Absolutnie nie, a jeżeli już, to bardzo specyficzne. Monarchie bywają bowiem rozmaite. Przypomnijmy sobie Cesarstwo Rzymskie, w którym bywało wspaniale, ale słabą cechą ustroju imperialnego był brak przejrzystej struktury przekazywania władzy. Dlatego w najświetniejszych czasach Rzymu imperatorzy adoptowali swoich następców, wyznaczając im pewne synekuralne, ale wyraziste stanowiska, zazwyczaj trybuna ludowego.

W ChRL wymyślono zaś funkcję wiceprezydenta – desygnowanego „następcy tronu".

Problem nie polegał na tym, że Xi porządzi sobie przez kadencję czy dwie, tylko że będzie mógł rządzić dożywotnio

Zostając przewodniczącym KPCh, Xi przejął kierownictwo w państwie, partii, armii, komisjach ds. bezpieczeństwa, gospodarki, spraw zagranicznych itd. Dlaczego nadał sobie tyle władzy? Dlaczego Xi zerwał z zasadą kolektywnego przywództwa Denga?

Każdy przywódca chiński miał ochotę posiąść wielką władzę. Można więc całkowicie serio stwierdzić, że po śmierci Denga zwanego „Wielkim Człowiekiem Dengiem" wszyscy ci w partii, którzy pamiętali jeszcze większego Mao, mieli już dość „Wielkich Ludzi" na czele KPCh. W związku z tym postarano się, ażeby na funkcję pierwszego, najważniejszego wynosić osobników relatywnie miernych. Takich, którzy byli niezainteresowani wyssaniem wszystkich atrybutów władzy, takich, którzy byli od innych zależni etc. Dlatego właśnie napisanie biografii dwóch poprzedników Xi to herkulesowe zadanie dla kogoś, kto chciałby o nich powiedzieć coś poza tym, iż wiadomo, że nic nie wiadomo.

Xi jest po prostu innym człowiekiem, bardzo łasym na władzę. Udało mu się rzeczywiście zrobić coś wybitnego już na samym początku. Mianowicie, kiedy został sekretarzem generalnym, to ze Stałego Komitetu Biura Politycznego – instytucji liczącej dziewięciu członków – musiało odejść siedmiu, oficjalnie ze względu na osiągnięcie wieku emerytalnego. Komitet został więc niemal doszczętnie przemeblowany. I to była rzeczywista trampolina do niemal absolutnej władzy Xi. Problem nie polegał bowiem na tym, że porządzi on sobie przez kadencję czy dwie, tylko że będzie mógł rządzić dożywotnio. Do tej pory wydawało się to nieprawdopodobne.

Nieprawdopodobne, ale nikt nie sprzeciwiał się za bardzo, kiedy Xi zakomunikował, że nie będzie rządził dwie kadencje, tylko więcej...

W tak obcesowy sposób, jak pan to powiedział, tego nie sformułowano. Nie powiedziano, że nie będzie więcej niż dwie kadencje, tylko że jest możliwość, iż Xi zostanie wybrany na kadencję numer trzy. Możliwość! Nie powiedziano wprost, że Xi będzie rządził w nieskończoność. Zrobiono to w sposób bardziej strawny, w rękawiczkach.

Parlament Chin jest jednak maszynką do głosowania – przegłosuje taką możliwość, której zażyczy sobie przewodniczący.

Xi ma słabość do czystek w partii? Wywołał pan czystkę w Komitecie Biura Politycznego sprzed lat. W tym roku Xi dokonał czystki w partii.

Czy ma słabość? Na pewno nie większą niż jego poprzednicy, ale na pewno ma większe zapędy. To, co było najważniejsze – wymiana członków Biura Politycznego, przygotowywana od dawna, ale w tajemnicy – było genialną zagrywką. Potem już wszystko wydawało się toczyć w określonym z góry kierunku. Było to owinięte w kokon rozmaitych szumnych haseł typu Chińskie Marzenie, będące kopią American Dream, Nowy Wielki Jedwabny Szlak i inne tego typu pomysły.

Wydawało się, że ten scenariusz został zachwiany poprzez pandemię COVID-19. Nawet jeżeli uznamy, że niepokojące szlaki wybuchu tej zarazy wiodłyby nie do chińskich nietoperzy, tylko do bezskrzydłych uczonych, to jednak trzeba stwierdzić, że rzecz wymknęła się władzom z rąk. Metody walki z epidemią w Chinach, polegające na zamykaniu całych dzielnic miast, gdzie nikomu nie wolno wychodzić do sklepu ani przywozić żywności, mogą rzeczywiście wyprowadzić z równowagi nawet ludzi bogatych. Zresztą tylko tacy mieszkają w centrach wielkich metropolii. To rzeczywiście był moment, kiedy wydawało się, że coś może się wydarzyć z przewodniczącym Xi. Że np., jak mówiła szeptana propaganda, na następnym zjeździe ktoś oświadczy, iż ukochany przywódca dostał udaru i niestety nie może w nim uczestniczyć. Niektórzy mówili wręcz, że Xi w istocie już doznał udaru, a nawet że nie żyje. Jeszcze inne twierdze-

eprasa.pl 86d441b100

nia sugerowały, że sam Xi rozsnuwa tego rodzaju pogłoski, żeby zobaczyć, kto się cieszy z tego, że zmarł, aby potem wyjść i odpowiednio działać.

Od roku 2013 widzieliśmy kilka twarzy Xi Jinpinga. Twarz twardziela, który walczy z korupcją. Twarz „dobrego wujka", który jada w podrzędnych knajpach i sam płaci za swój obiad. Twarz człowieka, który obroni Chiny przed światem, który obroni Chińczyków przed zarazą, który zorganizuje igrzyska olimpijskie... Który Xi jest prawdziwy?

Tego chyba sam Xi nie wie. Przy czym absolutnie nie można twierdzić czy też oskarżać go, że jest dwulicowy. On jest raczej wielotwarzowym bogiem Janusem – na każdą okazję ma inną twarz.

Twarze Xi są różne. Wspomnę tylko o jednej: dopatrzono się w Chinach i poza nimi, że przywódca jest jakoby niezmiernie podobny do disnejowskiego Kubusia Puchatka. Przewodniczący nie okazał się wszakże człowiekiem dowcipnym. Filmy z wymyślonym przez Alexandra Milne'a bohaterem zostały w Chinach zakazane, a ci, którzy rozpowszechniają odpowiednie memy, są zamykani.

Xi to bardziej nacjonalista czy komunista?

Już Orwell zauważył, że najbardziej powszechną wśród inteligencji europejskiej formą nacjonalizmu jest komunizm. Oczywiście był to złośliwy oksymoron, ponieważ w opinii autora „Roku 1984" nacjonalistą był ten, kto uważał ZSRS za swoją ojczyznę. ZSRS wyparował, ale Chiny nie. Mało tego: Chinom udało się połączyć nacjonalizm z komunizmem.

Można głosić chwałę komunizmu i jednocześnie szowinistyczną potęgę Chin z bardzo prostego powodu: w zasadzie oprócz Kuby poza Azją nie ma klasycznych komunizmów. Można stwierdzić, że tak jak kiedyś prawdziwym światem cywilizowanym były tylko Chiny, tak samo komunistyczną oikumene jest obecnie ChRL, oczywiście z jej wiernym przedpolem i forpocztą, czyli Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną.

Skoro Xi jest komunistą, skoro Chiny są krajem komunistycznym, to dlaczego tak wielu uważa Xi za kapitalistę, a Chiny za wzór sukcesu wolnego rynku?

Jeżeli Stalin mówił, że buduje komunizm, którego celem jest zniszczenie świata kapitalistycznego, to dlaczego kapitaliści uważali, że ZSRS jest demokracją, a jego policja polityczna to taki odpowiednik FBI?

To są pytania dla psychiatrów, a nie dla historyków. Zdarza się, że komuniści, narodowi socjaliści, islamscy fundamentaliści etc. mówią nam otwartym tekstem, że chcą nas zniszczyć. A tymczasem my mówimy, że nie jest aż tak źle.

Chiny są państwem komunistycznym. A że budują komunizm przy pomocy kapitalistycznych sztuczek i wyprawiają różne inne wygibasy, to co z tego? Kiedy Lenin popełniał Nową Politykę Ekonomiczną, czyli robił trzy kroki wstecz, to niektórzy jego partyjni towarzysze oskarżali go o zdradę i odejście od ideałów Marksa. Tak samo było z Chruszczowem.

Jeżeli mamy wierzyć komunistom, to zajrzyjmy do statutu KPCh. Możemy tam przeczytać, że celem poczynań kierownictwa chińskiego jest zbudowanie komunizmu, a że Chiny podążają do tego krzywą drogą, kupując od kapitalistów sznurki, na których chcą ich powiesić, to już inna sprawa...

Chiny inwestują w Afryce, w Ameryce Środkowej, w Europie. Inwestycje wiążą się z licznymi... łapówkami. To pomysł Xi, żeby zawojować świat poprzez przekupstwo i skorumpowanie każdego, kogo tylko się da?

Może nie tyle jego, ile jego otoczenia, jego pokolenia. Z dawnych rewolucyjnych ideałów niewiele już pozostało. Rozpoczęła się nieprawdopodobna deprawacja wyższych warstw społeczeństwa biegnących tylko za pieniądzem. Jak ktoś trafnie zauważył, w obecnych Chinach Ludowych za pieniądze nie można nabyć tylko jednej rzeczy – praw politycznych. Dla nas powinno nieść to pewną nadzieję – mafijny, kleptokratyczny charakter władzy w Chinach to pewna pociecha dla nas, którzy tam nie mieszkamy. Mafia niechętnie idzie na wojnę, bo ta przeszkadza robić pieniądze. To fakt, że Xi poczynił pewne gesty na użytek opinii wewnętrznej, że zastrasza Tajwan, że ostrzy noże w pobliżu granic z Mongolią. Jeśli jednak idzie o dalsze cele, to mam wątpliwości. Chiny są ruchliwe w Afryce, bo szukają surowców, ale szukają także ziemi. W Chinach brakuje bowiem gruntów rolnych, które są systematycznie pożerane przez rozrost miast i rozmaitych inwestycji.

Jedno trzeba przyznać: Chiny na pewno są sympatyczniejszym inwestorem niż państwa zachodnie. Chińczycy nie prawią afrykańskim dyktatorom kazań o demokracji, LGBT, ekologii, jak to robią np. przedstawiciele USA. Są jednak gorsze strony: Chiny przywożą ze sobą własnych robotników, bo ci są tańsi. Poza tym Chińczycy coraz częściej dają się poznać jako... rasiści gardzący Afrykanami w samej Afryce czy afrykańskimi studentami w Chinach. Ponadto mają pewną cechę, którą dzielą z nami: Chiny zaczynają przeżywać kryzys demograficzny. Chińczycy przestali się rozmnażać, rośnie liczba osób starszych, powiększa się liczba osób niezdolnych do pracy.

Już Orwell zauważył, że najbardziej powszechną wśród inteligencji europejskiej formą nacjonalizmu jest komunizm

Przewodniczący Xi ma jedno dziecko. To pokłosie „polityki jednego dziecka"?

Być może tak, ale z drugiej strony ludzie bogaci nie chcą mieć wielu dzieci. Mao, naturalnie przed zdobyciem władzy, miał znaczną ilość potomstwa, ale się nim nie interesował. Część wręcz porozdawał okolicznym wieśniakom podczas Długiego Marszu.

Xi ma na pewno jedną córkę ze swoich dwóch małżeństw. Pierwszy raz ożenił się z zalecenia ojca z wybitną działaczką partyjną, która jednak potem poszła swoją własną drogą. Obecna małżonka Xi to piosenkarka.

Przypomnę, że Putin ma dwie córki, przynajmniej oficjalnie. Nasi unijni przywódcy, tacy jak Angela Merkel, Emmanuel Macron i wielu innych, to ludzie bezdzietni, a nawet dobrowolnie bezdzietni. Mamy do czynienia z jakąś dziwną modą lansującą niechęć do zakładania rodzin i posiadania dzieci, które ci ludzie mogliby utrzymywać na znakomitym poziomie. Ta moda cywilizacji zachodniej została zawleczona do Chin, gdzie do niedawna zbrodnią było nie pozostawić po sobie syna, a najlepiej pięciu, żeby ktoś mógł składać kadzidła na ołtarzykach przodków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jakub Polit *– historyk, profesor Instytutu Historii UJ, zajmuje się historią powszechną XX w., zwłaszcza historią Chin i Japonii.*

eprasa.pl 86d441b100

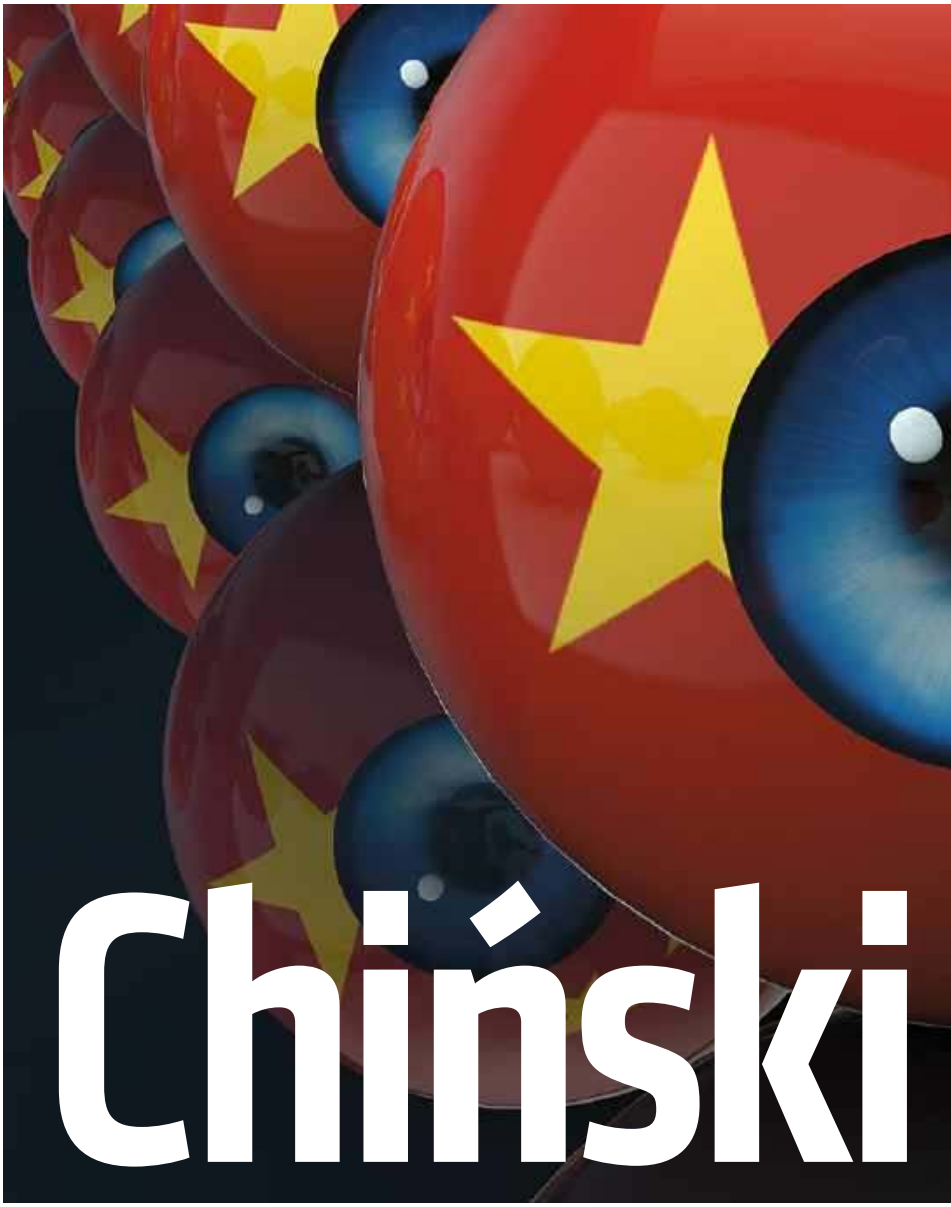

Chiński

Wojciech Golonka

Najważniejszym czynnikiem umożliwiającym stopniowe wdrażanie chińskich zdobyczy społecznych na gruncie Zachodu nie są wszelkiej maści utopiści, marzyciele czy lichwiarze, ale kluczowe nasze uwarunkowanie psychiczne, a mianowicie potrzeba subiektywnego poczucia bezpieczeństwa

Kryzysy są doskonałą okazją – wiemy to z ust samych globalistów, którzy często to podkreślają – do wprowadzania reform i praw, na które narody nie miałyby w innym wypadku ochoty. W ich optyce globalistów, wizjonerów, za jakich się uważają, są to zmiany konieczne dla ratowania ludzkości, planety, jej zasobów, postępu etc., przy czym ich działalność filantropijna nie musi być pozbawiona rentowności natury finansowej, wręcz przeciwnie – nierzadko ich zyski bywają niebotyczne. Lekarstwa są z kolei zazwyczaj gorzkie, tłumaczy sobie lud poddawany w danej chwili reformom nieprzyjemnym do przełknięcia, przyzwyczajając się zresztą dość szybko do nowego stanu rzeczy, który wciąż mutuje.

Albowiem kryzysów w ostatnich latach nie brakuje – wkroczyliśmy wręcz chyba w jakieś koło kryzysu permanentnego, jak nie gospodarczego, to sanitarnego, jak nie sanitarnego, to wojennego, energetycznego, żywieniowego etc., które splatają się między sobą i wzajemnie warunkują – nie brakuje zatem tak upragnionych okazji na to bądź co bądź gorzkie w smaku, choć słodkie w zyskach porządkowanie świata. I choć zarówno końca kryzysów, jak i samej przebudowy naszej cywilizacji na razie nie widać, to wyłaniające się z niej już wyraźne rysy „nowego wspaniałego świata" napawają trwogą, choć niewystarczająco odczuwalną przez masy, aby te procesy na tym etapie zatrzymać.

WITAMY W ROKU 1984

Tak, wkroczyliśmy w epokę, kiedy to teorie spiskowe, i to czasem te najbardziej odrealnione, po pewnym czasie zaczęły stawać się faktami. „Odleciane" interpretacje, które budziły zdrowy sceptycyzm choćby dlatego, że radykalnie odbiegają od naszej zachodniej percepcji człowieka (i tej chrześcijańskiej, i tej oświeceniowej, z jego autonomią jednostki i prawami), a przez to słusznie wydawały się mniej lub bardziej nieprawdopodobne – te nawet „odleciane" interpretacje zaczynają się ziszczać, czasem wręcz w zawrotnym tempie, przynajmniej na poziomie deklaracji samych reformatorów, a także już po części na poziomie faktów – faktów dokonanych.

Prawdą jest, że zachodzące zmiany nie są wszędzie jednolite, nie zachodzą z tą samą prędkością i rozległością, co powoduje pewne poczucie surrealizmu: to, co u nas wciąż wydaje się nie do pomyślenia, dzieje się na naszych oczach, choć gdzie indziej (co nie znaczy, że nie dzieje się też u nas, tyle że w mniejszym tempie i natężeniu). Przyzwyczajenie bowiem do naszego modelu wartości, choćby podświadomego czy nieuświadomionego, jest tak silne, że zaiste trudno uznać za realne próby tak gruntownego przebudowania świata i chyba ten brak widocznej racjonalności skazywał w naszych oczach te teorie na miano „spiskowych". Tymczasem wdrażanie w życie znanych nam skądinąd dystopii idzie w najlepsze, grunt pod nie został najwyraźniej wystarczająco przygotowany, tak że nawet na poziomie samych deklaracji samozwańczych reformatorów dystopijne cele są wystarczająco jasno wyrażane, choć, ma się rozumieć, ich dystopia jest prezentowana jako konieczny etap postępu.

eprasa.pl 86d441b100

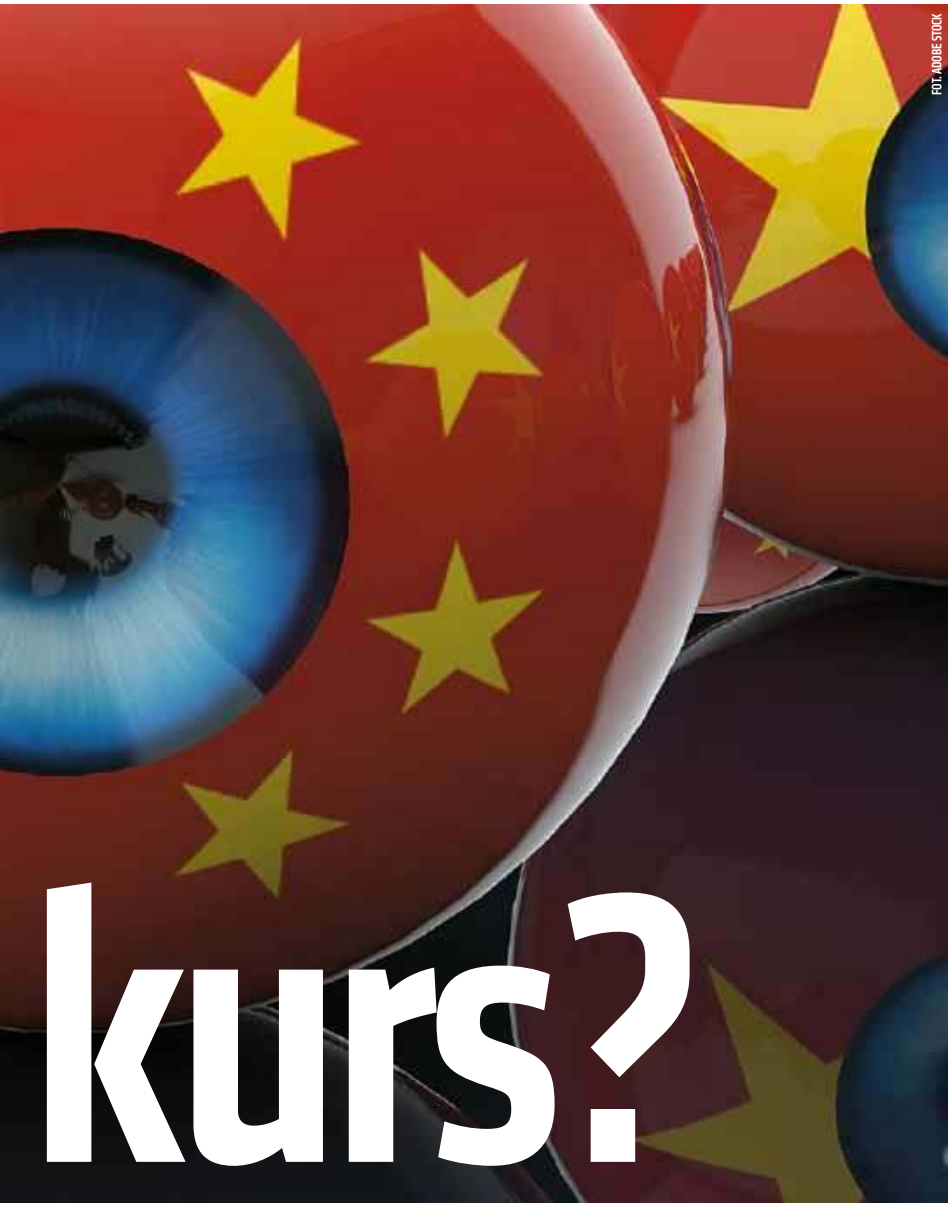
FOT. ADOBE STOCK

kurs?

Ostatecznie nie chodzi bynajmniej o błahostkę, jakiś ślad węglowy czy roślinne mięso: trzeba przypomnieć, że zasadniczym elementem dwóch największych literackich dystopii XX w. była kontrola wszechobecna i totalna zarówno jednostki, jak i mas. Epoka lockdownów, która zamknęła nas w domach w oczekiwaniu na zapowiadaną wówczas „nową normalność", która nie miała być tym samym co „dawna normalność", skłoniła mnie do odświeżenia sobie „Nowego wspaniałego świata" Huxleya oraz „Roku 1984" Orwella. Czytając te książki jedna po drugiej w krótkim odstępie czasu, nie można nie być zdumionym, konstatując, do jakiego stopnia w dzisiejszych czasach pokrewne wizje tych obu autorów, dystopie jeszcze jakiś czas temu przerażające czytelników, stają się urzeczywistnione, przynajmniej na płaszczyźnie wyznaczonych celów do osiągnięcia i prób ich realizacji.

Jest jednak pewna rzecz, której Huxley i Orwell nie przewidzieli, choć ten ostatni wyraźnie wyczuł taką możliwość, opisując narzędzie kontroli w każdym domu w postaci ekranu pozwalającego partii śledzić nawet i najprywatniejsze życie obywatela, a mianowicie rozwój technologii cyfrowych umożliwiający zbieranie danych o wszystkich i o wszystkim na nieprawdopodobną dotąd skalę, a także umożliwiający za pośrednictwem potężnych algorytmów sztucznej inteligencji zarządzanie masami ludzkimi, ich zachowaniami itd. w czasie rzeczywistym.

KONTROLA TOTALNA

Doskonałym przykładem jest tu Chińska Republika Ludowa ze swą specyfiką mocarstwa komunistyczno-kapitalistycznego. W Chinach, jak wiadomo, wszystko jest pod kontrolą, na dobre i na złe: obywatel, jego wierzenia, kultura, prasa i media, zdrowie i edukacja, Internet, a przede wszystkim codzienne życie obywateli (w kraju… a także za granicą, jak wyszło niedawno na jaw w związku z funkcjonowaniem za granicą nieoficjalnych posterunków chińskiej policji nadzorującej własnych obywateli, o czym szerzej pisze Jan Bogatko na str. 74).

Prawdą jest, że Chiny mają swoją właściwą, historyczną specyfikę w podejściu do człowieka – była to w przeszłości potężna cywilizacja, ale nie schrystianizowana, a to chrześcijaństwo dobitnie upodmiotowiło prawnie każdego człowieka na ten świat przychodzącego, naznaczona w dodatku pewnym izolacjonizmem, czego symbolem miał być nawet Wielki Mur Chiński, choć powstał on na przestrzeni wieków z powodów czysto obronnych przed najazdami ludów z północnych stepów. Ponadto współczesne Chiny mają swój rodowód wraz z wygraniem przez komunistów wojny domowej w 1949 r., a początek ten oznaczał ni mniej, ni więcej jeden z najkrwawszych totalitaryzmów wszech czasów, w natężeniu nieznanym chyba nawet samym bolszewikom: historycy szacują ofiary śmiertelne reżimu Mao na przynajmniej kilkadziesiąt milionów osób.

To na tym podwójnym specyficznym gruncie zrodziło się dzisiejsze partyjne, wszechmocne państwo ze swą permanentną inwigilacją milionami kamer w przestrzeni publicznej, doskonałymi algorytmami rozpoznawającymi twarze, samochody i Wielkim Bratem w postaci systemu kredytu/zaufania społecznego (Social Credit System). Tak, w Chinach obywatele i firmy mają przypisaną na start daną liczbę punktów, które mogą tracić lub zyskać w zależności od ich poprawnego lub wadliwego zachowania. Pewne założenia wydają się niewinne, a wręcz pożądane: nie płacisz rachunków, zakłócasz spokój sąsiadom w bloku, musisz ponieść tego konsekwencje. To prawda, ale konsekwencje utraty punktów są już kontrowersyjne, jak np. niemożliwość kupienia biletu na szybki pociąg, samolot, czyli wykluczanie z pewnych obszarów życia społecznego – bez wyroku sądu.

Przede wszystkim system ten, aby był sprawny, wymaga totalnej kontroli populacji – mowa o ponad 20 mln kamer przemysłowych zainstalowanych w Chinach oraz algorytmach Wielkiego

eprasa.pl 86d441b100

Brata rozpoznających wszystko, od samochodów do ludzkich twarzy. I niestety – narzędzia tych kar społecznych wraz z całym aparatem inwigilacji mogą być obrócone przeciw ludziom na znacznie poważniejszych płaszczyznach niż przechodzenie na czerwonym świetle, wystarczy pomyśleć o licznych chrześcijanach, którzy w Chinach, wyznając oficjalnie ateizm, mają, delikatnie rzecz ujmując, mocno pod górkę.

W dodatku system ten będzie rozwijał się w kierunku wyraźnie socjalistycznym: Chiny uruchomiły cyfrowego juana (e-CNY), który z założenia ma mieć datę ważności. Innymi słowy: pieniądz, dostępny tylko w formie cyfrowej, „przeterminuje się" po pewnym czasie, jeśli nie zostanie wydany. Oprócz łatwych do wyobrażenia niespodzianek, typu zablokowania cyfrowych pieniędzy w związku z utratą np. zaufania społecznego, system ten nie pozwoli także oszczędzać pieniędzy. Co ważne, dopóki tego typu projekty nie są oficjalnie wdrożone, są testowane w fazie pilotażowej, dotyczą tylko pewnego regionu, odsetku populacji, dopóty nie zwracają one większej uwagi, a przez to nie budzą sprzeciwu; kiedy są już powszechnie wdrożone, jest już za późno.

ZACHÓD CHCE KOPIOWAĆ CHINY

Można by odpowiedzieć, że to tylko specyfika kulturowa Chin, a nawet i tam ludzie potrafią się buntować, jak w przypadku protestów wobec polityki sanitarnej – ale nie jest to solidny argument. Co do protestów trudno osądzić wobec kraju, który jest asem zarówno w filtrowaniu informacji, jak i kreowaniu przekazu, które z nagrań odzwierciedlają autentyczne nastroje społeczne, a które są dopuszczone w ramach pewnej propagandy informacyjnej. Co więcej, Chiny są traktowane przez globalne elity jako model do naśladowania – tegoroczne Światowe Forum Ekonomiczne w Davos inaugurował prezydent Xi Jinping, wskazując na spójność społeczną chińskiego komunizmu, który wówczas właśnie świętował swe setne urodziny (na dużą korzyść Chin trzeba jednak przytoczyć, że nie mają one w zwyczaju mieszać się w wewnętrzne sprawy obcych państw, dbając przede wszystkim o poprawne stosunki handlowe).

Można by także cytować co bardziej jaskrawe przykłady zachodnich imitacji chińskiego modelu zarządzania. Kanada, onegdaj synonim wolności i dobrobytu, która nawet tak ochoczo wspierała niedawne protesty w Chinach wobec polityki sanitarnej, pokojowym krytykom swego własnego sanitaryzmu okupującym centrum Ottawy po prostu odcięła dostęp do kont bankowych w imię bezpieczeństwa narodowego. Bliżej nas w listopadzie br. znana francuska telewizja informacyjna BFM TV wyemitowała film pt. „2050: otwórzmy oczy", w którym rozważano, w jaki sposób osiągnąć zeroemisyjność dwutlenku węgla. Rozwiązanie zaproponowane jest proste: wprowadzając kartki, ale takie bardziej nowoczesne – karty płatnicze scalone z algorytmem obliczającym, jaki jest nasz udział w emisjach, oczywiście blokujące zakupy danych rzeczy, jeśli wyczerpaliśmy limit w konkretnym segmencie. Cel? Obniżyć obecną roczną średnią emisję dziewięciu ton CO_2 na osobę do dwóch ton. Wprawdzie wspomniana telewizja zastrzegała, że chodzi o „doku-fikcję", a nie o film dokumentalny, ale najlepszym komentarzem do tego typu pomysłów są słowa Billa Gatesa o potrzebie rezygnacji z mięsa (i wtórującego mu u nas prof. Filipika o Polakach „żrących" za dużo mięsa), a przede wszystkim wszystkie agendy Unii Europejskiej i plany zielonej transformacji, poprzez opodatkowywanie i zakazywanie… i śledzenie naszej konsumpcji. Nie, nie ma jeszcze w Europie systemu osobistego kredytu emisji dwutlenku węgla, ale – jak wskazuje film BFM TV – byłoby to idealne narzędzie do osiągnięcia wyznaczonych celów.

CZASY NOWEGO NIEWOLNICTWA

Jednakże największym czynnikiem umożliwiającym stopniowe wdrażanie chińskich zdobyczy społecznych na gruncie Zachodu nie są wszelkiej maści utopiści, marzyciele czy lichwiarze, którzy zarobią na pośrednictwie każdej transakcji, tudzież celebryci gotowi poprzeć największe aberracje danej chwili, byle przyklasnęły im media. Nie są to oczywiście czynniki bez znaczenia, są one zresztą istotne i zasadnicze, ale kluczowe w tym wszystkim jest nasze uwarunkowanie psychiczne, a mianowicie potrzeba subiektywnego poczucia bezpieczeństwa.

Po pierwsze, lęk przed śmiercią. Najbardziej daleko idące rządowe ingerencje w swobody obywatelskie na Zachodzie w dobie COVID, często obalane potem przez sądy, także w Polsce, zyskiwały dużą aprobatę społeczną właśnie z powodu lęku (wszystko, byle nie respirator i trumna). O mały włos uniknęliśmy w Unii zagoszczenia z nami na stałe zielonych certyfikatów, które bez solidnych podstaw medycznych miały usuwać trędowatych z wielu segmentów życia społecznego; i mimo protestów (wspomnijmy masowe cosobotnie manifestacje we Francji) polityka ta miała szeroką akceptację społeczną. Powtórzmy, bo sami inżynierzy społecznego postępu tego nie kryją: kryzys, budzący lęk, jest najlepszą okazją do niepopularnych reform.

Po drugie, co wiąże się też z lękiem, naiwne, ale jak bardzo mocno zakorzenione pragnienie idealnie bezpiecznego świata, gdzie nic nam nie zagraża, gdzie zawsze wiemy, jak najlepiej postępować, bo kierujemy się wytycznymi mądrzejszych technokratów, gdzie nie trzeba ponosić realnej odpowiedzialności, gdyż jedyna odpowiedzialność to stosowanie się do wszelkiego rodzaju wytycznych i wciąż powstających rozporządzeń, choćby nie miały one poparcia w rozumie czy metapolityce, jaką wyznaczają natura człowieka i tradycyjne normy życia społecznego.

W końcu, i to bodajże jest najważniejsze, kulturowe odejście od chrześcijańskiej antropologii, która bądź co bądź zasadniczo przyczyniła się do zaniku niewolnictwa na ziemiach schrystianizowanych. Jeśli prawo winno pomagać człowiekowi stać się cnotliwym, to sama cnota jest niemożliwa w świecie czystych nakazów i szczegółowych rozporządzeń, gdzie summa summarum nawyki są bardziej mechaniczne niż rozumne. Postęp ubezwłasnowolnienia obywatela wobec wszechmocy Lewiatana poprzedza abdykacja człowieka Zachodu wobec własnej cywilizacji, w tym zdrowo rozumianej wolności. Cała historia europejskich systemów prawnych sprowadza się w dużej mierze do wyważania potęgi władzy z prawami upodmiotowionej jednostki, gdzie złoty środek wyznacza sprawiedliwość i dobro wspólne. Prawdą jest, że z powodu dobra wspólnego cała technika, w tym algorytmy sztucznej inteligencji, powinna być sprzężona w system bezpieczeństwa zarówno narodów, jak i jednostek, ale nie może się to odbyć kosztem uprzedmiotowienia człowieka w niewypowiedzianej formie współczesnego, owszem, bardziej komfortowego niż onegdaj, ale jednak niewolnictwa i orwellowskiej kontroli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

GSK

pl.gsk.com

Łączymy naukę, technologię i umiejętności, aby pokonywać choroby i dbać o zdrowie ludzi dzięki nowoczesnym lekom i szczepionkom

DZIAŁALNOŚĆ GSK W POLSCE*

45 lat
w Polsce

2 000+
zatrudnienie (2021)

2,23 mld zł
wartość inwestycji (2021)

750
liczba nowych miejsc pracy w GSK Poland Global Hub w 2021

2,36 mld zł
łączny wkład do PKB Polski (2020)

48 badań klinicznych o wartości
47,5 mln zł,
240 ośrodków i 4,6 tys. pacjentów (2021)

25 mln opakowań
dostawa leków i szczepionek dla polskich pacjentów (2021)

297 mln zł
daniny publiczne (CIT, PIT, VAT, ZUS) (2020)

*** Na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI", sierpień 2022**

Grudzień 2022, SUPP-2205013

eprasa.pl 86d441b100

W stronę nowej Jałty

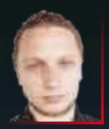

Jan Fiedorczuk

Rosja może przegrać wojnę pod względem militarnym, ale jednocześnie wygrać na płaszczyźnie dyplomatycznej. Wcześniej czy później zarówno Unia Europejska, jak i USA będą dążyć do porozumienia z Władimirem Putinem, aby na nowo uporządkować świat

FOT. ADOBE STOK

Po niemal roku od wybuchu wojny mało kto uznaje rosyjską inwazję za sukces Władimira Putina. Owszem, Moskwa przejęła Donieck i Ługańsk, tym samym uzyskując dostęp do Krymu, jednak te zdobycze zostały okupione olbrzymią ceną – gospodarczą, militarną i polityczną. Problemem Ukrainy nie jest zatem to, że przegrywa wojnę, tylko że wygrywając wojnę, może przegrać pokój. Sukces osiągnięty na bitewnym polu może zostać przekuty na porażkę w zachodnich gabinetach.

Zabawa w politycznego wróżbitę, szczególnie w kontekście wojny, to ryzykowne przedsięwzięcie. Wystarczy, że cofniemy się o rok i przejrzymy oceny i przewidywania na rok 2022. Z perspektywy czasu zabawnie czyta się analizy, w których przewidywano, że Rosja pod naporem sankcji Zachodu zachwieje się w posadach. Regularnie zapewniano, że na Kremlu szykowany jest przewrót pałacowy, a sam Putin zgodnie z medialnymi doniesieniami co najmniej raz w miesiącu zaglądał śmierci w oczy. W rzeczywistości były to kolejne przykłady polskiego myślenia życzeniowego. Pewnym apogeum tych rojeń były wizja rozpadu samej Rosji oraz poniekąd powiązana z nią absurdalna, niezwykle szkodliwa koncepcja budowy federacji polsko-ukraińskiej.

Minęło ledwie kilka miesięcy, a te przewidywania już straciły na aktualności. Dlatego jeżeli chcemy prognozować dalsze losy Ukrainy i Rosji, to ważne, byśmy na chwilę zdobyli się na odrobinę dystansu i spróbowali ocenić sytuację w oderwaniu od naszych pragnień.

WYGRAĆ WOJNĘ, PRZEGRAĆ POKÓJ

Jak wskazuje Emma Ashford w artykule opublikowanym na łamach „Foreign Affairs" – niemal wszystkie wojny świata kończyły się przy stołach negocjacyjnych. To ważny głos, któremu warto się nieco bliżej przyjrzeć, gdyż prezentuje perspektywę praktycznie nieznaną nad Wisłą. Autorka przestrzega Biały Dom przed popadnięciem w „niebezpieczną fantazję absolutnego zwycięstwa", a następnie wprost stwierdza, że Ukraina powinna zrezygnować z utraconych terytoriów (Krymu i oderwanych republik). W podobne tony uderzał niedawno Charles A. Kupchan na łamach „The New York Times", przekonując, że Ukraina musi się pogodzić z utratą części terenów. Było to de facto powtórzenie głośnych tez Henry'ego Kissingera z Davos.

Tego pokroju oceny zaczęły przebijać się do mainstreamu i pojawiać się w wypowiedziach czołowych zachodnich polityków. O amerykańskich naciskach na Zełenskiego, aby ten zaakceptował konieczności negocjacji z Putinem, media informowały już w listopadzie. Z kolei na początku grudnia Joe Biden ogłosił, że sprawę wojny będzie konsultował z sojusznikami z NATO, otwarcie przy tym pomijając Ukrainę, a następnie wystosował do Putina ofertę bilateralnych rozmów, co dla włodarza Kremla było nie do przecenienia.

„Obalenie Putina, zapowiedziane publicznie przez Bidena, do czego miały przyczynić się zachodnie sankcje, przestało być widocznie zachodnim celem" – komentował zachowanie Białego Domu „Frankfurter Allgemeine Zeitung".

Zainteresowanie niemieckiej opinii publicznej nie dziwi, gdyż nad Renem od dawna pojawiają się głosy dotyczące konieczności wznowienia jakichś relacji z Moskwą. Olaf Scholz w trakcie grudniowej Berlińskiej Konferencji Bezpieczeństwa stwierdził, że jeżeli tylko Putin wyrzeknie się agresywnej polityki, to możliwy będzie powrót do przedwojen-

eprasa.pl 86d441b100

nego „ładu pokojowego" z Rosją. Również prezydent Francji zapewnia, że nie ma zamiaru zrywać relacji z Moskwą, wskazując, że w trakcie negocjacji pokojowych Rosja musi otrzymać „gwarancje bezpieczeństwa".

Co ciekawe, to właśnie Emmanuel Macron zwrócił uwagę, że Europejczycy ponoszą nieporównanie większe koszty wojny niż Amerykanie, trafiając tym samym w bardzo czułą strunę zachodniej polityki. Niedawno media obiegły wieści, że w ostatnich miesiącach UE i Wielka Brytania kupiły od Rosji więcej LNG niż przed wojną, a np. Japonia zdecydowała się wprowadzić wyjątek od sankcji nałożonych na Rosję, tak by chronić projekt Sachalin 2, w którym udziały mają japońskie firmy. Z kolei kilka tygodni temu media informowały o niemieckich firmach z przemysłu metalowego, które handlują z Rosją, dostarczając Moskwie sprzęt dla firm zbrojeniowych. W najbliższych miesiącach można spodziewać się większej liczby takich incydentów – biznes w naturalny sposób będzie naciskał na rządy, by wrócić do status quo ante. Za biznesem pójdą w końcu też same społeczeństwa oraz politycy.

WYKRWAWIANIE ROSJI

Jeżeli można poważyć się na jakiekolwiek przewidywania względem dalszych losów konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, to muszą one nas doprowadzić do prostej konkluzji – wcześniej czy później Zachód ponownie dogada się z Putinem (bądź jego następcą). Zrobi to albo z Ukrainą przy stole, albo – w razie konieczności – ponad jej głową. Mówiąc wprost, świat zachodni zmierza w kierunku nowej Jałty. Oczywiście nie w rozumieniu konferencji pokojowej, tylko pewnego procesu kształtowania nowego podziału łupów, nowego porządku geopolitycznego.

„Too big to fail" – tym sloganem korporacje posługiwały się w czasie kryzysu 2007–2009, dowodząc, że mimo zapaści finansowej ich upadek jest niemożliwy, gdyż pociągałby dalekosiężne konsekwencje dla wszystkich uczestników globalnej gospodarki. Podobnie Zachód patrzy na Rosję, która pozostaje dla niego partnerem w biznesie oraz – co nie mniej ważne – trwałym elementem struktury międzynarodowej. Moskwa dla Waszyngtonu – jakkolwiek brzmiałoby to kontrowersyjnie – stanowi czynnik stabilizujący na bezkresnych połaciach Euroazji. Jeżeli Ameryka planuje choćby „odwróconego Nixona" albo jakikolwiek inny projekt, do którego musi zaangażować Rosjan, to łatwiej takiego manewru dokonać z jednym rozległym, acz osłabionym podmiotem niż z grupką skłóconych postrosyjskich państewek, które co chwila będą targane kryzysami politycznymi, gospodarczymi etc.

Wojna będzie zatem trwała tak długo, jak długo Biały Dom będzie uważał, że wykrwawianie Rosji leży w jego interesie. Gdy proporcje tego równania ulegną zmianie, zmianie ulegnie też wsparcie dla Ukrainy. Kijów de facto wisi na amerykańskiej kroplówce i gdy zostanie ona odcięta, Zełenski nie będzie miał innego wyboru niż usiąść do stołu negocjacyjnego.

Postawa Moskwy do tej pory była bezkompromisowa i nic nie wskazuje, aby Rosja szykowała się do załagodzenia sporu. Wprost przeciwnie – sygnały płynące z Kremla świadczą, że wojna może trwać jeszcze miesiącami, jeżeli nie latami. „The Washington Post" ostrzegał niedawno, że konflikt może stracić swój impet, ale tlić się przez kolejne dekady, a sama Ukraina może zostać przekształcona w drugą Strefę Gazy. Jeżeli tak by się stało, to niemożliwe wydaje się, aby Rosja przez kolejne dekady była ignorowana przez państwa Zachodu. Proukraiński zapał siłą rzeczy zacznie słabnąć w Europie i USA, a biznes i społeczeństwa zaczną wymuszać na politykach ustępstwa.

W takim scenariuszu wszystkim pierwszorzędnym zagrożeniem dla Polski pozostaje perspektywa eskalacji wojny. Frakcja „jastrzębi" od dawna śni o wyprawie na Wschód i czy to próbie odbicia Kaliningradu, czy też wysłaniu wojsk na Ukrainę. Logikę tej grupy swego czasu wyłożył Jan Maria Rokita: „Nie ma ani takiego ryzyka, ani takiej ceny, której nie warto by zapłacić za pobicie Rosji teraz, na Ukrainie, bo potem będzie to nie tylko trudniejsze, lecz także na dodatek dziać się będzie zapewne w Polsce". Takie podejście oznacza parcie do maksymalnej destabilizacji konfliktu z nadzieją na „całkowite zwycięstwo". Ta postawa wiąże się z nieprawdopodobnym ryzykiem – Rosja oczywiście może zostać pobita, ale równie dobrze wojna może rozlać się na Polskę. To czysty hazard.

CO Z POLSKĄ?

W Polsce samo mówienie o negocjacjach z Putinem zakrawa na zdradę narodową i ściąga nienawiść mediów „prawych" i „patriotycznych". Polityka to jednak nie jest koncert życzeń. Nowa Jałta w końcu nastanie i byłoby dobrze, gdyby polscy decydenci zastanawiali się, co może ona znaczyć nie dla Ukrainy, tylko dla naszego kraju.

Główne zagrożenie, jakie wiąże się z perspektywą nowej Jałty, puka do nas od zachodu. Czas kryzysu jest doskonałą okazją dla unijnych elit, aby dokonać ucieczki do przodu i postawić europejskie społeczeństwa przed faktem dokonanym. Widzieliśmy to już podczas pandemii COVID-19, gdy zapaść gospodarcza wywołana polityką restrykcji została potraktowana jako pretekst do wdrożenia funduszu Next Generation, podporządkowania sobie przez Komisję Europejską rządów narodowych i de facto federalizacji kontynentu. I to wszystko ponad głowami społeczeństw, to wszystko bez choćby jednego referendum.

Obecny kryzys jest dla „unijczyków" szansą, by ten proceder pchnąć jeszcze dalej. Dlatego Bruksela planuje zaciągnięcie kolejnego wspólnego długu – tym razem na dobudowę Ukrainy, a Ursula von der Leyen przekonuje, aby „uelastycznić" fundusze unijne, tak by w sytuacjach kryzysowych można ad hoc finansować niektóre projekty nieuwzględnione w oryginalnych umowach. W obecnych ramach (2021–2027) 98 proc. środków jest już rozpisane, co dość mocno wiąże Brukseli ręce.

Kanclerz Olaf Scholz wprost zapowiedział niedawno, że Niemcy zgodzą się na wejście Ukrainy do Unii Europejskiej, tylko, jeżeli sama Unia zostanie najpierw poważnie zreformowana, co w praktyce zapewne ma oznaczać odejście od zasady jednomyślności i przemianowanie UE w projekt stricte geopolityczny. Jest to tylko jeden z wielu sygnałów świadczących o tym, że nowa, zreformowana Europa może powstać na trupie obecnych suwerennych państw narodowych. Ukraina to dogodny pretekst do przyspieszenia tego procesu.

Najbardziej jednak niepokoi strategia naszego rządu, który zdaje się zupełnie zapomniał, że interesy polskie i ukraińskie nie są tożsame. Można się zatem spodziewać, że Polska będzie akceptować wszelkie kolejne federalistyczne rozwiązania serwowane przez Brukselę, o ile tylko będą prezentowane przez unijnych dygnitarzy w proukraińskim opakowaniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Ameryka nie odpuści

FOT. ADOBE STOCK

Rafał A. Ziemkiewicz

Ameryka nie może pozwolić na zwycięstwo Rosji, nawet na pozór zwycięstwa Rosji – a tym byłby każdy rodzaj rozejmu, którego zresztą Rosjanie długo jeszcze nie będą gotowi zawierać, chyba że dla taktycznego zyskania na czasie

Rozwój wypadków na Ukrainie zależy od dwóch czynników: stopnia determinacji Rosji w kontynuowaniu wojny i gotowości Zachodu do znacznego zwiększenia swojej produkcji zbrojeniowej – bez czego nie uda się zapewnić walczącej Ukrainie wystarczającego wsparcia logistycznego, a co wymaga udzielenia fabrykom broni odpowiednich gwarancji przez rządy.

Oczywiście istnieje jeszcze trzeci kluczowy czynnik: determinacja samych Ukraińców, ale po wszystkim, co spotkało ludność cywilną Ukrainy ze strony agresora, i wobec nieskrywanego przez Rosjan strategicznego celu, jakim jest dla nich zniszczenie Ukrainy jako odrębnego narodu i bytu państwowego, tej akurat można być najbardziej pewnym.

Co do determinacji agresora – bieg wypadków dowiódł już chyba wystarczająco, że dopóki Rosją rządzi Putin, dopóty o pogodzeniu się przez nią z istnieniem Ukrainy nie ma mowy. Putin zdecydowany jest na długotrwałą konfrontację i jest przekonany, że ją wygra – metodą, którą zaproponował kiedyś komunistyczny przywódca Wietnamu Ho Szi Min: „Jeśli zdołamy za każdych dziesięciu, a nawet piętnastu naszych poległych zabijać jednego Amerykanina, to oni pierwsi się załamią". Władca Rosji zakłada, że jego poddani zniosą wszystko, a w razie czego bezwzględny terror zapobiegnie jakimkolwiek przejawom niezadowolenia; natomiast odporność Zachodu na niewielkie nawet obniżenie stopy życiowej ocenia bardzo nisko.

ŻYWE KULOCHWYTY PUTINA

Putin będzie więc nadal mniej lub bardziej jawnie mobilizował do wojska kogo popadnie, głównie jednak więźniów, mieszkańców prowincji, mniejszości narodowe oraz inny element mniej mu potrzebny, i rzucał ich na front z symbolicznym, przestarzałym wyposażeniem. Satysfakcja, jaką w polskich mediach wzbudza ten ostatni fakt, traktowany jako dowód, że Rosja goni resztką sił i wkrótce przegra, dowodzi głębokiego niezrozumienia Putinowskiego sposobu myślenia nawet przez Polaków – cóż dopiero mówić o mieszkańcach „starej Unii" czy USA.

Owe tłumy „mobików", wyrzynane przez Ukraińców pod Buczą czy w innych bezsensownych ofensywach, przypominających podobne szturmy z wielkiej wojny ojczyźnianej (Rżew i Syczewka), to tylko żywe kulochwyty, których zadaniem jest zmusić Ukraińców do wystrzelenia posiadanych zapasów amunicji. Wyposażanie takich kulochwytów w porządną broń byłoby czystą stratą. Wsadzanie ich zaś do kompletnie przestarzałych, odkonserwowanych po dziesięcioleciach czołgów T-62 ma ten sens, że taki czołg jest mniej wart niż nowoczesny pocisk, który zostanie użyty do jego zniszczenia. Nie chodzi zresztą nawet o wartość pieniężną, ale o to, by w końcu wojskom Ukrainy tych pocisków zabrakło. Na ten moment trzymane są, i zapewne uzupełniane na głębokim zapleczu, nowoczesny sprzęt oraz pełnowartościowe jednostki bojowe.

To nie jest strategia rozpaczliwa, zważywszy na to, że zasoby Zachodu, po

eprasa.pl 86d441b100

wielu latach czerpania „renty pokojowej", ogłoszonej po wygranej w zimnej wojnie, obecnie wydają się już być na wyczerpaniu – samej tylko amunicji haubicznej zużywa ponoć Ukraina w ciągu tygodnia tyle, ile jej ma na stanie armia brytyjska, a 18 haubicoarmat Cezar przekazanych przez Francję stanowiło połowę jej stanu posiadania!

Po wielu latach ograniczenia produkcji broni, aby skutecznie pomóc Ukrainie, trzeba uruchamiać nowe linie produkcyjne. A tego, jak już wspomniałem, żaden ze zbrojeniowych koncernów nie zaryzykuje bez odpowiednio hojnych zamówień rządowych. To ogromne kwoty i powiększenie o nie i tak już niebotycznych deficytów państw Zachodu grozi wybuchem społecznego niezadowolenia. Na to właśnie liczy Putin. I wydaje się wątpliwe, by jakiś inny, nowy przywódca, który mógłby go zastąpić po zamachu czy pałacowym przewrocie, od tego myślenia odszedł. Wbrew objawianemu przez wielu „chciejstwu", upatrującym w zmianie władzy na Kremlu szansę na pokój, trzeba się wręcz takiej zmiany obawiać – następca Putina bowiem, choć na pewno nie będzie od niego lepszy, da tłumom zachodnich „pożytecznych idiotów", przemieszanych z budowaną od dziesięcioleci rosyjską agenturą, asumpt do ogłaszania „resetu" i konieczności ustępstw, jakiejś nowej „gorbomanii".

ROSJA NIE MOŻE WYGRAĆ

W tej chwili istnieją na Zachodzie dwie wizje dalszego rozwoju wypadków. Niemcy, z coraz bardziej sprowadzoną do roli ich junior partnera Francją, niezłomnie liczą, że „znowu będzie, jak było". Scenariusz w rodzaju wyżej opisanego – jakakolwiek nowa twarz na Kremlu, nowa „gorbomania" i wielokrotnie przećwiczony szantaż, że jakakolwiek stanowczość wobec Rosji osłabia pozycję „reformatora" i „demokraty" atakowanego przez „twardogłową" wewnętrzną opozycję – jest ich marzeniem. I na pewno szybko się to nie zmieni, wynika bowiem z bardzo jasno zdefiniowanych interesów nie tylko Niemiec, lecz także uzależnionej od nich eurokracji. Cały projekt „pogłębienia integracji" i budowy federalnego „państwa europejskiego", zarządzanego centralnie sponad poziomu państw narodowych, wszystkie towarzyszące mu ideologiczne szaleństwa „ratowania planety" oparte zostały na ścisłej niemiecko-rosyjskiej współpracy surowcowej. Bez taniego gazu, taniej ropy i innych tanich surowców z Rosji niemiecka gospodarka traci konkurencyjność, a bez niemieckiej dominacji nad resztą europejskich krajów konstrukcja traktatu lizbońskiego skazana jest na rozpad. Na razie zaś innego pomysłu na Niemcy ani na Unię Europejską nie ma.

Stąd strategia nieustającej obstrukcji, odwlekania, blokowania, obiecywania i niedotrzymywania – wszystko w nadziei na zwrot sytuacji, pozwalający ogłosić, że zło minęło, i rozpocząć naciski na Ukrainę, by raz jeszcze, jak w 2014 r., zaufała zachodnim „gwarancjom".

Amerykanie jednak są już zupełnie gdzie indziej niż rok temu, kiedy to skłonni byli pod pewnymi warunkami zaakceptować oś Berlin – Moskwa i oddać jej dominację nad Europą. Od stycznia 2022 r., kiedy to Putin i Xi Jinping we wspólnym oświadczeniu otwarcie wypowiedzieli Zachodowi (czytaj: Ameryce właśnie) cywilizacyjną wojnę, uznając się za przywódców „niezachodniej" większości państw świata, a już zwłaszcza po fiasku rosyjskiego „blitzkriegu" na Ukrainie, USA zdecydowane są Rosję „odmocarstwowić" – choć za pożądany uznają taki przebieg zdarzeń, aby nie doszło w Rosji do chaosu na wielką skalę. USA wydają się także przekonane, że stopniowym naciskiem skłonią Niemcy do porzucenia mrzonek o powrocie do przedwojennego, neobismarckowskiego układu z Moskwą, wymuszą na nich stopniowe wycofywania się ze współpracy z Rosją, a także z Chinami. W tym punkcie Amerykanie są z pewnością zbyt wielkimi optymistami. Prędzej czy później przekonają się, że Niemcy nie nadają się na ich głównego partnera w Europie – co będzie znakomitą wiadomością dla nas. Czy jednak nastąpi to już w tym roku – trudno przewidywać, od zbyt wielu czynników to zależy.

Nie przejmowałbym się natomiast przepowiedniami, jakoby amerykańska wola osłabiania Rosji „do ostatniego Ukraińca" mogła skruszeć wskutek wewnętrznych problemów i zmiany u władzy. To prawda, w wielu środowiskach amerykańskich republikanów można obecnie spotkać się z odwoływaniem do izolacjonizmu, atakami na „zbyt daleko idącą" pomoc dla Ukrainy, która odbijać się ma na poziomie życia obywateli, potęgować inflację i inne kłopoty kraju. Nie wydaje się, aby było to coś więcej niż powszednia polityczna demagogia – jak zresztą pokazały znacznie słabsze od spodziewanych wyniki republikanów w wyborach 2022 r., mało skuteczna. Długofalowo powinniśmy sobie życzyć, aby kolejne wybory (w USA odbywają się one częściej niż w Europie, bo kadencje delegatów z różnych okręgów nie pokrywają się ze sobą) przyniosły republikanom większe sukcesy, pod rządami Bidena realne bowiem jest zagrożenie, że USA będą próbowały uzależniać swą pomoc dla mniejszych krajów od spełniania warunków ideologicznych, szczególnie z rodzaju LGBT, w podobny sposób, jak obecnie czyni to wobec nas czy Węgier Unia Europejska.

O strategii USA zadecydują jednak nie obietnice wyborcze, ale żywotny interes największego światowego mocarstwa. Ameryka nie może pozwolić na zwycięstwo Rosji, nawet na pozór zwycięstwa Rosji – a tym byłby każdy rodzaj rozejmu, którego zresztą Rosjanie długo jeszcze nie będą gotowi zawierać, chyba że dla taktycznego zyskania na czasie. Po prostu straciłaby twarz, a wraz z twarzą Tajwan, to zaś oznaczałoby utratę mocarstwowego statusu, na co żaden amerykański polityk pozwolić nie może.

DROGA DONIKĄD

Wszystko to każe oczekiwać długiej wojny na Ukrainie i pogłębiania się wszystkich procesów, rozpoczętych w minionym roku. Jedno jest pewne ponad wszelką wątpliwość: świat, choćby nie wiem, jak bardzo chcieli tego niektórzy, nie będzie już nigdy taki, jak przed rokiem 2022. Poza wszystkimi innymi przyczynami także dlatego, że wydarzenia tego roku ostatecznie udowodniły, iż globalizacja była drogą donikąd. Zachód, otwierając się na wschodnie reżimy gospodarczo, sądził, że bogacenie się tych krajów pociągnie za sobą demokratyczne przemiany. Stało się inaczej: Zachód kosztem utraty miejsc pracy i rosnącego rozwarstwienia społecznego pomógł reżimom nabrać siły, przejąć nowoczesne technologie i rozbudować potęgę militarną. Świadomość, że był to błąd, stała się już powszechna – przyszłość wyznaczają więc działania takie, jak embargo na eksport półprzewodników wprowadzone przez Bidena, uderzające mocno w gospodarkę chińską. W nadchodzącym roku podobnych zdarzeń zobaczymy więcej i będziemy obserwować, jak wyrastają na świecie bariery celne i wraca do łask protekcjonizm, od którego jeszcze kilka lat temu powszechnie się odżegnywano.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

FOT. M.LASYK/REPORTER

W cieniu starego dylematu

Piotr Semka

Ze wszystkich dotychczasowych wyborów PiS jesienna elekcja w 2023 r. zastanie rządzącą partię z najmniej bogatą kartą wyborczych asów

Jeszcze ok. 14 grudnia Mateusz Morawiecki był przekonany, że za pomocą ofensywy politycznej przepchnie przez Sejm nowelę Ustawy o Sądzie Najwyższym, która miała zakończyć spór z Brukselą i przynieść pieniądze z KPO. Takie rozwiązanie byłoby zwieńczeniem jego nowej inicjatywy mediacyjnej, której twarzą był nowo mianowany wiceszef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk. Ponieważ premier wcześniej osobiście zaangażował się w obronę Zbigniewa Ziobry przed próbami opozycji odwołania go w trybie wotum nieufności, wydawało się, że także tradycyjny sprzeciw ziobrystów wobec rozmów z Brukselą zostanie tym razem złagodzony.

Co poszło nie tak? Przede wszystkim swoje weto wniósł prezydent, który zwrócił uwagę, że nowo przyjęte ustawy pozwolą sędziom kwestionować jego nominacje sędziowskie. Ponadto opozycja wcale nie rzuciła się do pomocy premierowi mimo swoich ciągłych deklaracji, jak bardzo oczekują oni pieniędzy z Brukseli dla Polski, i zaczęła się dosyć tradycyjna gra w żądanie licznych poprawek w projekcie rządowym.

Skala ustępstw wobec Brukseli wywołała jednak reakcje po prawej stronie, co było dobrze widać w mediach społecznościowych. Pojawiły się obawy przed tak daleko idącą kapitulacją okraszone podejrzeniami, że nawet wszystkie te upokorzenia nie muszą przynieść wymarzonych pieniędzy z Zachodu. I wtedy, najprawdopodobniej w piątek 16 grudnia, Jarosław Kaczyński podjął decyzję o wychłodzeniu nastrojów. W ogłoszonym w sobotę wywiadzie dla „Gazety Polskiej" wyraźnie zmienił tonację obozu PiS. Jak stwierdził prezes: „Unia Europejska mogłaby uznać uchwalenie Ustawy o Sądzie Najwyższym, ale skutki w Polsce mogłyby być skrajnie destrukcyjne". Jak uściślił: „Destrukcyjne w sensie możliwości podważania nominacji sędziowskich [...]. Dlatego ta ustawa wymaga doprecyzowania i dalszych konsultacji". Dość koncyliacyjnie zaznaczył: „Te same wątpliwości wyraził prezydent Andrzej Duda, dlatego ta ustawa wymaga doprecyzowania i dalszych konsultacji".

GRA INTERESÓW

Za Kaczyńskim kolejni politycy Zjednoczonej Prawicy zaczęli wyrażać swój sceptycyzm. Głos zabrał oczywiście Zbigniew Ziobro, który przypomniał, że nie można ufać zapewnieniom ze strony UE, a rzeczywistość pokazała, że Polska jest szantażowana. Z kolei wicerzeczniczka PiS Urszula Rusecka przypomniała: „Już niejeden raz KE oszukała Polskę". Swój sceptycyzm ogłosił też dość ważny poseł PiS Marek Ast, który przestrzegał, że nowelizacja Ustawy o SN może wywołać negatywne skutki, w tym chaos w sądownictwie. Na tym tle jedyną ripostą z obozu rządowego był długi wpis na Facebooku Mateusza Morawieckiego. W typowy dla siebie, miłośnika historii, sposób premier przestrzegał: „Hannibal ante portas. Rosja zagraża dziś naszej wolności. Wojna ekonomiczna z Europą, wojna hybrydowa i informacyjna, (put)inflacja, cena energii – to wielkie wyzwania współczesności. Spór z Komisją Europejską musi zostać zakończony, bo prawdziwy konflikt rozgrywa się dziś na wschód od Polski […]."

Pozostają więc PiS żmudne negocjacje wewnętrzne. A tak naprawdę zimna kalkulacja, co jest dla niego groźniejsze.

eprasa.pl 86d441b100

Czy brak pieniędzy z KPO czy też wrażenie upokorzenia i porzucenia planu reformy w sądownictwie? Kaczyński dobrze wie i jego doświadczenie polityczne mówi mu, że zdawanie się na rzekomo dobrą wolę sił, które kiedyś demonstrowały zawziętą wrogość przeciwko jego ugrupowaniu, nigdy nie kończy się dobrze. Zawsze w takich sytuacjach przyjmował logikę, że lepiej utrzymać całość swego obozu, nawet odrzucając pozornie atrakcyjne korzyści.

Ta upiorna wizja to jednoczesne rozmontowanie systemu prawnego i ciąg dalszy roszczeń ze strony Brukseli. O tym, że nie jest to scenariusz wydumany, świadczy np. tekst autora, który nie jest kojarzony z prawicą Zbigniewa Parafianowicza, który postawił tezę, że nikt nie oddał tyle suwerenności Brukseli, ile Mateusz Morawiecki. Wskazał on, że początkiem nieszczęść była pierwsza zgoda na pozatraktatowe mechanizmy dyscyplinujące państwa UE. Teraz, jak wskazuje, pojawia się nowe zjawisko pisania ustawy wewnętrznej za aprobatą i pod dyktando Komisji Europejskiej. Wskazuje, że kapitulacja Polski następuje akurat w momencie kryzysu instytucji europejskich. Postawił też ważne pytanie. Czy po kapitulacji w sprawie resortu sprawiedliwości podobny mechanizm nie będzie przeforsowywany przez Brukselę w sprawie żądań obyczajowych.

Kaczyński wie, że obóz prawicy nie wygra bez maksymalnej mobilizacji. Ponadto wie, że potrzebne są pieniądze. Tylko Morawiecki zna całość sytuacji gospodarczej i finansowej i dlatego należy jego ostrzeżenia traktować serio. Z drugiej strony Kaczyński wie, jak łatwo ściągnąć na siebie stan bierności swojego elektoratu, który urażony zbyt daleko idącymi ustępstwami PiS wobec Brukseli może stracić wigor i po części w ramach rozgoryczenia zostać w dniu wyborczym w domu. Na razie zaczyna się typowa dla Polski grudniowa polityczna martwica, która skończy się pewnie gdzieś w okolicach 11 stycznia. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. PiS musi dokonać wyboru w tej sprawie i te trzy tygodnie do 11 stycznia nic nie zmienią. Zobaczymy, jaką decyzję podejmie kierownictwo partii.

OBSERWACJA RYWALI

Koleżeńska wizyta Szymona Hołowni na wiecu u Władysława Kosiniaka-Kamysza w Płocku została powitana jako demonstracja przyszłej wspólnej listy. Dla PSL, który ciągle zmaga się z wyjściem poza próg wyborczy, to gwarancja wejścia do Sejmu. A dla Hołowni, jak to wcześniej bywało w wypadku Tuska, Kosiniak-Kamysz jest to idealny partner, gdyż jego pozycja sondażowa nie jest najsilniejsza. Może przejdzie 5 proc., a może nie.

W tej sytuacji ostatnią tajemnicą jest pytanie, czy Tusk włączy do swojej listy przedstawicieli lewicy. Włodzimierz Czarzasty ma na to dużą ochotę, gdyż marzy o dopchaniu się do rządu i wreszcie objęciu realnej władzy. Czarzasty jest ostatnim hunwejbinem antykaczystowskiego radykalizmu, który wręcz chce ogłaszać już skład nowego domniemanego opozycyjnego rządu. Platformie proponuje rolę swoistej przyzwoitki dla społecznej wrażliwości, która ma osłabić wspomnienie o Tusku jako o zimnym liberale, nieczułym na los zwykłych ludzi. Cała ta układanka miałaby oczywiście sens dla PO i SLD, gdyby nie jeden szczególik – Tusk wyjątkowo nie cierpi Czarzastego i ma jasne przekonanie, że jakakolwiek kooperacja z liderem Lewicy prędzej czy później zakończy się jakimś brzydkim chwytem „Włodka".

Tak więc przeciwko PiS staną trzy listy opozycji plus Konfederacja. Dla PiS to sytuacja mniej wygodna niż jedna lista z Donaldem Tuskiem, która mogłaby odstraszać nie najlepszym wizerunkiem ambitnego gdańszczanina, który stałby na jej czele. Tyle że PiS w obu wypadkach – czy to jednej listy opozycji, czy trzech różnych list – ma jeden nierozwiązany przez ostatni rok problem. Odpływu ok. 5–9 pkt. proc., który nastąpił w ciągu ostatnich trzech lat i który wydaje się trudny do cofnięcia. A to tąpnięcie grozi sytuacją, w której PiS może nie uzyskać samodzielnej większości. I doczekać się koalicji „wszyscy przeciwko mistrzowi".

Prawdopodobnie PiS ma trzy karty do użycia: pierwszą socjalną, czyli wskazywanie na obojętność Platformy wobec najuboższych, druga to oczywiście liczenie na obyczajowe przekroczenia lewej strony, które mogą zmobilizować elektorat prawicy. A trzecia to maksymalne uruchomienie elektoratu wiejskiego. To z tego powodu Jarosław Kaczyński apelował o zwiększenie liczby lokali wyborczych.

Natychmiast oponenci PiS podchwycili wypowiedź Kaczyńskiego, że takie dodatkowe punkty powinny powstawać przy kościołach. Zinterpretowano to jako chęć powrotu do podpierania się Kościołem w czasie kampanii wyborczej. Sens wypowiedzi Kaczyńskiego był inny. Chodziło mu o to, że w wypadku mniejszych miejscowości czy wsi centrum życia w niedzielę jest kościół i właśnie tam powinny być dodatkowe punkty wyborcze.

Jednak można już teraz przyjąć, że opozycja, jeśli tylko będzie mogła, to będzie się starała blokować taki projekt tworzenia dodatkowych lokali wyborczych w mniejszych miejscowościach. Nie oznacza to jednak, że determinacja Kaczyńskiego w tej sprawie nie może zwyciężyć. A dla PiS byłoby to ogromne wsparcie w dniu jesiennych wyborów do Sejmu.

NA OPOZYCYJNYM FRONCIE NIC NOWEGO

„Gazeta Wyborcza" opublikowała niedawno wywiad z politologiem dr. Andrzejem Rankem z Kolegium da Vinci w Poznaniu. Czytając tę rozmowę, można dobrze wczuć się w atmosferę braku pewności opozycji. Choć część wyborców prawicy gani PiS za zejście z impetu, to dla naukowców wyraźnie sympatyzujących z opozycją PiS jest jak diabeł, który potrafi władać duszami Polaków. Jaka jest reakcja? Oczywiście wzywania, żeby grać jeszcze ostrzej, jeszcze brutalniej. Andrzej Ranke apeluje: „Żyjemy w państwie stanu wyjątkowego. Opozycja jest za grzeczna. Musi grać na emocjach".

Wywiad pokazuje, jak silna jest wśród intelektualnych kibiców opozycji chęć do jeszcze mocniejszego naciskania pedału gazu w wyścigu propagandowym z PiS. I znów w redakcji „Gazety Wyborczej" nikt nie zauważył, że wcześniejsza afirmacja agresywności czy to Tomasza Lisa, czy to Romana Giertycha, czy Tuska odstrasza wielu wyborców od opozycji. Te strzały mogą uruchomić zjawisko zintegrowania się elektoratu prawicowego wokół swojej partii. Kaczyński jednak ma coraz mniej kart w ręku. Wydatki związane ze zbrojeniami znacznie zredukowały szanse na jakiekolwiek nowe prezenty socjalne dla zwykłych Polaków. Jeśli wojna będzie trwała przez najbliższy rok, to także będzie to dużym obciążeniem dla budżetu. Nie ziściły się nadzieje, że ktoś w Europie zauważy wkład i wysiłek Polaków włożone w pomoc Ukrainie i osłabi nacisk Komisji Europejskiej na Polskę. Ze wszystkich dotychczasowych wyborów PiS tegoroczna jesienna elekcja zastanie rządzącą partię z najmniej bogatą kartą wyborczych asów. A jednak dzieje gry w karty znają graczy, którzy nawet mając niespecjalnie silne karty, potrafili za ich pomocą czynić cuda. Pytanie, czy w tym roku z Prawem i Sprawiedliwością znów uda się taka sztuka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

FOT. ADOBESTOCK

Wielka kapitulacja

Łukasz Warzecha

KPO wynegocjowaliśmy w taki sposób, że nie tylko znalazło się w nim mnóstwo uciążliwych, kosztownych i głęboko ingerujących w nasze życie warunków, lecz także jeszcze KE będzie nas mogła za jego pomocą grillować praktycznie w nieskończoność

Podczas konferencji „Zderzenie Kulturowe w UE", organizowanej przez Patryka Jakiego w listopadzie 2022 r., występował prof. Zdzisław Krasnodębski, europoseł PiS. Pan profesor powiedział, że w Parlamencie Europejskim często podchodzą do niego koledzy z innych krajów i z zazdrością mówią, jaka to Polska jest odważna w wyrąbywaniu sobie w Unii swojego miejsca. Pan europoseł nie sprecyzował jednak niestety, na czym to wyrąbywanie przez ostatnie siedem lat miałoby polegać.

Na szczęście dla samego mówcy jego wystąpienie miało miejsce kilka tygodni przed tym, jak minister ds. europejskich Szymon Szynkowski vel Sęk przywiózł z Brukseli wynegocjowaną z Komisją Europejską nową ustawę sądową. Gdyby kolejność była odwrotna, teza pana profesora o stawianiu się instytucjom UE byłaby już na pierwszy rzut oka groteskowa. Projekt, który początkowo chciano błyskawicznie przepychać przez Sejm, mógłby bowiem zostać umieszczony w centralnym miejscu na obrazie zatytułowanym „Alegoria kapitulacji".

Poziom ustępstw, jaki został w tym projekcie zawarty, przebija chyba wszystko, co do tej pory było na poważnie w grze. Przypomnijmy, że projekt wprowadziłby identyczne co do swoich skutków i istoty zmiany w ustawach o Sądzie Najwyższym, o ustroju sądów wojskowych, ustroju sądów powszechnych oraz sądów administracyjnych.

KACZYŃSKI NEGUJE, MORAWIECKI CHWALI

W projekcie mamy nie tylko najpewniej niekonstytucyjne przekazanie nadzoru dyscyplinarnego nad całością sądownictwa Naczelnemu Sądowi Administracyjnemu oraz poszerzenie testu niezawisłości o możliwość kwestionowania statusu sędziego przez innego sędziego. Stworzono także możliwość kwestionowania tego statusu wyłącznie z powodu sposobu powołania sędziego, co obecnie jest wyraźnie zabronione. Można by zatem zakwestionować niezawisłość sędziego jedynie dlatego, że zatwierdzała go „niesłuszna" Krajowa Rada Sądownictwa. Wisienką na torcie jest natomiast usunięcie z katalogu sędziowskich wykroczeń dyscyplinarnych kwestionowania umocowania sądów, trybunałów, konstytucyjnych organów państwowych oraz organów kontroli i ochrony prawa. Jednym słowem, napisana dla nas w Brukseli ustawa jest receptą na całkowity chaos w sądownictwie. Zawiera elementy, co do których do niedawna obóz władzy przekonywał, że są absolutnie niedopuszczalne i wyrządziłyby olbrzymie szkody.

Paradoksalnie kształt projektu akceptowanego przez Brukselę przeczy całkowicie celowi, któremu oficjalnie ma służyć spór z rządem Mateusza Morawieckiego. Komisja Europejska twierdzi przecież, że zmiany w sądownictwie są niezbędne, ponieważ w jego obecnej postaci nie ma żadnej gwarancji, że w razie czego polskie sądy zajmą się wydawaniem unijnych funduszy w należyty sposób. Tyle że podsuwane nam rozwiązania są gwarancją bezładu tak dokumentnego, że dopiero wówczas nie istniałaby żadna gwarancja rzetelnego rozstrzygnięcia.

Krytyczną linię wobec projektu wkrótce po zdjęciu go z porządku obrad wydawał się potwierdzać sam Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Gazety Polskiej", mówiąc: „Uchwalenie ustawy prawdopodobnie, ale nie na pewno, byłoby uznane za ich [kamieni milowych] wy-

eprasa.pl 86d441b100

pełnienie, ale skutki w Polsce mogłyby być skrajnie destrukcyjne, nie tylko dla sądownictwa, lecz także całego aparatu państwowego i mogłyby zaszkodzić przyjmowaniu przez Polskę głównych środków z perspektywy budżetowej na lata 2021–2027".

Żeby było zabawniej, w dokładnie tym samym czasie Mateusz Morawiecki na Facebooku we wpisie zaczynającym się łacińską sentencją „Hannibal ante portas", czyli „Hannibal u bram", zachwalał „kompromis" jako może trudny, ale jednak konieczny dla zbudowania polskiej siły militarnej.

PUNKT WYJŚCIA

Wszystkie te kwestie trzeba przedstawić, żeby zrozumieć, jaki jest punkt wyjścia do dalszej gry z Unią – czy może raczej dalszej gry Unii z nami w 2023 r. Finansowy szantaż pieniędzmi z Funduszu Odbudowy i Wzmacniania Odporności jest możliwy z wielu powodów, a atuty są niemal wszystkie po stronie Brukseli. Po pierwsze, bardzo kiepska sytuacja finansowa Polski, którą widać przede wszystkim w podejściu do polskiego długu. Ten wątek pojawia się zresztą w wypowiedziach premiera Morawieckiego. Nie chodzi więc o same pieniądze z KPO, ale raczej o sygnał dla rynków, że sytuacja naszego kraju jest wystarczająco stabilna, aby polskie obligacje warto było kupować z nieco niższym oprocentowaniem. Jeśli tu nic się bowiem nie zmieni, to Polska może wpaść w kryzys zadłużeniowy i Komisja Europejska doskonale to wie. Po drugie, Komisja wie również znakomicie, że rząd nie ma pieniędzy na zbrojenia. Musi je pożyczać. A zbrojenia to teraz priorytet. Po trzecie, pieniądze to warunek wygrania wyborów. Nawet jeśli sama realizacja KPO realnie nikomu w Polsce nie pomoże, to przynajmniej stworzy wrażenie, że rządzący się jednak postarali, zdobyli w końcu kasę z Brukseli, czego wyborcy oczekują. Pokazują to sondaże. I wreszcie punkt czwarty: KPO to test wiarygodności Mateusza Morawieckiego. Brak tych pieniędzy daje jego przeciwnikom w koalicji nieustający materiał do ataków na szefa rządu.

Jako że uwaga skupia się niemal wyłącznie na sprawach dotyczących sądownictwa, mało kto wydaje się rozumieć, że broń, którą dysponuje Komisja Europejska, nie jest jednostrzałowa, lecz wielostrzałowa. To wynika z konstrukcji KPO. Nawet bowiem jeśli założymy, że uda się znaleźć jakieś rozwiązanie w sprawach sądownictwa – co bynajmniej nie jest pewne – to odblokuje nam to tylko jedną z transz KPO. Takich transz jest zaś aż 18 (dziewięć zwrotnych i tyle samo „bezzwrotnych" – bezzwrotność jest oczywiście pozorna, jako że cały fundusz jest finansowany z kredytu spłacanego wspólnie przez wszystkie państwa wspólnoty), każda na sumę kilku miliardów euro. Bruksela może potem do woli grać dostępem do kolejnych transz, kwestionując sposób wypełnienia przez Polskę kolejnych tzw. mierników (czyli celów i kamieni milowych).

Weźmy choćby pełne ozusowanie wszystkich umów cywilnoprawnych, które miałoby – zgodnie z harmonogramem – wejść już w 2023 r. albo słynną dodatkową opłatę przy rejestracji samochodów spalinowych. Jako że są to sprawy drażliwe społecznie, praktycznie w każdej z nich możliwa jest powtórka całego korowodu, który dzisiaj oglądamy w kwestii sądownictwa, ponieważ Polska nie zadbała o stworzenie jasnych, jednoznacznych zasad oceny wypełnienia przez siebie kryteriów. Zgodnie ze słowami ministra Szynkowskiego vel Sęka, wygłoszonymi na spotkaniu z opozycją w Sejmie przy okazji wprowadzenia do porządku obrad ustawy sądowej, ma się tym zajmować jakiś nieokreślony „koledż", który oczywiście będzie miał pełną swobodę decyzji.

Mówiąc najprościej: nasz KPO wynegocjowaliśmy w taki sposób, że nie tylko znalazło się w nim mnóstwo uciążliwych, kosztownych i głęboko ingerujących w nasze życie warunków, lecz także jeszcze KE będzie nas mogła za jego pomocą grillować praktycznie w nieskończoność. Naiwnością byłoby zakładać, że tak się nie stanie.

CO ZROBI PIS?

Role w polskiej polityce są w tej sprawie niemal rozdane. Wiadomo, jakie stanowisko zajmują Solidarna Polska i Konfederacja – w tych sprawach jest mocno zbliżone. Wiadomo, jak działa reszta opozycji: będzie punktować rząd za brak pieniędzy z KPO, tak jakby był to złoty deszcz nieniosący ze sobą żadnych kosztów. Nawiasem mówiąc, nikt nie policzył całkowitych wydatków związanych z wdrożeniem KPO, czyli również tych obejmujących portfele obywateli zmuszanych do ponoszenia większych kosztów życia.

Nie wiadomo natomiast, co zrobi PiS. Teoretycznie można by zakładać, że jeśli Jarosław Kaczyński mówił serio w sprawie ustawy sądowej, to w relacjach z UE powinno nastąpić utwardzenie kursu. Są do tego zresztą inne powody. 17 grudnia Parlament Europejski i Rada uzgodniły poszerzenie systemu ETS o transport i budynki od 2027 r., od 2026 r. zaś mają być wygaszane darmowe uprawnienia do emisji dla przemysłu. Dla naszego kraju to katastrofa. Można by zatem przypuszczać, że w kampanii wyborczej retoryka PiS w tej sprawie będzie bojowa i zacznie przypominać tę, którą od dawna uprawiali ziobryści.

Tyle że retoryka retoryką, a praktyka swoją drogą. PiS nie wykonał nigdy żadnego niepozorowanego, skutecznego ruchu przeciwko głównym założeniom unijnej polityki, a prezes Kaczyński spędził w drugiej połowie 2022 r. wiele godzin na objeżdżaniu Polski i tłumaczeniu, że sytuacja jest trudna, więc trzeba się zgodzić na różne nieciekawe rozwiązania w imię wyższego dobra.

W kampanii PiS będzie zatem musiał balansować między z jednej strony tłumaczeniem swojego najbardziej prawdopodobnego kursu na ułożenie się z UE kosztem ustępstw, a z drugiej – antybrukselskimi tyradami. Być może nadejdzie moment, w którym okaże się, że z punktu widzenia nastrojów wyborców opłaca się jednak zerwać rozmowy w sprawie KPO – obojętnie, czy będzie to dotyczyć transzy z wymiarem sprawiedliwości w pakiecie czy innej. Problem w tym, że to nie tylko kwestia samego PR, lecz także – tu pan premier ma rację – nastrojów na rynkach wobec Polski, a to może się już niemal bezpośrednio przekładać na sytuację samych wyborców. I to również władza będzie musiała uwzględniać.

Realistycznie rzecz biorąc, jeśli rząd nie zdecyduje się przekroczyć politycznej, a także psychologicznej czerwonej linii autentycznej konfrontacji z Brukselą – np. poprzez realizację pomysłu wystąpienia z systemu ETS – to Komisja Europejska będzie mieć nad nami olbrzymią przewagę i będzie ją do wyborów bezwzględnie wykorzystywać. Słabością tego rządu w konfrontacji z Brukselą jest bogata historia ustępstw, pokazująca, że ostatecznie zawsze się wycofuje i przełyka każde, nawet najbardziej dla Polski niekorzystne rozwiązanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Z Józefem Orłem, filozofem, byłym posłem, twórcą Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Diabelska alternatywa

KAROL GAC: Nie ma pan wrażenia, że wbrew pozorom niewiele się zmieniło od naszej ostatniej rozmowy?

JÓZEF ORZEŁ: To prawda. Mamy nowe okoliczności, ale właściwie problemy są takie same.

Rok temu powiedział pan, że sterowność Zjednoczonej Prawicy osiągnęła wartość krytyczną i prawica nie jest już zjednoczona, a przy polityce Zbigniewa Ziobry może się to tylko pogłębiać. Jak więc patrzeć na to z perspektywy ostatnich miesięcy?

Zjednoczona Prawica podążała w stronę zmniejszenia roli Solidarnej Polski i konieczności otrzymania pieniędzy europejskich. Komisja Europejska zaostrzyła jednak swoje stanowisko, więc PiS mógł iść w dwóch kierunkach: „nie to nie" albo „pieniądze ważniejsze niż Ziobro". Na razie wybrano drugi wariant i ZP doszła w nim do ściany. KE w sprawie praworządności tak ustawiła sprawę, żeby zmiana musiała przejść przez Sejm. I zobaczymy, co zrobią PiS, Solidarna Polska oraz opozycja.

Wiemy, że partia Ziobry będzie przeciwko.

Jeśli zagłosowałaby „za", by utrzymać się w obozie władzy, to Ziobro zostałby miękiszonem. W przypadku sprzeciwu zmiany i tak byłyby uchwalone inną większością. To pokaże, że w konkretnych sprawach możliwe są inne koalicje, co otworzy drogę do rządu mniejszości. To będzie pierwszy test.

A drugi?

To, co będzie się działo potem. Zbigniew Ziobro zapewne zaatakuje całą mocą Mateusza Morawieckiego, ale nie wyjdzie z koalicji. Faktycznie będziemy więc mieli rząd mniejszościowy, ale PiS większość już nie jest potrzebna do wyborów, może już nie zmieniać prawa. Tyle tylko, że Solidarna Polska będzie wabiona przez PiS miejscami na listach. A jeśli PiS będzie miał duże szanse na samodzielny sukces, z dużym prawdopodobieństwem pozbędzie się Ziobry tuż przed wyborami.

Jarosław Kaczyński w TVP Gdańsk stwierdził, że „w tej chwili nie widzi żadnych przeszkód", by Zjednoczona Prawica razem szła do wyborów parlamentarnych. Tyle tylko, że prezes PiS ma dylemat – brak Solidarnej Polski może uniemożliwić zwycięstwo, a jej obecność zafundować kolejną odsłonę sporu. Pana zdaniem ten projekt będzie kontynuowany?

To ogromny problem Jarosława Kaczyńskiego, który po części sam sobie sprokurował. Jeśli mimo wszystko Solidarna Polska zostanie w koalicji i na wspólnych listach, to jest więcej niż pewne, że zdobędzie o wiele lepszy wynik niż przydzielone jej miejsca. To partia lepiej zarządzana, bardziej zmotywowana, dobrze ustawiona i głodna sukcesu. Z kolei PiS to w dużej mierze tłuste koty, co Jarosław Kaczyński pośrednio przyznaje. Większy Ziobro oznacza również dużo większe szanse, że przejmie on prawicę po odejściu Kaczyńskiego.

Jeśli sondaże będą wskazywać, że ZP na pewno nie wygra, to SP nie będzie potrzebna, bo nie będzie miało znaczenia, w jakim stopniu PiS przegra wybory. Natomiast przy wyższym poparciu ZP wybierze wspólną drogę, a to oznacza wzmocnienie Solidarnej Polski. Na razie jednak Ziobro nie pokazał niczego poza twardą narracją, brakiem odpowiedzialności i zmarnowaniem szansy na reformę sądownictwa. Inna sytuacja będzie, gdyby ZP miała dostać pieniądze z UE, zima nie będzie tak straszna, a inflacja będzie spadać. Wówczas ZP mogłaby wygrać wybory, ale wiele będzie zależeć

eprasa.pl 86d441b100

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

To jest uzasadniona kontra ideowej części ZP – prezydenta, Beaty Szydło, Solidarnej Polski i w ostatniej chwili Jarosława Kaczyńskiego. Uzasadniona, bo ingerencja KE w nasz ustrój sięga głęboko. Mamy diabelską alternatywę – albo suwerenność, albo pieniądze zapewniające ratunek przed kryzysem. Tyle tylko, że bez pieniędzy ZP przegra wybory. Z pieniędzmi ma większe możliwości polityczne. Wydaje mi się, że spór, co wybrać, będzie trwać w ZP do wyborów, a Jarosław Kaczyński będzie odgrywał w nim rolę arbitra.

A może to Solidarna Polska ma rację, wskazując, że KE dąży do obalenia władzy Zjednoczonej Prawicy i złamie każde porozumienie, a pieniędzy i tak nie będzie?

Też tak myślałem, ponieważ uważałem, że politycznym interesem Berlina i Brukseli jest zmiana rządu w Polsce, co Ursula von der Leyen powiedziała Donaldowi Tuskowi. Nikt nigdy tego nie zdementował ani się od tego nie odciął. Szukałem jednak argumentu, który by wskazywał, że w interesie KE jest danie nam tych pieniędzy, i wydaje mi się, że go znalazłem. Jeśli teraz Komisja da nam pieniądze, to może zażądać od Polski głębokich ustępstw, badać ich granicę i posuwać się bardzo daleko. Wszyscy się zdziwią – jeśli okaże się, że dostaliśmy pieniądze – na jakie ustępstwa poszedł rząd. Ponadto gdyby KE nie dała pieniędzy, a PiS by ponownie wygrał, to w jakiej sytuacji znalazłaby się Bruksela? Miałaby perspektywę czterech lat rządów PiS, a i tak musiałaby nam te pieniądze dać, bo nie da się w nieskończoność ciągnąć tego serialu. Wówczas rząd będzie w dużo lepszej sytuacji.

od wojny – im więcej pokoju, tym mniejsze szanse dla ZP.

Mówił pan też, że jeśli nie będzie pieniędzy z Funduszu Odbudowy, to PiS nie będzie rządził. Alternatywą miało być porozumienie z KE wypracowane przez premiera, ale w grę wchodziła presja czasu. Tymczasem minął rok, a pieniędzy dalej nie ma, choć znów słyszymy o porozumieniu. Tylko czy z politycznego punktu widzenia nie jest już za późno?

Gdyby nic się nie zmieniło, to można byłoby tak powiedzieć, ale zmieniło się jedno: pieniądze są niezbędne. Trudno myśleć o zbilansowaniu budżetu bez tych pieniędzy, ponieważ pod wpływem kryzysu i emocji pogorszyła się sytuacja finansów publicznych, a obligacje Skarbu Państwa zaczęły drożeć. Obecnie, psychologicznie, argumentem dla wyborców nie jest to, że dostaniemy pieniądze i zdążymy je wykorzystać, ale to, że je dostaniemy i jest szansa na ich przyszłe wykorzystanie. Zwłaszcza że to można sprawnie ubrać narracyjnie.

Druga połowa grudnia to prawdziwy rollercoaster. Nieoczekiwanie rząd poinformował o wypracowanym kompromisie z KE i zaprezentował nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym. Naciskał też, by przyjąć ją od razu i bez poprawek. Chwilę później wystąpił prezydent, a projekt ostatecznie spadł z porządku obrad. Jak pan to odczytuje?

Wojna na Ukrainie trwa już 10 miesięcy. Wiosną mówił pan, że Rosja chce usiąść przy najważniejszym stoliku świata razem z Chinami i USA, a jej celem jest m.in. zakłócenie jedności Zachodu. Tymczasem przywódcy Francji i Niemiec wspomnieli niedawno o potrzebie budowy architektury bezpieczeństwa z Rosją oraz o gwarancjach bezpieczeństwa dla niej.

Niewiele się zmieniło od naszej rozmowy. Owszem, na polu walki dużo, ale nie zmienił się cel inwazji Rosji na Ukrainę. Trzeba pamiętać, że Kreml nie patrzy na to, ile ludzi straci albo ile pieniędzy. Rosja ciągle ma narzędzia realizacji tego celu pomimo tego, że na polu walki przegrywa. Teraz niszczy infrastrukturę

eprasa.pl 86d441b100

energetyczną, aby Ukraińcy wymusili na władzy zawarcie pokoju. Każdy pokój, za którym będzie szło odtworzenie relacji biznesowych z Zachodem, będzie oznaczać wzmocnienie Rosji w relacjach z UE, USA i Chinami.

A jak pan patrzy na to, co wydarzyło się w Przewodowie?

Nie wydarzyło się nic kluczowego, ale był to moment, w którym Zachód przestraszył się, że jest to pomysł Rosji na aktywne sprowokowanie i testowanie NATO. Podobno także na Kremlu zapanowało zdenerwowanie, bo jeśli Rosjanie prowokują Zachód, to bardzo rozważnie i precyzyjnie. Warto zwrócić też uwagę na coś, co jest antytezą Przewodowa. Ukraińcy, nie patrząc na obowiązującą rosyjską doktrynę wojenną, bezczelnie zbombardowali Rosjanom dwa lotniska wojskowe, z czego na jednym stacjonowały bombowce strategiczne. Efekt był błyskawiczny – Rosjanie przenieśli dalej swoje samoloty, co sprawi, że będą lecieć dłużej. Rosja zareagowała podobnie jak Zachód w sprawie Przewodowa. Warto zobaczyć tę symetrię oraz rolę Ukrainy w obu przypadkach.

Wiosną mówił pan o potrzebie modernizacji państwa, by udźwignąć sytuację związaną z uchodźcami. Szybkiej modernizacji nie ma, a emocje społeczne się zmieniają.

Państwo trzeba zmodernizować, bo było to obiecane, a mało co zostało zrobione. Nie zwiększył się wpływ społeczeństwa na decyzje polityczne, nie poprawiła się jakość usług publicznych i polityki społecznej.

Obawiam się dwóch rzeczy: po pierwsze, potrzebna jest suwerenność, by móc wybrać dobrą drogę rozwoju, więc słuszne jest stawianie się Berlinowi i Brukseli. Ale one mogą okazać się silniejsze i możemy tę walkę przegrać. Po drugie, to może stać się fałszywym polem walki w kampanii wyborczej. Może to podjąć opozycja, która, jeśli nie dostaniemy pieniędzy od KE, będzie wskazywać na brak rozwoju i modernizacji, choć ona oczywiście nic w tym zakresie nie zrobiła i nie zrobi, a PiS po raz trzeci będzie mówić, że jak dostanie władzę, to zrobi wszystko. A bez modernizacji państwa nie ruszymy z poprawą naszej pozycji w UE i na świecie.

Oceniał pan także, że kwestie gospodarcze powrócą, kiedy wojna się skończy, a ludzie będą chcieli poprawy. Wojna się nie zakończyła, ale kwestia inflacji, drożyzny, niewydolności państwa jest odczuwalna. Jak poważny to problem dla rządu?

Poważny. Sama inflacja nie jest jeszcze powodem do zmiany preferencji politycznych i znaczącego zwiększenia niezadowolenia. Do tego potrzeba jeszcze przynajmniej dwóch rzeczy – braku stabilizacji i lęku przed wojną. Dopóki nie grozi nam wielka fala migracji, dopóty można powiedzieć, że wpływ wojny na polskie życie na razie się ustabilizował. Ale warto spojrzeć na lęk przed brakiem węgla, który był powszechny i paniczny pomimo tego, że na węgiel opalanych jest pewnie ze 20 proc. gospodarstw domowych. To pokazuje, że wciąż mamy ukryty lęk przed wojną. Pokazał się też on przy okazji reakcji na niepotrzebnie groźne komunikaty armii w sprawie ćwiczeń.

> **Nerwowe zabiegi Donalda Tuska o wspólną listę świadczą o jego słabości. Tym bardziej że stale dostaje od innych sygnał, że z nim nie pójdą**

Jaka będzie nadchodząca kampania i jakiego rozstrzygnięcia politycznego się pan spodziewa?

Kampania de facto już trwa, więc łatwo można wyciągnąć wnioski. Będzie ona niezwykle brutalna, szczególnie ze strony opozycji. Im większe szanse na zwycięstwo będzie miał PiS, tym większe emocje będziemy widzieli. Sądzę, że PiS będzie starał się nie odpowiadać na tę brutalność, by pozycjonować się jako racjonalna i spokojna partia gospodarz. To ostatnia szansa dla opozycji, by zdobyć władzę, bo wielu polityków może nie wytrzymać trzeciej kadencji bez rządzenia. Opozycja będzie oczywiście wspierana przez Brukselę i Berlin, a zapewne i z USA będą płynąć odpowiednie sygnały. Jeśli chodzi o wynik, to – jeśli przeżyjemy zimę – będą pieniądze z KPO, inflacja zacznie spadać, szanse PiS będą rosły. Nie wiem, czy wystarczą na tyle, by wygrać, ale sądzę, że nikt tego teraz nie wie.

Pojawiały się też plotki dotyczące zmiany premiera i nowego otwarcia na wiosnę. Na ile to realny scenariusz, a na ile Mateusz Morawiecki może spać spokojnie?

Spać spokojnie nie może, bo kieruje państwem, które jest w bardzo trudnej sytuacji. Prezes PiS obronił już kilka razy premiera, a dolny aktyw partii wspiera go, bo jeździ po kraju i mówi o inwestycjach lokalnych i innych korzyściach. Oczywiście w przypadku gwałtownego kryzysu taka zmiana może nastąpić. A właśnie teraz mamy spór pomiędzy rządem, który chce szybko uzyskać pieniądze z KPO od KE, a SP i jej sojusznikami, którzy nie zgadzają się na warunki stawiane przez KE, godzące w naszą suwerenność.

A co z opozycją? Warto jej poświęcić chwilę uwagi?

Nerwowe zabiegi Donalda Tuska o wspólną listę świadczą o jego słabości. Tym bardziej że stale dostaje od innych sygnał, że z nim nie pójdą. Im sondaże będą bardziej korzystne dla opozycji, tym bardziej ten rozdźwięk się zwiększy. Jeśli jednak opozycja pójdzie osobno, a wcale nie wiadomo, czy w ten sposób zdobędzie gorszy wynik, to dopiero wtedy zacznie się bój Tuska o bycie hegemonem nowej władzy i jednocześnie wojna podjazdowa reszty opozycji przeciwko niemu. Nie po to inni chcą wygrać, by podporządkować się Tuskowi. To oznacza, że taka niespójna koalicja będzie miała problem z opracowaniem polityki rządowej. Tusk będzie cisnąć, by dawać narodowi jak najmniej, a inne formacje będą próbowały prowadzić politykę bardziej społeczną. Wygeneruje się ostry konflikt, bo PO potrafi taki budżet, jak ma PiS, wydać nie wiadomo na co.

Ponadto w Berlinie i Brukseli Donald Tusk zostanie zapytany nie o to, czy będzie wobec nich lojalny, bo to jest oczywiste, ale o to, czy Polska w sprawie Ukrainy będzie prowadzić politykę niemiecką czy amerykańską. To byłby bardzo trudny wybór dla teraźniejszej opozycji. Będzie ją ciągnąć, by iść drogą niemiecką mniejszej pomocy dla Ukrainy, co będzie nie do przyjęcia dla USA i co wykluczy nas z gry o powojenny porządek w Europie. Już widzimy początek wojny handlowej między USA a UE, która będzie miała ogromny wpływ na sytuację geopolityczną Polski i dlatego powinna być mocno stawiana w kampanii wyborczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

G2A ARENA

Centrum Wystawienniczo-Kongresowe
Województwa Podkarpackiego

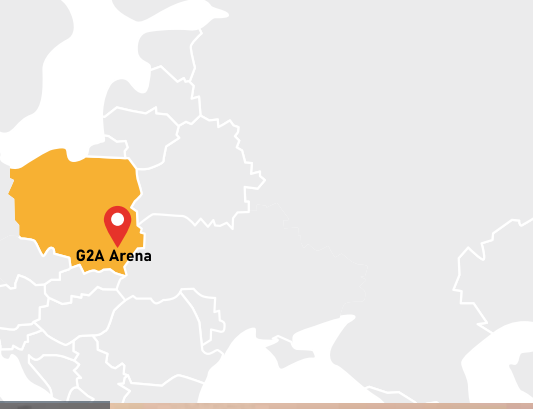

IDEALNE MIEJSCE NA TWÓJ EVENT

SALA	POWIERZCHNIA (m2)	KONFERENCJA (miejsca)	BANKIET (miejsca)
WYSTAWIENNICZA	4800	2700	1200
KONGRESOWA	-	872	-
KONFERENCYJNA DUŻA	350	220	100
KONFERENCYJNA DUŻA	290	190	100
KONFERENCYJNA MAŁA X 7	40-70	20-50	-
HOLL	1230	160	160
SALA RESTAURACYJNA	240	130	160
SALA RESTAURACYJNA	350	130	120

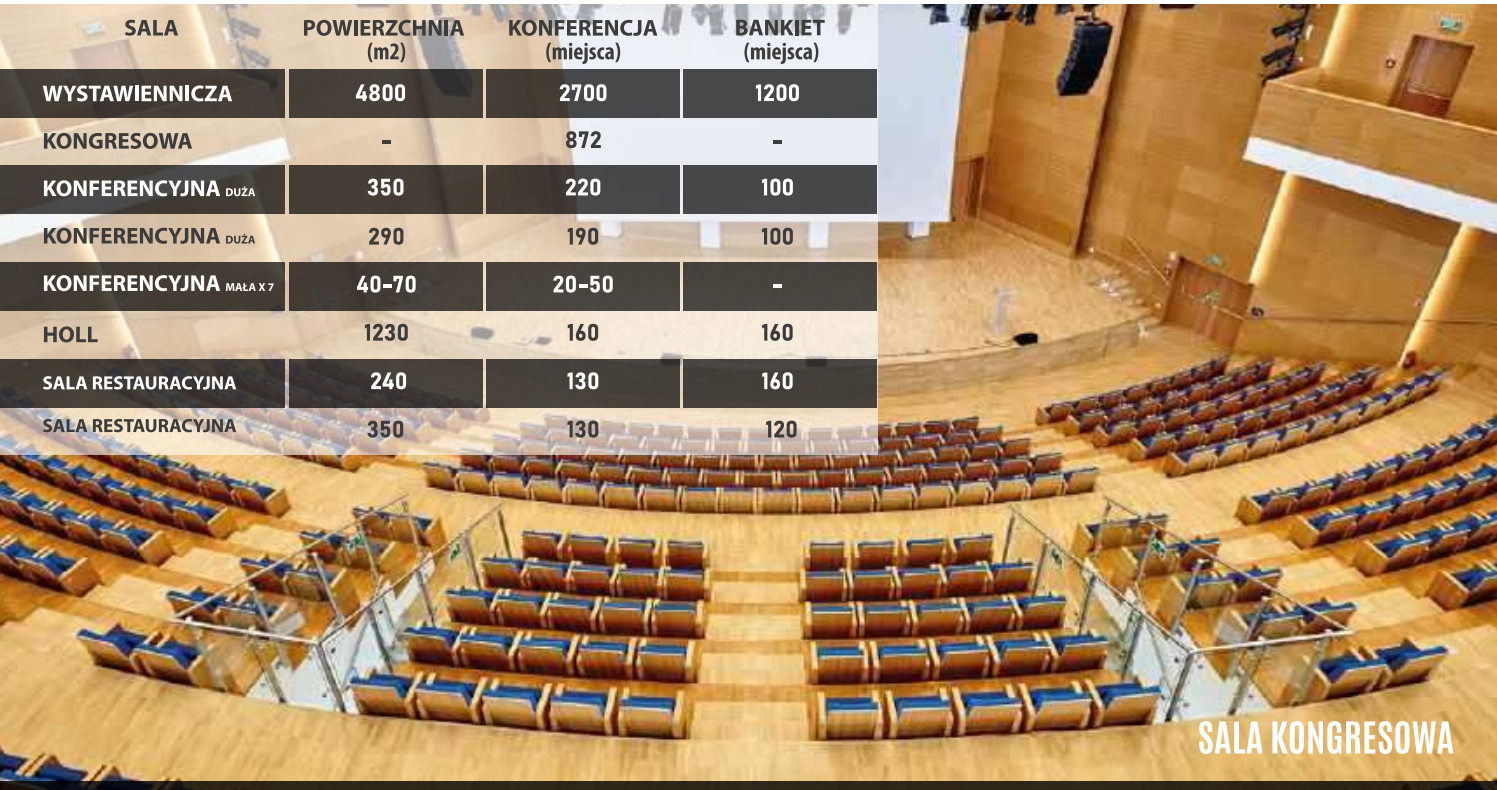

SALA KONGRESOWA

CWK Operator Sp. z o.o. 36-022 Jasionka 953 tel: +048 17 772 44 10 biuro@cwkoperator.pl www.g2aarena.com

Czy ojczyzny trzeba bronić?

Łukasz Zboralski

Wojna u granic, a wojsko chce przeszkolić 200 tys. rezerwistów. Niby nic dziwnego, a w kraju wybuchła awantura. Widmo poligonu okazało się dla wielu mężczyzn przerażające. Czy społeczeństwo ma prawo od nich wymagać takiego wyrzeczenia?

Nie ma chyba lepszego obrazu pomieszania z poplątaniem w sprawie wojskowych szkoleń niż zdjęcie zamieszczone przez znanego muzyka, twórcę Elektrycznych Gitar – Kubę Sienkiewicza. Muzyk zamieścił na Facebooku zdjęcie z dokumentem, który przysłało mu wojsko. I napisał: „Dostałem kartę mobilizacyjną. Biorą już rocznik 61. Cieszę się z tego. To jest bardzo dobry rocznik. O dużej wartości bojowej. Damy radę. Jak w 1939".

Takie przedstawienie sprawy mogło dać ludziom wrażenie, że Sienkiewicz właśnie dostał list, w którym nakazują mu stawić się po karabin i udać na front. Tymczasem wojsko rozpoczęło wysyłanie informacji ludziom, którzy już odbywali służbę, w związku ze szkoleniami takich osób, które zamierza przeprowadzić w przyszłym roku. A Sienkiewicz w wojsku był, choć dawno temu, jeszcze w PRL służył w czołgu.

Może dziwić jeszcze to, że muzyk ma 61 lat. Jednak i tu jest logiczne wyjaśnienie. Wojsko wybiera na przeszkolenie z byłych rezerwistów zwłaszcza takich, którzy są przedstawicielami określonych zawodów. Tak się składa, że Sienkiewicz z wykształcenia jest neurochirurgiem. Trudno uznać, że akurat lekarze nie przydaliby się w wojsku, gdyby – nie daj Boże – Polska zaczęła mieć taki problem, jaki ma dziś Ukraina.

KTO PÓJDZIE W KAMASZE

Wielka dyskusja w sprawie wzywania do wojska Polaków nie zaczęła się jednak od muzyka. Zaczęła się od jednego przypadku opisanego przez media. O tyle ciekawego, że wezwanie z Wojskowego Centrum Rekrutacji w Sieradzu dostał akurat mężczyzna, który w wojsku nigdy nie był. Jego zawodu nie ujawniono (prawdopodobnie też miał taki, który MON uznaje za przydatny). Potem okazało się, że człowiek ten został wezwany tylko po to, by go zarejestrować. Dopiero kolejne wezwanie oznaczałoby, że musi stawić się na obowiązkowe ćwiczenia.

Tu trzeba wyjaśnić krótko polskie prawo – czyli Ustawę o obronie ojczy-

eprasa.pl 86d441b100

Szef Centralnego Wojskowego Centrum Rekrutacji płk Mirosław Bryś. To CWCR wzywa rezerwistów na ćwiczenia FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

zny, która weszła w życie w kwietniu tego roku. Wprowadziła ona rozróżnienie wśród obywateli na rezerwistów aktywnych i pasywnych. Ci pierwsi to tacy, którzy kiedyś służyli w wojsku (gdy była to jeszcze służba obowiązkowa), oraz tacy, którzy przeszli trwające 28 dni podstawowe przeszkolenie wojskowe i złożyli przysięgę. Do tego kręgu zaliczają się też np. żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej czy byli żołnierze. Pasywną rezerwę tworzą zaś ci Polacy, którzy po prostu przeszli kwalifikację wojskową – a więc określono ich zdolność do służby wojskowej.

Centralne Wojskowe Centrum Rekrutacji wyjaśniło, że takie osoby jak mężczyzna z Sieradza, które nigdy do czynienia z wojskiem nie miały, raczej na ćwiczenia wezwane nie zostaną. Wezwania mają dotyczyć głównie osób, którym zostały już nadane przydziały mobilizacyjne.

„Na ćwiczenia wojskowe powoływane są osoby z pasywnej rezerwy, które mają uregulowany stosunek do służby wojskowej, nie pełnią innego rodzaju służby wojskowej oraz nie ukończyły 55. roku życia" – napisała służba na Twitterze. I dodała: „Powołując na ćwiczenia osoby z pasywnej rezerwy, w niewielkim stopniu sięgamy po potencjał osób, które posiadają pożądane, przydatne kwalifikacje na potrzeby Wojska Polskiego, a nie odbyły wcześniej szkolenia wojskowego".

W sumie w przyszłym roku przeszkolonych ma zostać do 200 tys. osób (co w ogóle nie oznacza, że aż tylu uda się przeszkolić). Szansa na to, że na poligony trafią ci, którzy nigdy z wojskiem nie mieli do czynienia, jest raczej niewielka.

Jednak młodzi mężczyźni – głównie w Internecie – wydawali się przerażeni tym, że mogą trafić „w kamasze". Wielu z nich wyrażało zdumienie, że zawodowa armia nie wystarczy do obrony kraju (tu znów – wystarczyłoby spojrzeć na Ukraińców, by to zrozumieć). Część pisała, że zawodowi żołnierze będą w przypadku konfliktu posługiwać się nimi jako „mięsem armatnim". Wskazywano przy tym, że obowiązek pójścia do wojska nie dotyczy posłów czy osób pełniących ważne funkcje w państwie.

Te nastroje natychmiast próbowali wykorzystać politycy Konfederacji, którzy zorganizowali konferencję i zaproponowali nowelizację prawa. – Jeżeli rząd jest gotowy zmieniać życie ludziom, którzy do tej pory nie mieli kontaktu z wojskiem, to nie może być tak, że wyłącza się szeroką grupę osób pełniących funkcje polityczne i samorządowe. Nasz projekt zdejmuje ten przywilej – mówił na niej poseł Krzysztof Bosak.

SZKOLENIE NIE BEZ ZAPŁATY

Strach ludzi, którzy mają nagle trafić na wojskowe szkolenie, należy oczywiście zrozumieć w kontekście wyrwania ich z dotychczasowych obowiązków – pracy, prowadzenia firm. Bo miesiąc poza obowiązkami zawodowymi w niektórych przypadkach naprawdę może oznaczać poważne kłopoty. Trzeba też jednak dodać, że to nie jest ani najkrótszy okres, ani najdłuższy w planowanych ćwiczeniach. Jak wynika z informacji CWCR, ćwiczenia rezerwistów mogą być: jednodniowe, 30-dniowe oraz 90-dniowe. Mogą to być też ćwiczenia rotacyjne, czyli trwające do 30 dni i odbywające się z przerwami w określonych dniach.

Pełen obraz oddaje dopiero dodanie informacji, że człowiek powołany na takie ćwiczenia otrzymuje wynagrodzenia i rekompensatę. Za każdy dzień szkolenia przysługuje – w zależności od stopnia wojskowego – od 2,85 do prawie 14 proc. najniższego uposażenia zasadniczego żołnierza, które wynosi obecnie 4560 zł. Zatem każdy szeregowy powołany na ćwiczenia dostanie 129,96 zł za dzień (kapral – 151,12 zł, sierżant – 157,32 zł, podporucznik – 191,52 zł).

A to nie wszystko. Ci, których dzienna stawka za pracę przewyższa kwotę uposażenia zasadniczego, mogą złożyć wniosek o świadczenie rekompensujące. Takie świadczenie nie może przekroczyć 1/22 miesięcznego dochodu brutto za jeden dzień ćwiczeń wojskowych. A w przypadku jednoosobowych działalności gospodarczych ujmuje się dochód jako zarobki z miesiąca poprzedzającego wojskowe szkolenie.

OBOWIĄZEK?

Ta burza w szklance wody uświadomiła wielu Polakom, że choć od dawna nie ma przymusowego poboru do wojska i na co dzień zadowalamy się tymi, którzy mają ochotę być zawodowymi żołnierzami, to prawny obowiązek obrony kraju nigdy nie zniknął. W obliczu wojny wszyscy zdolni do służby wojskowej – nie wyłączając przy tym kobiet, które zgłosiły się wcześniej na kwalifikację wojskową – mogą zostać zmobilizowani.

Spór o powołania na ćwiczenia i reakcja młodych ludzi daje nam z kolei pewien obraz współczesnego społeczeństwa. Debata nad ćwiczeniami nie odbywa się przecież w próżni, a w czasie, gdy tuż za polską granicą inny naród zmuszony został właśnie do heroicznej obrony własnej wspólnoty – takiej obrony, w której trzeba oddawać życie (a nie tylko zasoby i pieniądze – co dziś szczęśliwie jest udziałem zachodniej Europy, w tym Polski).

Czy naprawdę młodzi Polacy mogliby powiedzieć, że nie zamierzają bronić „tego kraju", bo nie podoba im się przymus? Czy naprawdę moglibyśmy czuć się bezpieczni, gdyby prawnie zniesiono przymus mobilizacyjny w przypadku wojny? I ostatnie pytanie: Czy po latach rządów Zjednoczonej Prawicy, które przecież kładły mocny nacisk na kształcenie postaw patriotycznych, nie udało się ich wykształcić w ogóle? To może coś robimy nie tak, jak trzeba…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Tomasz Rowiński

W przypadku ustawy „W obronie chrześcijan” lewicowe media starają się budować atmosferę, wedle której nikomu w Polsce nie zależy, by religia i praktyki religijne były lepiej chronione, i że mamy do czynienia z akcją fanatyków. Chciałoby się powiedzieć: stary numer

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Fanatyzm świeckości

przeciwko obronie chrześcijan

Styl reakcji na projekt ustawy „W obronie chrześcijan” ze strony krytyków tego dokumentu przypomina starą prawdę. Dla liberałów i lewicy wolność religijna oznacza zawsze i prawie wyłącznie wolność od religii, a prawie nigdy zaś prawo ludzi religijnych do tego, by ich pobożność była zabezpieczana przed społeczną opresją wrogów wiary. Aby tego rodzaju prawo podważyć i unieważnić, zawsze znajduje się pałka wyższego rzędu w liberalnym systemie wartości. Tym razem, jak zresztą dość często, jest to argument o wolności słowa. Jednak znów okazuje się, że wolność słowa, która powinna chronić także ludzi religijnych, jest tylko dla tych, którzy mają odpowiednie poglądy. Gdy np. krytykę społeczną uprawiają wierzący chrześcijanie, wtedy jest to mowa nienawiści.

Czym jest ustawa „W obronie chrześcijan”? To projekt autorstwa posłów Solidarnej Polski zgłoszony do Sejmu jako projekt obywatelski. Rzeczywiście, podpisy pod nim były zbierane od wakacji br. i akcja ta zakończyła się wyraźnym sukcesem frekwencyjnym, o czym zwykle nie wspominają libleftowe media. W ich analizach chętnie wymienia się rozmaite niszowe organizacje pozarządowe oprotestowujące projekt i krytykujące jego treść, ale informacji o tym, że na początku października Solidarna Polska miała zebrane ponad 400 tys. podpisów pod ustawą, trzeba poszukać w innych źródłach.

Znamienne przeoczenie, ale nie zaskakujące. W przypadku ustawy „W obronie chrześcijan”, podobnie jak w wielu innych analogicznych sprawach, media opozycyjne starają się budować atmosferę, wedle której nikomu w Polsce nie zależy, by religia i praktyki religijne były lepiej chronione, i że mamy do czynienia z akcją fanatyków. Chciałoby się powiedzieć: stary numer.

CO ZMIENIA PROJEKT?

Obywatelski projekt ustawy zakłada trzy zmiany w Kodeksie karnym mające poprawić sytuację osób religijnych w polskim prawie. Trzeba podkreślić, że faktycznie projekt ustawy nie jest skierowany tylko do chrześcijan, ale do wszystkich religii „o uregulowanej sytuacji prawnej”, co oczywiście także nie jest eksponowane w niechętnych ustawie komentarzach. O jakie zmiany zatem chodzi? W pierwszej kolejności o wykreślenie z art. 195 Kodeksu karnego słowa „złośliwie” w zdaniu mówiącym o „złośliwym przeszkadzaniu publicznemu wykonywaniu aktu religijnego Kościoła”. Zmianę tę należy rozumieć jak zabezpieczenie przestrzeni religijnego rytuału przed bezpośrednią akcją polityczną. Można powiedzieć, że ma ona zapewnić lepszą realizację zasady przyjaznego rozdziału państwa od religii. Po tym, jak osoby publiczne, takie jak poseł Joanna Scheuring-Wielgus, obrały sobie świątynie na miejsca np. proaborcyjnych czy tęczowych manifestacji, pojawiło się niebezpieczeństwo, że wolność Kościoła będzie coraz częściej naruszana, nawet jeśli te naruszenia nie osiągną charakteru „złośliwego”.

Druga propozycja zmiany dotyczy art. 196 Kodeksu karnego, który mówi, że karze podlega ten, „kto obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych”. Po noweli penalizacji miałoby podlegać „publiczne lżenie lub wyszydzanie Kościoła lub inne-

eprasa.pl 86d441b100

go związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej, jego dogmatów lub obrzędów", a także „publiczne znieważanie przedmiotu czci religijnej lub miejsca przeznaczonego do publicznego wykonywania obrzędów religijnych". Zmiana trzecia ma polegać na dodaniu art. 27a w brzmieniu: „Nie popełnia przestępstwa, kto wyraża przekonanie, ocenę lub opinie związane z wyznawaną religią głoszoną przez Kościół lub inny związek wyznaniowy o uregulowanej sytuacji prawnej, jeżeli nie stanowi to czynu zabronionego przeciwko wolności sumienia i wyznania lub publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa lub pochwały jego popełnienia".

ATAK ZAMIAST ARGUMENTÓW

To także ważna zmiana dotycząca ochrony wolności Kościoła i innych związków religijnych, szczególnie wobec wyraźnej tendencji pojawiającej się w krajach Zachodu, polegającej na cenzurowaniu wypowiedzi duchownych lub wywieraniu na nich presji, by unikali – szczególnie – pewnego rodzaju pouczeń moralnych. Dobrze libleftową, wykluczającą religię perspektywę wyraża opinia cytowanego przez OKO.press Instytutu Spraw Społecznych, w której czytamy, że „zgłoszony projekt jest próbą instrumentalizacji prawa karnego, aby łatwiej było skazywać osoby biorące udział w debacie publicznej dotyczącej społecznej roli kościoła katolickiego, systemowego ukrywania duchownych dopuszczających się czynów pedofilnych, wspierania przez kościół katolicki homofobicznej i transfobicznej nagonki na osoby LGBT+ czy zaostrzania przepisów antyaborcyjnych". Mówiąc szczerze, już samo zapisanie nazwy własnej Kościoła katolickiego z małej litery wiele mówi o autorach powyższego komunikatu, a sama jego treść to popis tak często piętnowanej przez lewicowych ekspertów i intelektualistów stereotypizacji.

Do tego tonu dołączyli niestety w czasie debaty parlamentarnej, która odbyła się 15 grudnia, posłowie opozycji. Po wypowiedzi Mateusza Wagemanna, pełnomocnika komitetu inicjatywy ustawodawczej, który argumentował, że „projekt zakłada przepisy chroniące wolność religijną wobec wszystkich Kościołów i związków wyznaniowych legalnie funkcjonujących w Polsce" oraz że „nie jest to projekt o charakterze dyskryminującym", zaczęły się mnożyć nierzeczowe ataki na Kościół i ludzi wierzących. Wagemann przypomniał także, że „państwo ma obowiązek zapewnić, aby wspólnoty religijne i ich członkowie mogli w spokoju korzystać z gwarantowanych praw i wolności". Tego jednak przedstawiciele opozycji chyba po prostu nie uznają.

„Chrześcijan nikt w Polsce nie prześladuje, nie poniża, nie utrudnia pielgrzymek, możecie sobie na nie chodzić" – mówiła wspomniana już Joanna Scheuring-Wielgus, dodając, z niezrozumiałych powodów, że ustawa, która ma utrudnić łamanie wolności religijnej w Polsce, jest „haniebna i ohydna". Może poseł Lewicy zrozumiała, że to m.in. za jej sprawą doszło do powstania procedowanej przez Sejm inicjatywy ustawodawczej? Mogłaby jednak zapytać np. religijną młodzież w wielkomiejskich szkołach, czy z pewnością nikt ich nie poniża.

W inne tony, ale podobnie niemerytoryczne, uderzył Rafał Grupiński z Koalicji Obywatelskiej, mieszając kwestię wolności religijnej z nieokreślonym szczegółowo zarzutem finansowym. „Wykorzystujecie naiwność części ludzi wierzących, wmawiając im, że w Polsce prześladowane jest chrześcijaństwo, przy takich strumieniach pieniędzy, jakie kierowane są do instytucji kościelnych" – mówił opozycyjny poseł.

W nastroje brukowej prasy antyklerykalnej wczuła się także poseł Klaudia Jachira: „Nie potrzebujemy obrony chrześcijan, ale ochrony świeckiego państwa przed instytucją Kościoła katolickiego. Chrońmy państwo polskie, a nie watykańskie. Wypowiedzmy konkordat. Chrońmy polskie nieruchomości, które za darmo wpadają w ręce hierarchów. Chrońmy dzieci z niepełnosprawnością przed księżmi i zakonnicami, którzy się nad nimi znęcają. Chrońmy dzieci przed pedofilami w sutannach. Brońmy świeckich instytucji publicznych, a przede wszystkim szkół, przed katolicką ideologią. Chrońmy społeczność LGBT przed atakami katolików do złudzenia podobnymi do tych, co w Putinowskiej Rosji. Chrońmy kobiety przed katolickimi fanatykami. Chrońmy przestrzeń publiczną przed tym, który przez dekady ukrywał gwałcicieli w sutannach".

Właściwie należałoby się zastanowić, co poseł Jachira miała na myśli, mówiąc, że chrześcijanie nie potrzebują ochrony. Czy jest to zachęta do aktów antychrześcijańskiej nienawiści i przemocy? A może chodzi o wyjęcie chrześcijan spod prawa? Można się obawiać, że sama poseł nie wie, co miała na myśli, a powtarza slogany zasłyszane u innych.

Ostrożniej o sprawie wypowiedział się poseł Koalicji Polskiej-PSL Krzysztof Paszyk, który starał się neutralnie zauważyć, że projekt ustawy oznacza „ingerencję prawną w bardzo wrażliwą materię, jaką jest religia". Ściśle rzecz biorąc, ustawa – jeśli wejdzie w życie – będzie zmniejszać możliwość niepożądanej ingerencji, szczególnie politycznej, w sprawy religii. Ustawa przede wszystkim zwiększy zakres wolności religijnej w Polsce, nie sposób zatem powiedzieć, by projekt stanowił ingerencję w sprawy samej religii. Wypowiedź posła Paszyka miała jednak posłużyć przede wszystkim uzasadnieniu decyzji KP-PSL o pozostawieniu wolnej ręki posłom tego klubu w głosowaniu nad projektem.

Dość kuriozalną argumentację głosowania przeciwko projektowi przedstawił poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz. „Ja akurat cenię sobie prawo do lżenia różnych pogańskich religii, różnych pogańskich przesądów i akurat chciałbym je zachować, nawet jeśli ceną za to, że ja mam prawo lżyć muzułmanów, będzie to, że oni mogą lżyć mnie lub jacyś inni ateiści będą mogli mnie lżyć, to trudno, biorę to na klatę" – powiedział Sośnierz. Cóż, może niezbyt zręcznie, ale jako jedyny poseł Sośnierz zwrócił uwagę, że w świecie istnieje wiele fałszywych religii, a tylko jedna prawdziwa.

AGRESJA ROŚNIE

Właściwie debatę parlamentarną o projekcie „W obronie chrześcijan", szczególnie tę jej część w wykonaniu posłów PO i Lewicy, należałoby potraktować jako dobry argument za tym, że zmiany zaproponowane w obywatelskim projekcie ustawy są potrzebne. Można odnieść wrażenie, że poziom, na razie jeszcze słownej, agresji wobec ludzi wierzących niebezpiecznie rośnie.

Za tymi słowami otwierają się jednak szerokie możliwości jawnej dyskryminacji chrześcijan i przedstawicieli innych religii ze strony agresywnych laicyzatorów, którzy w dodatku mają się za rycerzy tolerancji. Furię, jaką wywołują w nich podstawowe postulaty dotyczące wolności religijnej, powinniśmy brać pod uwagę przy własnych politycznych wyborach. Jeśli to zaniedbamy, to rządy fanatyków – świeckości dodajmy – dopiero mogą nadejść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Z historykiem Robertem Kostro, dyrektorem Muzeum Historii Polski
rozmawia Zuzanna Dąbrowska

Wolność i tożsamość

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

ZUZANNA DĄBROWSKA: Na jesień przyszłego roku planowane jest otwarcie siedziby Muzeum Historii Polski. Można powiedzieć: w końcu?

ROBERT KOSTRO: Tak, ponieważ za nami długa epopeja. Przygotowania do budowy Muzeum rozpoczęliśmy już w 2006 r., jednak później zmienił się klimat polityczny i właściwie do 2015 r. nie mieliśmy zapewnionych funduszy na budowę placówki. A ponieważ władze Warszawy wycofały się z ustaleń dotyczących budowy muzeum nad Trasą Łazienkowską, straciliśmy również pierwotną lokalizację. Od 2016 r. postępują prace inwestycyjne, a dwa lata później rozpoczęliśmy prace budowlane. Jesienią 2023 r. planujemy oficjalne otwarcie. Jeszcze bez wystawy stałej, ale z wystawami czasowymi, audytorium, salami edukacyjnymi i konferencyjnymi.

Dlaczego Polska, której państwowość ma ponad tysiąc lat, tak długo czekała na muzeum opowiadające w sposób całościowy tę wielowiekową, bogatą historię?

Największym wyzwaniem było przebicie się z projektem i podjęcie decyzji politycznej. Idea narodziła się na początku lat dwutysięcznych. W 2006 r., gdy ministrem kultury był Kazimierz Michał Ujazdowski, położono fundamenty prawne pod budowę placówki. Jednak później przez prawie dwie kadencje resortem kultury kierował Bogdan Zdrojewski, który faktycznie zamroził projekt. Pierwsze pozytywne ruchy, czyli decyzja lokalizacyjna, zostały podjęte przez minister Małgorzatę Omilanowską. Prawdziwym przełomem było zaangażowanie wicepremiera prof. Piotra Glińskiego.

Budowany kompleks to nie tylko Muzeum Historii Polski.

Na Cytadeli będą mieścić się cztery muzea – MHP, Muzeum Wojska Polskiego oraz już działające Muzeum Katyńskie i X Pawilon Cytadeli, czyli dawne więzienie carskie.

Historia przedstawiana w muzeum zostanie ujęta w trzy główne wątki narracyjne. Pierwszy z nich to wolność. Co to oznacza w praktyce?

Z jednej strony to dawne tradycje republikańskiej Rzeczypospolitej. Polska jest państwem, którego parlament ukształtował się w XV w. i szybko zaczął sprawować realną władzę, to jedna z najstarszych tradycji parlamentarnych w Europie. Szlachta jako obywatele, przedstawiciele narodu politycznego, miała prawo sprawowania rządów poprzez Sejm i sejmiki, a wreszcie do wybierania monarchy. Tradycja wolności oznacza także wyjątkowe i prekursorskie akty ustrojowe, takie jak unia lubelska, konfederacja warszawska, a później – Konstytucja 3 maja. Ponadto historia wolności łączy się naturalnie z ruchami niepodległościowymi, które prowadziły do odzyskania suwerennego państwa – od konfederacji barskiej i powstania kościuszkowskiego aż do Solidarności.

Drugi wątek to tożsamość.

W obecnym kształcie terytorialnym i etnicznym Polska funkcjonuje dopiero od drugiej wojny światowej. Tymczasem w II Rzeczypospolitej ponad 60 proc. lud-

eprasa.pl 86d441b100

ności stanowili etniczni Polacy – już tylko takie zestawienie pokazuje, jak bardzo inna była to rzeczywistość. A cóż dopiero powiedzieć o epoce staropolskiej! Dlatego właśnie ukazujemy pasjonujący proces przemian polskości od Piastów aż do czasów współczesnych, analizujemy relacje między grupami narodowościowymi i etnicznymi, przypominamy zarówno o konfliktach, jak i o unikalnej tradycji tolerancji religijnej.

Ostatni, trzeci wątek, który obejmie wystawa stała MHP, to cywilizacja.

Ta ścieżka tematyczna pokaże, jak zmieniały się polskie miasta i wsie, warunki życia codziennego, jaki był udział naszego kraju w światowym rozwoju nauki i techniki. Będzie też część poświęcona polskim odkrywcom i naukowcom tym najbardziej znanym, jak Kopernik czy Skłodowska-Curie, a także tym nieco zapomnianym, jak choćby przyrodnik i odkrywca Benedykt Dybowski.

Jak MHP zamierza opowiadać o przemianach przełomu lat 80. i 90.? To jeden z najbardziej kontrowersyjnych tematów naszej historii najnowszej...

Pewne kontrowersje są nieuniknione, ale i nie chciałbym, żeby muzeum było zakładnikiem sporów politycznych. Jednym z pomysłów na nieco inne opowiedzenie historii przełomu na naszej wystawie stałej jest pokazanie spadającego z cokołu pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. W listopadzie 1989 r. doszło do próby zdemontowania tego pomnika, w trakcie której okazało się, że nie jest odlany z brązu – jak wszyscy sądzili – ale z trzech betonowych części, na które się ostatecznie rozleciał. Umieścimy ten pomnik w końcowej części ekspozycji właśnie w fazie „rozpadania się". Nie podajemy też konkretnej daty, w której skończył się komunizm. Chcemy pokazać, że to był proces, dlatego na wystawie znajdą się cztery urny wyborcze, symbolizujące kolejne cztery wybory – czerwiec 1989 r., wybory samorządowe i wybory prezydenckie z 1990 r., i wreszcie wybory parlamentarne z 1991 r.

Gdy mowa o planach wystawienniczych: Czy muzeum będzie stawiać na nowe technologie?

Nasza wystawa stała to ponad 200 instalacji multimedialnych, ale dzisiaj to standard w muzealniczym świecie. Chcemy, by naszym znakiem firmowym było przywrócenie znaczenia bardziej tradycyjnie rozumianym eksponatom. Mamy czym się chwalić: w zbiorach Muzeum Historii Polski mamy dziś ponad 50 tys. obiektów oryginalnych. My harmonijnie połączymy nowoczesność z oryginalnymi artefaktami.

Choć MHP nie ma jeszcze stałej siedziby, to cały czas organizuje wystawy plenerowe i czasowe. Jedną z nich była otwarta we wrześniu w Muzeum Narodowym wystawa „Łukaszowcy. Wielki powrót", która była znaczącym wydarzeniem kulturalnym.

Cieszy nas to, tym bardziej że cykl stworzony przez Bractwo św. Łukasza jest legendą polskiego muzealnictwa. Trafił do USA jeszcze przed wrześniem 1939 r., gdzie znalazł się w Pawilonie Polskim Wystawy Światowej. Krótko po wojnie komisarz generalny Pawilonu Stefan Ropp zdecydował, aby obrazy i makaty przekazać do Le Moyne College w mieście Syracuse, gdzie przez kilka dekad znajdowały się w bibliotece uniwersyteckiej. Wartość obrazów Łukaszowców polega na tym, że w unikalny sposób opowiadają na nowo historię Polski. Przypomina to pomysł, który miał Jan Matejko. Dzieła te miały pokazywać Polskę jako państwo o dawnych korzeniach, zakotwiczone w chrześcijaństwie, o długich tradycjach wolnościowych.

Jak Łukaszowcy trafili do kraju?

Polskie starania o odzyskanie obrazów trwały od kilkunastu lat. W tym roku w końcu Le Moyne College zdecydował się wreszcie je przekazać – Polska zapłaciła koszty konserwacji i przechowywania. To jednak niski koszt w porównaniu ze znaczeniem, jakie zbiory te mają dla naszej kultury. Również gdy mowa o wartości stricte artystycznej: Łukaszowcy byli jedną z ciekawszych grup artystycznych funkcjonujących w dwudziestoleciu międzywojennym.

Dla MHP rok 2022 to także wystawa pokazująca 1000-letnią historię relacji polsko-węgierskich, którą otwarto w Budapeszcie w czerwcu. Trochę wbrew głównej narracji politycznej, związanej z rozbieżnym podejściem Polski i Węgier do wojny na Ukrainie...

Projekty muzealnicze trwają często wiele lat, a relacje międzynarodowe zmieniają się niekiedy w ciągu kilku tygodni. Wartością pracy muzealnika jest to, że nawet jeśli dana wystawa nie pasuje do aktualnego klimatu politycznego, to jej wymowa jest uniwersalna. Wystawa „Polacy – Węgrzy. 1000 lat historii", przygotowana wspólnie przez nasze muzeum oraz Polski Instytut Badawczy i Muzeum w Budapeszcie, jest właśnie taka – ukazuje fenomen, jakim są nasze relacje. Przez tysiąc lat były to prawie zawsze dobre stosunki. Węgrzy bywali wielkimi królami Polski, oba narody wspólnie wspierały się w walce o wolność. Symbolami są udział Polaków w powstaniu węgierskim 1848 r. oraz nasze wsparcie dla powstania węgierskiego w 1956 r. Jesteśmy przekonani, że te związki są trwalsze niż jakakolwiek koniunktura polityczna.

W jaki sposób Muzeum Historii Polski zareagowało na agresję Rosji na Ukrainę z 24 lutego?

Od pierwszych tygodni zbieraliśmy artefakty związane bezpośrednio z wojną, jak choćby fragment strąconego rosyjskiego myśliwca Su-34. Równolegle gromadziliśmy przedmioty związane z polską pomocą dla ukraińskich uchodźców, m.in. kamizelki odblaskowe, które nosili wolontariusze. W przyszłości powstanie wystawa poświęcona tej tematyce. Obok tego współpracowaliśmy z instytucjami ukraińskimi, czego efektem była majowa wystawa w galerii plenerowej Muzeum Łazienek Królewskich ukazująca rosyjską agresję. W listopadzie z kolei pokazaliśmy wystawę Muzeum Hołodomoru poświęconą wielkiemu głodowi na Ukrainie.

„Must see" na muzealnej mapie Warszawy jest Muzeum Powstania Warszawskiego. Uda się sprawić, aby i Muzeum Historii Polski było obowiązkowym punktem, nie tylko dla szkolnych wycieczek?

Przyglądając się frekwencji innych dużych placówek stołecznych, realne jest, że rocznie odwiedzi nas co najmniej 600 tys. gości. Oczywiście marzy nam się, aby był to milion albo półtora. Zrobimy wszystko, aby tak się stało. Liczymy, że znaczna część zwiedzających to będą turyści z zagranicy.

Muzeum Historii Polski podlega resortowi kultury. Nie ma obaw, że przy ewentualnej zmianie władzy centralnej finansowanie zostanie odcięte?

Dla muzeum o charakterze historycznym zmiany polityczne są zawsze istotne. Nasz projekt jest jednak zaawansowany, nie wątpię, że uda się go dokończyć. Sądzę też, że przekonaliśmy do siebie nie tylko znaczną część klasy politycznej, lecz także zwykłych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

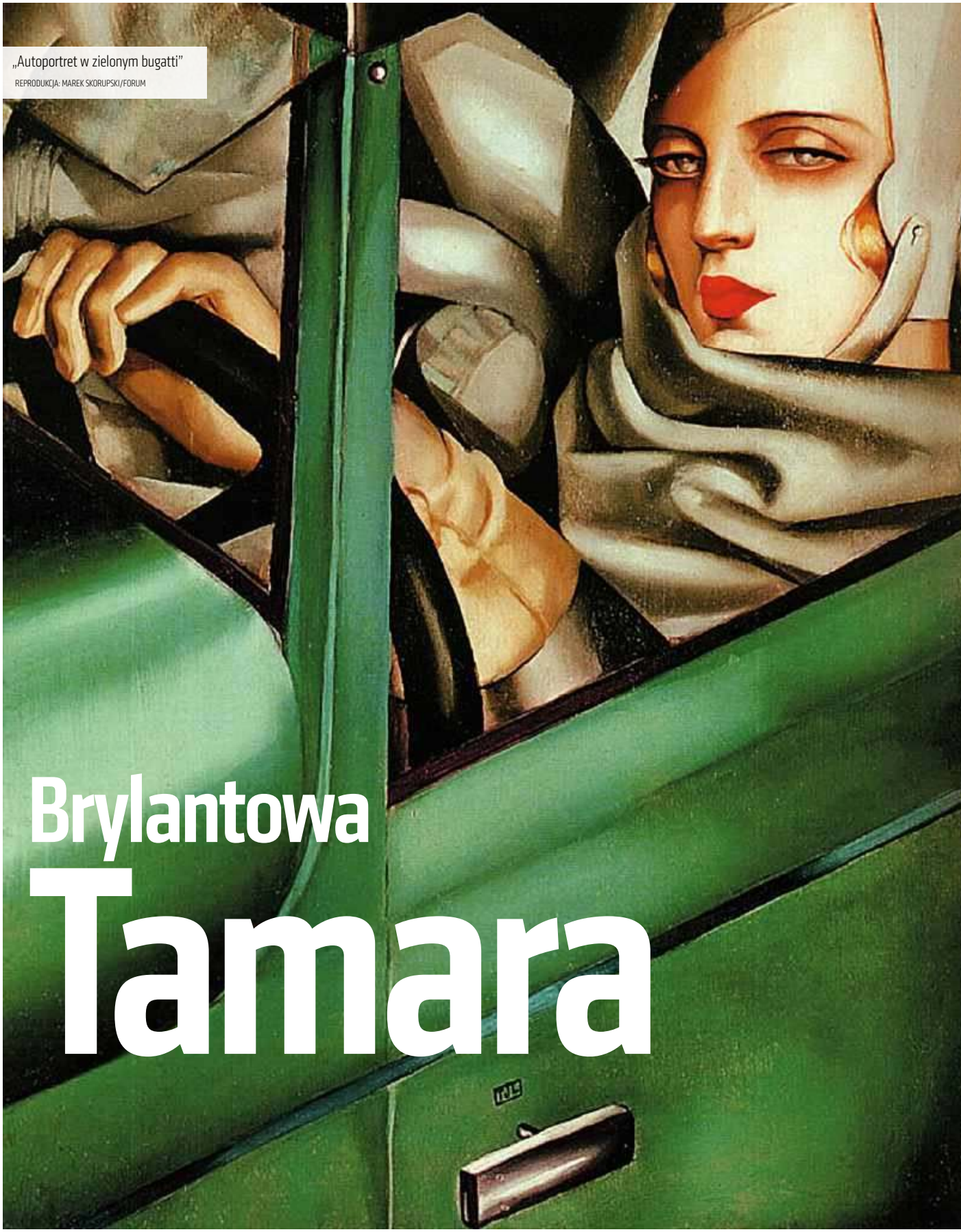

„Autoportret w zielonym bugatti"
REPRODUKCJA: MAREK SKORUPSKI/FORUM

Brylantowa Tamara

eprasa.pl 86d441b100

Krzysztof Masłoń

W XXI w. nie została napisana po polsku żadna lepsza książka. Druga część powieści Grzegorza Musiała o Tamarze Łempickiej oszołamia rozmachem, porywa, z każdą stroną potęguje czytelniczą ciekawość. Budzi zachwyt. Niezależnie od tego, czy jesteśmy wielbicielami art déco i co myślimy o autorce prawdopodobnie najbardziej znanych w świecie, a na pewno najwyżej wycenianych obrazów z ikoniczną „Tamarą w zielonym bugatti" na czele

Powieściami „Ja, Tamara" i „Tamara. Siostra wulkanu", na w sumie 1250 stronach, stworzył Grzegorz Musiał niezwykły portret zmarłej w 1980 r. artystki. Kreśląc wizerunek malarki, użył do tego najszlachetniejszych materiałów, zupełnie jak jego bohaterka – „tylko marmur, mahoń, alabaster". Wykreowane przez niego sceny, zgoła impresjonistyczne obrazy, budują świetne dialogi – nie, nie pomnik, lecz świat cały z ekscentryczną „baronową z pędzlem" w jego centrum.

A świat ten eksploduje na oczach Łempickiej, gdy ona sama – jak konstatuje – spada. Nie chce się pogodzić z myślą, że sukces ma już za sobą. Nie wie przecież, że moda na art déco powróci, usiłuje więc zmieniać swoje malarstwo, jego tematykę, stosowane techniki, wszystko, tyle że bez większego przekonania. Świadoma tego, że coś ważnego, a dla niej potrzebnego jak tlen się skończyło. Może nie wyrokiem śmierci były dla niej malarstwo Pollocka, hiperrealizm Warhola, a w końcu istna profanacja sztuki, która się odbyła – jej zdaniem – poprzez komiks Lichtensteina, ale trudno się dziwić, że nie mogła się jej podobać sytuacja, w której hierarchię artystyczną w Beverly Hills ustawia Louella Parsons w plotkarskiej rubryce „Los Angeles Times". A jednak, mimo tych wszystkich zastrzeżeń, był to jej świat, przeciw któremu buntowała się wyłącznie na użytek swój i najbliższych sobie osób. I nie da się ukryć, że w dużej mierze z powodów biologicznych.

KOSMOPOLITKA W KAŻDYM CALU

Jej malarstwu zarzucano często perwersyjność. Dziś postrzegamy w nim raczej manifestację niezależności, tej samej, która pokazywała kobietę za kierownicą wypasionego zielonego bugatti (sama jeździła znacznie skromniejszym renault, do tego żółtym), która upominała się o prawo pań do przyjemności, także seksualnej. Kobiety na jej obrazach – zauważa Maria Anna Potocka – „nie mają w sobie wyuzdania, tylko są bezczelnie wolne i silne".

Przesadzała we wszystkim, co robiła, jak się zachowywała, co mówiła. Ale im bardziej była nieznośna, tym bardziej zwracała na siebie uwagę. A to przynosiło wymierne korzyści. Obnosiła się np. ze swoją arystokratycznością, która była równie fałszywa, jak jej diamenty prawdziwe.

Baronową stała się za sprawą swego drugiego męża, Raoula Kuffnera de Dioszegh, żydowskiego barona, którego rodzina zbiła fortunę na piwowarstwie. Nazwisko wzięła od pierwszego małżonka, Tadeusza Łempickiego, syna bratanicy Norwida zresztą. Dopisała sobie „de" na wizytówkach i tak stała się Tamarą de Lempicką. Jej ojciec, adwokat Borys Gurwicz-Górski, rosyjski Żyd, porzucił rodzinę, gdy miała kilka lat, najprawdopodobniej popełnił samobójstwo. Wychowywali ją dziadkowie ze strony matki, Klementyna i Bernard Deklerowie, zamożni, spolonizowani Żydzi pochowani na cmentarzu przy ulicy Okopowej w Warszawie. Na świat przyszła (chyba?) w Moskwie, ślub wzięła w Petersburgu, po rewolucji bolszewickiej udało się jej wydostać z Rosji. Zamieszkała w Paryżu, tam zdobyła sławę, przed drugą wojną w trosce przede wszystkim o żydowskiego męża wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, resztę życia spędzając na nieustannych podróżach do Europy i z powrotem, by u schyłku życia osiąść w Meksyku. Można by rzec, że była kosmopolitką i to w każdym calu. A jednak podkreślała polskie pochodzenie, ostentacyjnie wręcz odwracając się od rosyjskości, której nienawidziła. Jeśli zaś chodzi o jej ojczyznę duchową, to twierdziła, jakoby była nią Europa, miejscem wzrostu i dojrzewania Luwr, a życiowym schronem Lazurowa Grota na Capri. I tak pewnie było.

Z jej europejskością i paryskimi doświadczeniami zetknięcie z rzeczywistością amerykańską musiało być jednak bolesne. Jej siostra, Adrienne, architektka, której zawdzięczała wejście na artystyczne salony Paryża, powiedziała jej (cytuję powieść Grzegorza Musiała): „Twój błąd w Ameryce polegał na tym, że oni ci imponowali i godziłaś się wejść do gry na ich warunkach. Dlatego przegrałaś, bo my jesteśmy ryby – welony akwariowe, ozdobne, a oni to drapieżniki. Nie wygra się z nimi walką wręcz. Trzeba ich obejść i zaatakować od najsłabszej strony. I ty teraz to zrobisz".

Kreowała swój życiorys i siebie samą. Podkreślała np. swoje samouctwo, co do końca nie było prawdą. W Paryżu zapisała się na kurs malarstwa prowadzony przez Maurice'a Denisa w Academie Ranson, a następnie na znaczące w jej artystycznym rozwoju zajęcia André Lhote'a. Ale jest faktem, że od kubizmu odeszła i drogę do art déco znalazła samodzielnie. A potem już konsekwentnie mieszała życie ze sztuką. Miała niebywale rozrośnięte poczucie własnego „ja", pilnie jego strzegąc. „Podobny lęk przed ingerencją we własną osobowość – pisała Potocka – miał Witkacy. Kiedy proponowano mu pomoc psychologiczno-behawioralną, stanowczo odmówił, obawiając się stracić instrument, na którym umiał grać. Bał się utraty własnego szaleństwa. Tacy twórcy postrzegają swoje życie i marzenia w sposób ostry, wyrazisty i jasny. Poświęcają wiele, aby nikt i nic nie naruszyło ich koncepcji. Tamara Łempicka przypomina w tym Zofię Stryjeńską, jednak lepiej od niej potrafiła hierarchizować rzeczy według ważności, skuteczności i radości. Zapewne dlatego była w życiu szczęśliwsza. Tamara miała lepiej dopracowaną strategię egoizmu".

PŁACĘ, WIĘC WYMAGAM

Brakowało jej wiedzy, erudycji, a przecież podziwiano jej błyskotliwość, cytowano, komu i jaką szpilę wbiła, a złośliwa potrafiła być nad wyraz. Znała wszystkich (tych oczywiście, których znać było warto) i wszyscy ją znali. W Ameryce wzbudzało to podziw, wszak bardziej ekscytujące od tego, co malowała, było

eprasa.pl 86d441b100

to, że w Paryżu przyjaźniła się z Coco Chanel i Picassem, w Hollywood wymieniała uściski z Garym Cooperem, a w jej domu bywała Greta Garbo. Dochodziły do tego staranna stylizacja, dbałość o swój wygląd i kilogramy biżuterii (ach te bransolety!). Organizowane z niemałym trudem ekspozycje jej obrazów kończyły się klapą, ale przyjęcia obrastały legendami. Te także z polskim backgroundem, jak bal urządzony pod hasłem „Pomoc umęczonej Polsce". Na tych przyjęciach Artur Rubinstein grywał Chopina, a goście przebierali się a to za Kościuszkę, a to znów za Kopernika czy Marię Skłodowską-Curie. „Baronowa z pędzlem" zamieniała się takiego wieczoru w królową Marysieńkę, a jej małżonek w Jana III Sobieskiego. W istocie austro-węgierski baron interesował się wyłącznie polowaniami, za cel życia stawiając sobie ustrzelenie czarnego niedźwiedzia, co mu się w końcu gdzieś w Montanie udało. A żonie był wdzięczny za to, że w porę wywiozła go, wraz z cennymi obrazami i antykami, z Europy, gdzie było więcej niż pewne, że wprost ze swego majątku w dzisiejszym Sladkovicovie na Słowacji trafiłby do gazu. W dowód wdzięczności umożliwiał jej, ograniczony wprawdzie, dostęp do swojej fortuny, z czego czasem korzystała bez umiaru, na usprawiedliwienie zasłaniając się faktem, że osobistych pieniędzy też miała niemało, a zarobiła je dzięki talentowi i pracy.

Jeśli pierwszego męża kochała, to z drugim żyła w przyjaźni. W pewien sposób baron winił siebie, że przyczynił się do wyjazdu Tamary do Ameryki, która ją jako artystkę zlekceważyła. No bo „jeśli USA są Paryżem, to Montparnasse jest w Greenwich Village. Drugi byłby w Bostonie. A Los Angeles? To jest Pigalle". Szczególnie nie podobało mu się w Hollywood, którym gardził. Łempicka pamiętała jednak przede wszystkim o zasadzie, żeby „do Sowieta nie podchodzić bliżej niż na dwa tysiące kilometrów". Stąd w Europie trzymała się Paryża, a Ameryka wydawała się całkiem wolna od bolszewickiego zagrożenia. Kiedy Niemcy wkroczyli do Francji, stanęła na głowie, by ściągnąć do siebie córkę, która pracowała dla polskiego rządu w Paryżu, a ewakuując się, cudem uniknęła śmierci, która stała się udziałem pasażerów zatopionej w kwietniu 1940 r. w Zatoce Biskajskiej „Lancastrii". Łempicka o amerykańską wizę dla swojej Kizette (uwiecznionej na wielu jej obrazach, m.in. „Kizette w różowej sukience" z 1926 r.) uprosiła samą Eleonorę Roosevelt!

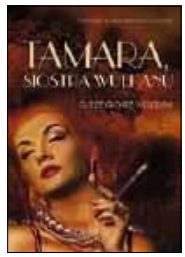

GRZEGORZ MUSIAŁ „TAMARA, SIOSTRA WULKANU" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2022

GRZEGORZ MUSIAŁ „JA, TAMARA" ZYSK I S-KA 2020

A skoro mowa o córce artystki, to relacje z nią miała jak najgorsze. Nie mogły być jednak inne, skoro Tamara udawała przed światem, że jest ona jej siostrą, w żałosny ten sposób chcąc się odmłodzić. Kizette obwiniała również matkę o rozbicie małżeństwa z idealizowanym przez nią ojcem. Cóż, lektura pierwszej części powieści Musiała nie pozostawia złudzeń: dzieciństwo jedynego dziecka państwa Łempickich spokojne ani szczęśliwe nie było.

W życiu Tamary Łempickiej nic jednak nie było oczywiste, także jej życie rodzinne. Ciężkie doświadczenie rosyjskie, w którego wyniku straciła niemal wszystko, co miała, a świat, do którego przywykła, runął i została zmuszona do walki nie tylko o pozycję społeczną, zawodową, artystyczną, lecz także o byt, o pieniądze, zahartowało ją, jak również swoiście znieczuliło. Płacę, więc wymagam – każdym gestem, spojrzeniem, słowem przypominała o tym także najbliższym sobie ludziom, także córce. Jej może najbardziej, a ta rewanżowała się tak, by bolało.

KOMUNIZM JEST JAK KLOAKA

Wszystko to znajdujemy na stronach „Tamary, siostry wulkanu". To nie mogła być biografia, z natury rzeczy płaska, jednowymiarowa, bezduszna. Takie powstawały wcześniej; w 2004 r. Rebis wydał „Tamarę Łempicką" Laury Claridge. Powieść Grzegorza Musiała przynależy do zgoła innej kategorii literackiej. To wspaniały fresk opowiadający o burzliwych wydarzeniach XX w., których portrecistka Marjorie Ferry (obraz przedstawiający M. Ferry to wciąż najdroższe dzieło z 1932 r., sprzedany w 2020 r. za 16,3 mln funtów w listopadzie na aukcji w domu Sotheby's w Nowym Jorku; inny namalowany przez Łempicką portret – Romany de la Salle – osiągnął cenę 14,1 mln dol.) była uczestniczką. Nie zawsze czynną, czasem bierną, mającą jednak własne zdanie na temat tego, co się dzieje, a co formuła powieści pozwala wyartykułować.

I tak np. studencką rewoltę paryskiego maja 1968 r. artystka tak komentuje: „Łeb Hydry odrasta. Na domiar złego telewizja wciąż pokazuje głupiutkiego Sartre'a z jego okropnymi zębami, który naprawdę wierzy w swoje idiotyzmy, wychwalając Związek Sowiecki i Chruszczowa, którego zna osobiście, co z nabożeństwem powtarzają równie głupi jak on dziennikarze. Czasem ma przy boku tę de Beauvoir, która z ujawniania światu sekretów swej waginy potrafiła zrobić sprawę światową i przy okazji maszynkę do produkowania pieniędzy. Wypuściła w świat program »wyzwolenia kobiet«, w który babska święcie wierzą, i ujada nim lewactwo, zwłaszcza na campusach w USA, ogłupiając amerykańskie kury".

Dalej powiada: „Biedna Francja, utraciła swe rycerstwo podczas rewolucji i otrzymała w zamian klasę groszorobów. Stała się odtąd podatna na marksizm w najbardziej wyrafinowanej formie i zaczęli to łykać uczeni po uniwersytetach, zwykli durnie i inne darmozjady. Ten ich przywódca, jakiś Cohen, jeździ do Niemiec, zagrzewa tam bojówki studenckie do walki, a potem wraca z nową porcją tego zatrutego ziela do Francji i rozrzuca je po Sorbonie. Wylęgarnia ohydy jak zwykle w Niemczech, a głupiutka francuska młodzież z lepszych domów, spragniona ćpania i seksu we wszystkich odmianach, wrzeszczy, jak ich rówieśnicy w USA, że cierpią katusze z powodu nędzy i żądają praw, choć wszystkie mają, bo w tym kraju każdy może wyrabiać, co chce, także pod pierzyną…".

Bywa dosadna, nie zwraca uwagi na to, co jest poprawne politycznie, a co nie, a zawsze i wszędzie pamięta o jednym: „Komunizm jest jak kloaka. Z nimi nie można wygrać, ich można tylko omijać. Jak najdalej, z zatkanym nosem". Dlatego do szewskiej pasji doprowadzają ją „marksistowskie wywłoki poutykane na uniwersytetach, gdzie ich wsadziła głupia anglosaska sitwa po tym, jak ich wywalono z Lipska i Berlina".

ZARŻNIĘCIE POLSKI

Zamożność Teresy kłuła w oczy, a ulubienicą amerykańskiej prasy nie była nigdy. W 1947 r. mogła przeczytać,

eprasa.pl 86d441b100

co następuje: „Mieszkająca w dwupiętrowym apartamencie w pobliżu Sutton Place przebogata polska malarka Tamara Łempicka – pisał anonimowy autor – używająca też nazwiska swego drugiego męża barona Kuffnera, jednego z najmajętniejszych ludzi w Austro-Węgrzech, być może dźwiga na sobie zbyt dotkliwy ciężar futer i klejnotów, aby móc pofatygować się na pogrzeb swojej przyjaciółki Maryli Lednickiej, z którą przyjaźniła się od dziecięcych lat w Rosji i później, na emigracji w Paryżu. Lednicka pomagała jej w malarskiej karierze, zasiadając w jury Salonu Jesiennego, gdzie Łempicka zbierała laury, a także organizując dla niej prestiżową wystawę w 1926 r. w Mediolanie w Bottega di Poesia, która zapewniła międzynarodową sławę Łempickiej. Jednak samej sobie Lednicka nie zdołała nic zapewnić, cierpiąc biedę na emigracji w Nowym Jorku i nie mając grosza na zakup drogich materiałów, aby móc dalej tworzyć. Nie widząc znikąd pomocy, roztrzaskała swą głowę o uliczny bruk, o dwie przecznice od rezydencji polskiej baronowej".

Tamara Łempicka wciąż inspiruje ludzi sztuki, a także – co dziś jest równie istotne, a może najważniejsze – specjalistów od reklamy, show-biznesu czy kreatorów mody

Rzeźbiarka Maryla Lednicka popełniła samobójstwo w wieku 54 lat. To od niej dowiedziała się o zbrodni katyńskiej, którą Sowieci dokonali na terenie dawnego rodowego majątku Maryli, znanego także Tamarze, w Borku na Białorusi, kopiąc doły w Kozich Górkach. „To miejsce – opowiadała Lednicka – nazywa się teraz wstrętnie z ruska, Kozigory. Faszistowskaja kaźń w Kozigorach. Tak się nazywa kolejne kłamstwo rosyjskiej duszy". I mówiła dalej: „… prowadzono ich nad doły… wiedząc, co ich czeka, szarpali się, śpiewali »Jeszcze Polska nie zginęła«. Wyobrażasz to sobie?... Nie wolno ginąć w milczeniu, trzeba podnosić krzyk, aby niebiosa widziały, że do końca walczysz… I choć masz spętane dłonie, twoje królewskie serce poddać się nie pozwala. Wiedzą to szczury i nie mogą tej pieśni znieść, więc zaraz strzelano do nich albo rozbijano głowy kolbami. Innych ustawiali nad brzegiem dołu i każdemu pach! w tył głowy… Padali twarzą na innych, już tam leżących, równo, warstwami. Doły przyjmowały po dwanaście warstw zwłok. Co pewien czas te małpy wskakiwały do dołów i skakały na trupach, żeby więcej się zmieściło. Dwadzieścia tysięcy ludzi… – Suchy szloch.

– Jeśli liczyć po trzech na minutę, z całą tą szarpaniną, wypada stu osiemdziesięciu na godzinę. Chyba dobrze policzyłam. Tysiąc ośmiuset na dziesięć godzin, gdyby strzelali raz, raz, raz, bez przerwy. To daje z przerwą nocną i na posiłki dwa tygodnie na zarżnięcie Polski przez tylko jednego z oprawców. A było ich kilku, dzień w dzień taki wstaje rano, strzela, strzela, strzela, wieczorem wraca do pałacu, gdzie trzeba się otrzepać z krwi, szczątków kości i mózgu, i przez cały dzień czeka stół z wódą, bo również w trakcie kanonady muszą tu czasem wpaść, walnąć setę, zakąsić słoniną, a o północy bal, chlanie w salonie, rzyganie na werandzie, gdzie niedawno rozbrzmiewały wiersze Petrarki i pieśni Faurego. I znowu świt, trzeba iść strzelać, więc strzelają, strzelają w głowy z ukosa, tak żeby kula szła w podniebienie, wtedy trafi prosto w mózg bez rozwalania kości, otrzepują kołnierze z krwi, idą chlać, słonina, obryzgany mózgiem ogóras, co to szkodzi… strzelają, strzelają".

Ostatni raz widziały się, gdy przyjaciółka Tamary zabrała ją na założycielskie spotkanie stowarzyszenia mającego przeciwstawić się antypolskiej kampanii, po Katyniu coraz bezczelniej prowadzonej w Ameryce pod sowieckie dyktando. Pojechały do domu Stanisławy Nowickiej w tzw. Żydowskich Alpach – Catskills, gdzie wielu nowojorskich Żydów miało swoje rezydencje. U tej przedwojennej artystki kabaretowej pomieszkiwał na facjacie sławny poeta Jan Lechoń. Rozmowy tych zrozpaczonych Polaków, przymusowych emigrantów, których wojna pozbawiła ojczyzny, zapamięta na zawsze każdy czytelnik książki Grzegorza Musiała. To prawdziwy pisarski majstersztyk, a że wyjątkowo dla nas bolesny, cóż… „Tamara, siostra wulkanu" to nie jest powieść przyjemna, to jest powieść fascynująca.

Później – już po śmierci, też samobójczej, Lechonia – spotkać miała na lotnisku Jadwigę Smosarską. Tak aktorka wspominała twórcę „Mochnackiego": „Miał długi, same długi. I popsute zęby, pewnie go bolały. Ruiny Warszawy dźwigał w sobie. I groby przyjaciół…". Łempicka nie wiedziała o jego skoku z 12. piętra nowojorskiego hotelu Hudson, nie czytała polskiej prasy. O śmierci Maryli dowiedziała się też poniewczasie.

W KOLORZE LAWENDY

Przeżyła Łempicka 82 lata. Zmarła w 1980 r. w Meksyku, w Cuernavace, gdzie nabyła willę „Tres Bambus". Czuła się tam dobrze, uważała ten kraj za „ojczyznę małych, mocnych ludzi, którzy są prawdziwi". Zażądała, by po śmierci rozsypano jej prochy nad wulkanem Popocatépetl. Po sukcesie swojej retrospektywnej ekspozycji w 1972 r. w Paryżu mogła mieć satysfakcję, że po wielu chudych latach oddano jej sprawiedliwość jako artystce. W końcu w klasztorze Benedyktynek w Parmie tłumaczyła matce przełożonej, którą 20 lat wcześniej po ważnej dla siebie rozmowie sportretowała w swoim ulubionym dziele: „Mój postęp duchowy to jest moja praca. Cały czas malowałam. Nic innego nie umiem. I to rozwijam". Stwierdziła także: „Staram się oddawać świat w jego pięknie". Torba z prochami miała jej ulubiony – lawendowy – kolor.

Po przeczytaniu powieści Grzegorza Musiała nie zmieniłem swego zdania o artystce ani o jej twórczości. To nie moja bajka. Na pewno wolałbym, żeby bohaterem równie świetnej książki stał się Jacek Malczewski, a może któryś z naszych monachijczyków czy Stanisław Wyspiański. Ale wiem na pewno, że nikt z nich nie może się równać z Tamarą Łempicką, jeśli chodzi o jej światową popularność. Że wciąż inspiruje ludzi sztuki, a i – co dziś jest równie istotne, a może i najważniejsze – specjalistów od reklamy, show-biznesu czy kreatorów mody. A opowieść o jej życiu z powodzeniem przyćmić może, dajmy na to, „Wielkiego Gatsby'ego" Francisa Scotta Fitzgeralda. Jeżeli ta historia, z pasją i opowiedziana przez autora – przypomnę, jakby ktoś zapomniał – „Dziennika wojny jaruzelskiej" nie osiągnie sukcesu wykraczającego poza granice Polski, a tego z racji mocno niepoprawnych fragmentów książki nie wykluczałbym, niech świat tego żałuje. Jego strata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Z Piotrem Kitrasiewiczem, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Oko kamery II Rzeczypospolitej

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego określa pan naszego najbardziej aktywnego reżysera filmowego międzywojnia, Michała Waszyńskiego, mianem rzemieślnika?

PIOTR KITRASIEWICZ: Ponieważ tworzył po kilka filmów w ciągu roku, do wybuchu drugiej wojny światowej powstało ich blisko 40. Ilość, jak to często bywa, nie szła w parze z jakością. Kręcił byle prędzej, nie stosował dubli, rzadko wprawiał kamerę w ruch, zadowalając się planem statycznym. Spieszył się, żeby zarobić jak najwięcej, bo z biegiem lat za wyreżyserowany film dostawał coraz wyższe honoraria, dochodzące nawet do 10 tys. zł. Jak na ówczesne czasy to była fortuna! Waszyńskiego stać było na luksusowe mieszkanie, drogie samochody, markowe ubrania. Zatrudniał kucharza i szofera. Był koneserem wykwintnej kuchni, prowadził bardzo aktywne życie towarzyskie. Producenci chętnie go zatrudniali, gdyż pracował szybko, mieszcząc się w budżecie. A nakręcone przez niego melodramaty i komedie przyciągały publiczność do kin. Rzecz jasna, posiadał warsztatową zręczność, a nawet pewną lekkość, z którą potrafił przenosić na ekran scenariuszowe fabuły. Zrealizował przecież największy przebój kina międzywojennego – „Znachora", z wyrazistą rolą Kazimierza Junoszy-Stępowskiego, opartego na powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – co uruchomiło falę ekranizacji utworów tego bardzo poczytnego pisarza.

Według mojej oceny czarno-biały „Znachor" Waszyńskiego jest lepszy od kolorowej, powojennej ekranizacji tej powieści dokonanej przez Jerzego Hoffmanna. Pomimo widocznej na ekranie atelierowej ciasnoty i oszczędnych dekoracji film z roku 1937 ma większą, bardziej zbliżoną do książkowego pierwowzoru, siłę wyrazu. Podobnie było z „Dybukiem", dokonaną w tym samym roku – tym razem z żydowską ekipą w języku jidysz – ekranizacją znanej sztuki Szymona An-skiego. Powstało dzieło całkowicie odmienne od „rzemieślniczych" realizacji Waszyńskiego, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Mosze Waks. Reżyser wzniósł się ponad kiczowate rozwiązania artystyczne oraz chęć łatwego zarobku. Dzisiaj, kiedy na świecie wspomina się przedwojenne kino znad Wisły, to jest tak głównie za sprawą właśnie „Dybuka".

Mieczysława Krawicza też cechowała pracowitość, kamera towarzyszyła mu nawet podczas powstania warszawskiego!

Zespół filmowy w składzie: operator Juliusz Mars, operator Ferdynand Vlasak, asystent reżysera Michał Waszyński (w środku), reżyser Henryk Szaro (drugi z prawej) i aktor Zbigniew Sawan (pierwszy z prawej). Obok plakat „Dybuka" z 1938 r. FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 86d441b100

A także w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r. W dwudziestoleciu zrealizował sporo filmów i chociaż większość z nich nosi cechy kiczu, to potrafił wznieść się na wyższy poziom realizatorskiej kultury niż Waszyński. Pod jego reżyserską batutą powstały m.in. kostiumowa „Księżna Łowicka" z Jadwigą Smosarską i Stefanem Jaraczem, psychologizująca „Jego wielka miłość" z Jaraczem czy całkiem udane komedie, jak „Jadzia" ze Smosarską i Aleksandrem Żabczyńskim oraz „Paweł i Gaweł" z Adolfem Dymszą i Eugeniuszem Bodo w rolach tytułowych. A jeśli chodzi o dokumentowanie przez niego z kamerą w ręku polskiego bohaterstwa wojennego, to we wrześniu 1939 r. wchodził on w skład tzw. ekipy Starzyńskiego, powołanej przez prezydenta Warszawy w celu utrwalania na taśmie krwawych walk w obronie szturmowanej przez Niemców stolicy. Analogicznie działał w powstaniu warszawskim, kiedy filmował tragiczne walki na ulicach stolicy, co ostatecznie przypłacił życiem. Zginął śmiercią filmowca w pierwszej połowie września 1944 r., ugodzony odłamkiem pocisku, kiedy stał z kamerą na balkonie kamienicy u zbiegu ulic Koszykowej i Lwowskiej.

Premiera filmu „Księżna Łowicka" w reżyserii Mieczysława Krawicza, kino Atlantic, Warszawa 1932 r. FOT. NAC

Jadwiga Smosarska i Witold Zacharewicz w filmie „Barbara Radziwiłłówna" FOT. NAC

Wojny nie przeżył również Juliusz Gardan...

Był obiecującym reżyserem już pod koniec lat 20., w schyłkowym okresie niemego kina. W 1928 r. zrealizował oparty na własnym scenariuszu oryginalny dramat obyczajowy pt. „Kropka nad i", a rok później nakręcił „Policmajstra Tagiejewa", według powieści Gabrieli Zapolskiej. Po wprowadzeniu filmu dźwiękowego, który na ziemiach polskich miał ciężki poród ze względów technicznych, firmował swoim nazwiskiem udany dramat psychologiczny „Wyrok życia" z Ireną Eichlerówną i Jadwigą Andrzejewską, a także całkiem niezłą komedię muzyczną „Czy Lucyna to dziewczyna?" z udziałem Smosarskiej i Bodo. Dziełem jego reżyserskiej ręki są także kulturalnie zrealizowane melodramaty salonowe „Trędowata" i „Wrzos", oba na kanwie prozy – odpowiednio: Heleny Mniszkówny i Marii Rodziewiczówny. Za pomocą filmowych środków wyrazu starał się przełamać stereotyp romansidła i ukazać autentyzm ludzkich zachowań i przeżyć. Dążył do tego, stosując odpowiednie zbliżenia i najazdy kamery, a także zwalczając w grze aktorów egzaltację. Wymagał od nich naturalnych środków aktorskiego wyrazu w ruchach oraz w przekazie słownym.

Po wybuchu wojny znalazł się na wschodnich ziemiach II RP, najechanych brutalnie przez Związek Sowiecki i rychło przyłączonych do jego organizmu państwowego. Warto jednak zaznaczyć, że zanim opuścił Warszawę, brał udział, razem z Krawiczem i innymi filmowcami, w dokumentowaniu w ramach „ekipy Starzyńskiego" obrony stolicy. A na Wschodzie – najpierw we Lwowie, potem w Kijowie, a następnie Aszchabadzie – współpracował z komunistami. W tym ostatnim mieście utworzył filię Związku Patriotów Polskich, której został przewodniczącym. Zmarł u schyłku 1944 r. w wyniku gruźlicy, na którą zachorował na terenie ZSRS.

Henryk Szaro poświęcił ambicje artystyczne dla komercji?

Jak większość twórców przedwojennego polskiego kina. Nie istniał wówczas

eprasa.pl 86d441b100

mecenat państwowy dla sztuki filmowej i reżyserzy oraz scenarzyści musieli liczyć się z wymogami komercji, bo przecież od tego, czy film przyniesie dochód czy spowoduje klapę, zależał ich dalszy los za kamerą. Szaro starał się godzić ambicje artystyczne z twardą ekonomią producentów. W początkach swojej pracy realizatorskiej sięgał po ambitne tematy: w filmie „1 z 36" osadził fabułę w okresie powstania styczniowego i osnuł ją wokół kontrybucji, którą komendant rosyjskiego garnizonu nałożył na wioskę zamieszkałą przez Żydów; w „Na Sybir" odmalował losy działacza PPS zesłanego w 1905 r. w odległe rejony Imperium Rosyjskiego. Zmierzył się z trudnym pierwowzorem literackim, którym było „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego, które przeniósł na ekran. Sięgnął także po prozę Stanisława Przybyszewskiego, realizując mroczny dramat „Mocny człowiek", będący rzadkim przykładem w ówczesnym polskim kinie sięgnięcia do wzorów niemieckiego ekspresjonizmu.

Najwyżej w hierarchii stawia pan Józefa Lejtesa?

Zrobiła to za mnie historia kina. Sięgał po ważne tematy i miał dar interesującego prowadzenia fabuły. Potrafił zainteresować widzów strajkiem polskich gimnazjalistów w dramacie historycznym „Młody las", życiem codziennym proletariatu zamieszkującego biedną warszawską dzielnicę w „Dziewczętach z Nowolipek" czy trudną miłością litewskiej księżniczki i króla Zygmunta Augusta w „Barbarze Radziwiłłównie". Ten ostatni film był wprawdzie kostiumowym melodramatem opartym na wątkach z dziejów renesansowej Rzeczypospolitej, ale zrealizowanym z dobrym smakiem i wyczuciem epoki. Z powodzeniem wyświetlano go w innych krajach, a nawet wyróżniono pucharem na festiwalu w Wenecji. Również „Młody las" zdobył laur na festiwalu międzynarodowym – w Moskwie w roku 1935. Nagrodzono ten film, opowiadający o proteście warszawskich uczniów gimnazjalnych przeciwko rusyfikacji w 1905 r., za reżyserię scen zbiorowych, ale Sowieci nie zakupili go do dystrybucji na terenie ZSRS.

Dlaczego?

Strajk przeciwko nauczaniu w języku rosyjskim dotyczył wprawdzie Rosji carskiej, tym niemniej chodziło o język rosyjski, oficjalny przecież w państwie sowieckim. Zresztą w PRL cenzura zabroniła pokazywania tego filmu, żeby się nie kojarzył z obowiązkowym nauczaniem języka rosyjskiego w polskim szkolnictwie.

Film „Młody las" z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim w roli prof. Pakotina FOT. NAC

Obraz Czesława Kuryatty „Portret reżysera Józefa Lejtesa" namalowany w 1931 r. FOT. NAC

Czy w okresie międzywojennym polskie filmy w ogóle wyświetlano u naszego wschodniego sąsiada?

Jeden. Był nim „Antek policmajster" Waszyńskiego z Dymszą w roli tytułowej, oparty na konwencji komedii pomyłek i intrydze zawartej w „Rewizorze" Gogola. Film ten oglądał sam Józef Stalin, który lubił kino i osobiście kwalifikował wszystkie filmy przewidziane do dystrybucji na terenie ZSRS. Widocznie spodobał mu się, a może nawet się uśmiał?

Aleksander Ford nie osiągnął przed wojną znaczącej pozycji – do czego predestynowały go „Legion ulicy" czy „Ludzie Wisły" – z racji ideologicznych?

„Legion ulicy", film, który niestety nie zachował się do naszych czasów, miał dobre recenzje, w których oceniono go jako pierwsze ważne ekranowe dzieło, ukazujące codzienny realizm życia wielkiego miasta na przykładzie chłopców kolportujących prasę wśród przechodniów. Pod tym względem obraz Forda wyprzedzał nawet osiągnięcia włoskiego neorealizmu. Z kolei film „Ludzie Wisły" nawiązywał do francuskiego realizmu. Oba te tytuły były ważnymi dokonaniami polskiej sztuki filmowej lat 30., co recenzenci filmowi docenili wówczas, a historycy kina po latach. Największą karierę zrobił Ford w powojennym kinie polskim, a szczególnie w okresie socrealizmu, kiedy z namaszczenia stalinowców stał się niekwestionowanym władcą naszego kina, decydującym o szczegółach związanych z realizacją każdego filmu i mającym decydujący wpływ na dobór reżyserów, scenarzystów oraz aktorów. Na planie był dyktatorem, wszyscy go się bali, szczególnie że niekiedy zasiadał w fotelu reżysera z pistoletem w kaburze. „Ulica graniczna", „Młodość Chopina" czy „Piątka z ulicy Barskiej" zdobywały nagrody na międzynarodowych festiwalach: w Wenecji, Cannes, Karlovych Varach, Edynburgu, a „Krzyżacy" przetrwali próbę czasu. Jego komunistyczne poglądy – w latach 30. był członkiem zdelegalizowanej na terenie II RP Komunistycznej Partii Polski – doszły w pełni do głosu podczas wojny, kiedy realizował filmy szkoleniowe dla Armii Czerwonej. Do Polski powrócił w stopniu pułkownika z dywizją kościusz-

eprasa.pl 86d441b100

kowską Berlinga, w której zorganizował zespół operatorów filmowych Czołówka, dokumentujący szlak bojowy dywizji.

Leonard Buczkowski zaistniał też w kinematografii Polski Ludowej, choć jeden ze swoich przebojów musiał sygnować pseudonimem.

Przed wojną był reżyserem nierównym. Obok przyzwoicie zrealizowanych „Szaleńców" czy „Floriana" miał w dorobku nieudaną ekranizację „Strasznego dworu", a także „Wiernej rzeki" Żeromskiego. Jego artystyczna passa rozpoczęła się w 1946 r. „Zakazanymi piosenkami", pierwszym filmem rodzimej produkcji. Sygnował je własnym nazwiskiem, a film odniósł ogromny sukces. Chyba ktoś „życzliwy" pozazdrościł mu powodzenia, bo kiedy Buczkowski ukończył kolejny obraz, wyborną komedię „Skarb", doniesiono na niego, że podczas okupacji zrealizował kilka parominutowych reklamówek dla niemieckich firm. No i musiał zastąpić swoje nazwisko w czołówce „Skarbu" pseudonimem Marian Leonard, który wymyślił, łącząc swe drugie imię z pierwszym.

Waszyński i Lejtes po wojnie funkcjonowali zawodowo za granicą.

Ten pierwszy poślubił bogatą włoską arystokratkę, znacznie starszą od siebie, która wkrótce zmarła, pozostawiając mu fortunę i tytuł książęcy. Okazał się zdolnym pośrednikiem pomiędzy wytwórniami hollywoodzkimi a włoskimi, bo amerykańscy producenci z uwagi na koszty woleli kręcić zdjęcia do wielkich widowisk kostiumowych w Italii niż w USA. Waszyński był więc producentem wykonawczym lub współpracującym przy takich produkcjach jak „55 dni w Pekinie", „Cyd" czy „Upadek cesarstwa rzymskiego", a także przy sławnym melodramacie „Bosonoga contessa" z Avą Gardner i Humphreyem Bogartem w rolach głównych. On także umożliwił głośny debiut filmowy Audrey Hepburn, namawiając reżysera Williama Wylera, aby powierzył jej główną rolę kobiecą w komedii „Rzymskie wakacje", u boku Gregory'ego Pecka.

Lejtes znalazł się w Stanach Zjednoczonych, gdzie realizował filmy telewizyjne. Niektóre z tych ostatnich zyskały sobie sporą popularność, na przykład seriale „Alfred Hitchcock przedstawia" czy „Bonanza", do których – już jako Joseph Leytes – nakręcił po jednym odcinku.

Czynniki państwowe II RP ingerowały w scenariusze tudzież sugerowały reżyserom tematy?

Rzadko. Tak było w przypadku „Szaleńców" Leonarda Buczkowskiego o I Brygadzie czy „Pieśni o wielkim rzeźbiarzu" – filmu Jana Nowiny-Przybylskiego o życiu Józefa Piłsudskiego, który nigdy nie wszedł na ekrany. Władze naciskały jednak na pozytywne przedstawianie państwa i wojska, jak również policji, i reżyserzy musieli się do tego stosować, bo w przeciwnym wypadku cenzura wstrzymywała dystrybucję produkcji.

Filmowcy niekiedy obchodzili te wymagania, umieszczając akcję komedii satyrycznej w jakiejś operetkowej scenerii, jak np. w filmie „Pani minister tańczy". Zasadniczo wszelka krytyka ówczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej, dopuszczalna do pewnego stopnia w publicystyce i literaturze, w filmie była w praktyce zakazana. Na przykład Gardan, przystępując do ekranizacji powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Doktor Murek", musiał zmienić scenerię niesprawiedliwego zwolnienia z pracy głównego bohatera z urzędu miasta na prywatne przedsiębiorstwo, a także usunąć wątek jego przelotnego związku z organizacją komunistyczną. Nie pokazał również samobójstwa Franciszka Murka. Tak było zresztą w wielu innych filmach, chociażby w ekranowej adaptacji „Granicy" Zofii Nałkowskiej w reżyserii Lejtesa, gdzie Zenona Ziembiewicza – w powieści prezydenta miasta – na ekranie obsadzono na stanowisku prezesa firmy.

Nasi producenci filmowi częściej zbijali wówczas kapitał czy plajtowali?

Różnie. Niełatwo było utrzymać się na dynamicznym, często zmieniającym się rynku zdominowanym przez kino amerykańskie. Kiedy bankrutowała jedna wytwórnia, jej właściciel wchodził zazwyczaj w kooperację z innym producentem, zakładając nowe przedsiębiorstwo kinematograficzne, oczywiście pod nową nazwą.

Najdłużej istniała pierwsza założona na ziemiach polskich wytwórnia Sfinks, należąca do Aleksandra Hertza, który czasem stawał za kamerą w roli reżysera.

PIOTR KITRASIEWICZ „FILMOWCY PRZEDWOJENNEJ WARSZAWY" BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY B-KA GŁÓWNA

Sfinks wyprodukował pierwszy film w roku 1911 – był nim „Antek Klawisz, bohater Powiśla", z Antonim Fertnerem w roli tytułowej. A ostatni, „Dzieje grzechu", według powieści Stefana Żeromskiego, wszedł na ekrany w roku 1933. Potem, do wybuchu wojny w 1939 r., z bazy materiałowej Sfinksa korzystały inne wytwórnie, wynajmując atelier oraz laboratorium.

Praca na planie filmowym gwarantowała opisywanym komfortowy byt?

Na pewno nie statystom ani nie pracownikom technicznym. Ale czołowe gwiazdy – takie jak Bodo, Żabczyński, Brodniewicz, Barszczewska, Benita, Żelichowska czy Ney – zarabiali ok. 10 tys. zł za główną rolę w filmie. Stawka reżysera za nakręcenie filmu, zmontowanie go i nadzór nad udźwiękowieniem wynosiła od 5 tys. do 10 tys. zł. Kilkutysięczne honoraria za scenariusz otrzymywali również czołowi scenarzyści, tacy jak Tadeusz Dołęga-Mostowicz czy Anatol Stern. Ludzie ci rzeczywiście pławili się w luksusie.

Niewiele pisze pan też o nadziei polskiego kina końca lat 30. Jerzym Gabryelskim, którego film „Czarne diamenty" miał reprezentować Polskę na inaugurującym działalność międzynarodowym festiwalu w Cannes.

Bo ten twórca w niewielkim stopniu zdążył zaistnieć w kinie II RP. Po nakręceniu dwóch krótkometrażowych dokumentów przystąpił do realizacji fabularnego dramatu społeczno-obyczajowego pt. „Czarne diamenty", z udziałem m.in. Zbyszka Sawana i Iny Benity, z fabułą osadzoną w górniczym środowisku Śląska. Przed wybuchem wojny obraz był gotowy do dystrybucji, ale nie zdążył wejść na ekrany. Pod koniec sierpnia odbył się tylko pokaz dla dziennikarzy i dystrybutorów. Uroczysta premiera „Czarnych diamentów" odbyła się dopiero w roku 1981 (!), już po śmierci reżysera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Kitrasiewicz – dziennikarz i pisarz, autor kilkunastu książek, m.in.: „Jego Ekscelencja na herbatce z Göeringiem", „Polscy pisarze w cieniu Stalina", „Artyści w cieniu Stalina" i najnowszej – „Filmowcy przedwojennej Warszawy".

eprasa.pl 86d441b100

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wyznania kuglarza

Piotr Gociek

„Patrzcie na mnie, oto jak zostałem artystą” – woła Steven Spielberg w filmie „Fabelmanowie”. Nie jest to aż tak fascynująca opowieść, jak mogłoby się zdawać

Próżność? Pycha? Nostalgia? Tęsknota za latami dzieciństwa? Brak świeżych pomysłów? Do grona reżyserów, którzy zapragnęli stworzyć własny „Amarcord”, dołączył Steven Spielberg, kierując w filmie „Fabelmanowie” kamerę na siebie, na własną przeszłość. Podobnie zatem jak w przypadku innych głośnych premier z ostatnich lat – „To była ręka Boga” Paola Sorrentino czy „Ból i blask” Pedra Almodóvara – otrzymujemy opowieść, w której twórca woła: „Patrzcie na mnie, oto jak zostałem artystą, oto ludzie i okoliczności, które mnie stworzyły!”.

Rodzina Spielbergów zamienia się więc na ekranie w rodzinę Fabelmanów, a sam Steven – w małego Samuela. Z New Jersey przenoszą się do Arizony, by później wylądować w Kalifornii, ale od punktów geograficznych ważniejsze są punkty na emocjonalnej mapie rozwoju Sammy’ego. Jako dzieciak po raz pierwszy trafia z rodzicami do kina, gdzie oglądają razem film „The Greatest Show on Earth”, film Cecila B. DeMille’a. Obraz robi na nim oszołamiające wrażenie, zakochany w nowym rodzaju sztuki Sammy próbuje odtworzyć scenę katastrofy pociągu, używając zestawu zabawek i amatorskiej kamery. Kolejne lata przynoszą coraz ambitniejsze próby (na domową skalę, rzecz jasna). Zatem filmy z udziałem sióstr – Anna po latach mówiła o swych wspomnieniach z pierwszego pokazu „Szczęk”: „Pomyślałam, że przez długie lata straszył nas, w domu, a teraz będzie straszył tłumy”.

Gdy Samuel Fabelman zostaje skautem, już jako nastolatek kręci pierwsze „superprodukcje” z udziałem kilkunastu, a czasem i kilkudziesięciu rówieśników. Western, film wojenny – zabawa jest coraz bardziej okazała. No właśnie: zabawa – tak widzi to ojciec Sammy’ego (Paul Dano), który jak każdy porządny rodzic czeka z utęsknieniem na chwilę, gdy syn wybierze drogę jakiejś prawdziwej kariery, zamiast tracić czas i pieniądze na ekstrawaganckie hobby. Pasję syna wspiera natomiast matka (Michelle Williams), sama trochę niespełniona artystyczna dusza. Mamy tu jeszcze jedną ważną figurę dramatu – rodziny Fabelmanów nie opuszcza jej bliski przyjaciel Benny (zaskakująca rola Setha Rogena).

MŁODOŚĆ TYPOWO AMERYKAŃSKA

I to właściwie… wszystko. To znaczy wszystko, jeśli traktować ten film jako

eprasa.pl 86d441b100

opowieść o narodzinach miłości do kina i o drodze do realizacji wielkiego marzenia, jakim jest praca w przemyśle rozrywkowym. Kto szuka metafizycznych wzruszeń, dostrzeżenia czegoś nieuchwytnego, tej magii, która zamienia to, co zwykłe, w niezwykłe, odejdzie rozczarowany, przynajmniej takie było moje doświadczenie. Dzieciństwo Spielberga/Fabelmana nie było ani jakoś specjalnie nieszczęśliwe, ani rozrywane nadmiarem niespodziewanych wydarzeń. Młodość typowo amerykańska, finał poszukiwań też udany, bo nasz bohater nie tylko szybko trafia do biznesu telewizyjno-filmowego, lecz także ociera się o „największego reżysera w dziejach" – to znaczy Johna Forda (w tym epizodzie cudownie wypada David Lynch). Fabelman porusza się mniej więcej po linii prostej, wielu innych artystów (reżyserów, pisarzy, malarzy, muzyków) mogłoby opowiedzieć o swej młodości i o swych walkach z muzą historie dalece bardziej zajmujące i przerażające. Jednak nie darmo jest Spielberg specem od kina sentymentalnego i w pewnym sensie familijnego. Zatem podobnie, jak było w życiu Stevena, cieniem na dorastaniu Sammy'ego kładzie się rozwód rodziców. „Film „E.T." mówił o tym, co czułem po rozwodzie moich rodziców. Uciekałem w świat wyobraźni" – tłumaczył dorosły już (i sławny) Spielberg. „Marzyłem o tym, by mieć przyjaciela, który zastąpiłby mi zarówno brata, którego nigdy nie miałem, jak i ojca, którego traciłem. I tak narodził się »E.T.«".

TROP RODZINNEJ TAJEMNICY

W miejscach, gdzie „Fabelmanowie" zamieniają się w opowieść o rodzinie, stają się filmem dużo ciekawszym od kolejnej narcystycznej historyjki z cyklu „portret artysty z czasów młodości". W centrum tej rodziny znajduje się matka, która na naszych oczach zmienia się z wzorowej pani domu w postać, co do której mamy prawo mieć podejrzenia, że popada w poważne kłopoty z psychiką. Może choroba dwubiegunowa? Wytrawny storyteller Spielberg wywodzi nas w pole: Mitzi Schildkraut-Fabelman nie jest szalona, ona jest po prostu nieszczęśliwa. A jednocześnie jako osoba racjonalna i kochająca swoją rodzinę wzdraga się przed podjęciem kroków, które mogłyby przynieść jej szczęście – nie, jeśli ma się to odbyć kosztem tych, którzy ją kochają, zatem dzieci i męża.

Wątek rodzinny i, nazwijmy to, artystyczny splatają się dramatycznie, gdy nastoletni Sammy wpadnie na trop rodzinnej tajemnicy (i zostanie jej niechętnym strażnikiem) oraz gdy uświadomi sobie, że świat sztuki i świat emocji prywatnych mogą wchodzić ze sobą w konflikt. Wprost wykłada mu to niespodziewany gość, którym w pewnym momencie staje się tajemniczy cioteczny dziadek Boris (Judd Hirsch). Boris poświęcił swe życie karierze w cyrku i w filmach; dowiedziawszy się zaś o filmowych ambicjach młodego Fabelmana, udziela mu serii dobrych porad, które nie są specjalnie odkrywcze, ale Spielberg bardzo chce, byśmy je za takie uważali. Zatem: życie prywatne i życie artysty zawsze ze sobą kolidują, show-biznes to niebezpieczne miejsce, a sztuka wymaga ofiar i jest ryzykowna. „Wkładanie głowy w paszczę lwa to sztuka?" – pyta, wątpiąc Sammy. „Nie – odpowiada Boris – sztuka to sprawienie, by ci tej głowy nie pożarł".

Wychwalają amerykańscy krytycy „Fabelmanów" jako dzieło szczere, głębokie, wzruszające i mówiące nam coś o magii kina. Pozostanę dużo mniej entuzjastyczny. Cytowane powyższej rady starego wyjadacza brzmią banalnie, w ogóle, jeśli chodzi o odkrywanie sekretów sztuki, zdaje mi się ten film niesłychanie miałki. Cierpienia młodego artysty w wykonaniu Spielberga, który jest przecież przede wszystkim kuglarzem kina, specem od kina aż nazbyt gładkiego, wydają mi się na tle opowieści Felliniego czy Sorrentino wręcz niestosowne: konia kują, żaba nogę podstawia. Może wina leży po mojej stronie: Spielberg jest dla mnie przede wszystkim hollywoodzkim bajarzem i w takich dziedzinach osiągał mistrzostwo (od „Szczęk" do „E.T." i od serii o Indianie Jonesie do „Jurassic Park". Tam, gdzie stawką jest prawdziwy dramat, bywało różnie. Udał się „Szeregowiec Ryan", świetne było „Imperium słońca" (gdzie samotność dzieciństwa pisarza Ballarda stopiła się z samotnością dzieciństwa reżysera Spielberga). Ale jakże wiele było w dorobku Spielberga filmów błahych, nawet gdy tematyka zdawała się sama wynosić dzieło ponad hollywoodzką papkę? Może jestem niesprawiedliwy, widzowie filmu „Fabelmanowie" sami to ocenią. Kupuję w nim dramat rodzinny,

STEVEN SPIELBERG „FABELMANOWIE" USA 2022

nie kupuję artystycznych rozterek: niczego nowego się z tego filmu nie dowiedziałem, a to, co już znałem, podane zostało w sposób, powtórzę, banalny.

Ciekawa rzecz: mimo zachwytów krytyków widownia w USA odwróciła się od Spielberga i jego wyznania nie przyjęła. Klęska finansowa jest jeszcze bardziej dotkliwa niż w przypadku nowej „West Side Story". Nowa wersja słynnego musicalu kosztowała 100 mln dol., zarobiła (mimo świetnej prasy) ledwie 76 mln. Film „Fabelmanowie" (budżet 40 mln, nie licząc kosztów promocji) przez pierwszy miesiąc dystrybucji w amerykańskich kinach zarobił zaledwie 6 mln, odnotował zatem najgorsze otwarcie spośród wszystkich filmów Spielberga. A mówimy przecież o twórcy, który od niemal półwiecza uchodzi za symbol największych finansowych sukcesów Hollywood, za kasowego pewniaka.

Myślę, że rozminął się trochę Spielberg z duchem czasów. W dekadzie, kiedy każda grupa zaczyna celebrować swoją osobność, kiedy rozmaite mniejszości zwracają się – także w kulturze – przeciwko dominującej elicie Ameryki, cierpienia Fabelmanów mogły zostać przyjęte z lekką rezerwą: oto należący do najbogatszych ludzi w Hollywood członek liberalnej elity snuje opowieść o tym, jak bardzo mu było źle i ile to trzeba poświęcić dla sztuki. Nie zapominajmy i o wątkach etnicznych – piękne jest to w „Fabelmanach", że Spielberg celebruje swą żydowskość, nie wstydzi się jej, pokazuje ją jako nieodzowną część dziedzictwa (ach, gdybyż tak polscy reżyserzy traktowali w podobny sposób polskość!), ale dla widowni czasów Black Lives Matter czy dla emancypujących się coraz silniej Latynosów bogaci liberalni Żydzi to w Ameryce część zamkniętego w sobie establishmentu, a nie ofiary systemu. Dla nich najciekawszą częścią będzie finał „Fabelmanów", w którym Spielberg pokazuje, że kamera może być narzędziem zemsty w ręku uciskanych, że kto ma narrację, ten ma władzę.

Dwadzieścia, trzydzieści lat temu Spielberga opowieść o młodości mogła wzbudzić entuzjazm równie wielki jak „Kolor purpury". Dziś wywołuje wzruszenie ramion u wszystkich – oprócz krytyków. Ale ja też, pozwolicie, wzruszę ramionami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wszędzie ci faszyści

★★☆☆☆☆

REŻ. GUILLERMO DEL TORO „PINOKIO" („GUILLERMO DEL TORO'S PINOCCHIO") USA/MEKSYK 2022

animowany, dystr. Netflix

„Pinokio" Carla Collodiego to opowieść o przemianie z istoty bezdusznej w istotę moralną, drewniany chłopiec musi zrozumieć, że istnieje różnica między dobrem i złem, a także nauczyć się wybierać właściwie. Jest to więc także podróż od stanu barbarzyństwa do cywilizacji. Guillermo del Toro w swojej wersji odwraca to przesłanie: Pinokio jest chwalony za to, że jest chłopcem nieposłusznym, gdyby był posłuszny, to oznaczałoby, że jest z nim coś nie w porządku.

Nieszczęsny stolarz Gepetto zamiast przyczynić się bezbrzeżną ojcowską miłością i cierpliwością do przemiany Pinokia, ma zrozumieć, że go nie zmieni i że taka zmiana byłaby zgubna, oraz pokochać go takim, jaki jest. Nowa, animowana poklatkowo (cóż z tego, że wspaniale) wersja ukochanej bajki zamienia się w lewacki manifest: kto posłuszny, ten faszysta; patriarchat to faszyzm; faszystowskie ciągoty przejawia też twój rodzic, jeśli wytknie ci, że zachowujesz się niestosownie. Żeby aluzje były nie tylko jasne, lecz także toporne jak pieniek, z którego powstał pajacyk, akcję filmu przeniesiono w czasy włoskiego faszyzmu, zresztą Mussolini się tu osobiście pojawia. Aha, no i jeszcze jedna ważna rzecz: to, co najgorsze, przydarzy ci się w kościele.

Hulaj dusza, piekła nie ma, nietzscheański Pinokio sam sobie wybierze przykazania, których będzie przestrzegał. A jeśli nie wybierze żadnych, to też go trzeba zaakceptować, bo bunt jest wartością najwyższą. Jeśli ktoś zastanawiał się, jak daleko sięgnie rewolucja kontrkulturowa, oto odpowiedź: nikt i nic nie jest bezpieczne, nicowanie sięgnie każdego kulturowego kodu, każdego kawałka klasyki, nieważne, czy dla dorosłych czy dziecięcej. Film Guillermo del Toro to dzieło tyleż zachwycające technicznie, co przygnębiające i niepotrzebne. Pochwała rebelii, która zamienia się w pochwałę dzikusa, bo tym przecież skończyć się musi wyrzucenie do kosza wszystkich hierarchii i przekonywanie, że każda forma posłuszeństwa to zbrodnia. Odrobina przyzwoitości wymagałaby, żeby del Toro obył się bez szyldu „Pinokio", bo jego film nie ma nic wspólnego z książką Collodiego. Ale cwany reżyser tego nie zrobił, bo wie, że publikę łatwiej skusić głośnym tytułem niż prywatnymi manifestami. Przesłanie zatem można wyciąć, a chwytliwy szyld się zostawia, bo bunt kończy się tam, gdzie zaczyna się kasa. ©℗

NOWE SERIALE: „ROMULUS"

Drugi sezon serialu okrzykniętego najlepszą włoską produkcją telewizyjną roku 2021. W Polsce „Romulus" przemknął niemal niezauważony, a szkoda, bo to ciekawy przykład opowieści z cyklu „jak przemienić dzieje bajeczne w mroczną opowieść historyczną". Zaranie Rzymu opowiedziane zostało z odpowiednią dozą brutalności – imperia nie powstają w wyniku luźnych pogawędek. Włosi zdążyli już dołożyć do serialu trylogię powieści. Brytyjczycy o początkach państwowości zrobili świetny serial „Upadek królestwa". Polacy mogą się uczyć od jednych i drugich. ***Piotr Gociek*** ©℗

• ***sezon 2 „Romulus", Włochy 2022, HBO Max***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. George Miller* ***„Trzy tysiące lat tęsknoty" („Three Thousand Years of Longing")****, USA/Australia 2022*
- *reż. Tom George* ***„Patrz, jak kręcą"****, USA/Wielka Brytania 2022*
- *reż. Alejandro González Iñárritu* ***„BARDO, fałszywa kronika garści prawd"****, Meksyk 2022*

eprasa.pl 86d441b100

Jak się zdeklasować

arte

Świat się zmienia, ludzie wcale. Z przeglądu filmowego, zorganizowanego pod auspicjami kanału Arte, jasno wynika, że dla młodych reżyserów – tak jak dla ich kolegów po fachu sprzed pół wieku – największą zmorą jest kapitalizm. Kto wątpi, niech zerknie na „Planetę" – hiszpańską komedię o matce i córce, które postanowiły pójść na dno z fasonem. Na festiwalu filmów niezależnych w Sundance uznano ją za objawienie. Autorka i odtwórczyni głównej roli, Amalia Ulman (rocznik 1989), jest artystką multimedialną. Urodziła się w Argentynie, rezyduje w Kalifornii, lecz okres burzy i naporu przeżyła w hiszpańskim Gijón. Miasto widmo, sponiewierane przez ekonomiczny kryzys, stanowi wdzięczną scenerię dla historii dwóch kobiet, których nie stać już na opłacanie rachunków za gaz i prąd, o kredytach nie wspominając. Na ogół znoszą swój los z pogodną rezygnacją, dbając jedynie o zachowanie pozorów. Leonor jest stylistką po studiach w Londynie, María (w tej roli matka reżyserki) woli kreacje bardziej tradycyjne. Zgadzają się jednak, że lepiej jest kraść i oszukiwać niż pracować poniżej kwalifikacji. Zamiast chleba można jeść ciastka. I nic tak nie poprawia humoru, jak wielkie zakupy w „El Corte Inglés". Feministki po seansie będą raczej zakłopotane, Hiszpanie oburzeni, lecz nie dadzą nic po sobie poznać. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. AMALIA ULMAN
„PLANETA" („EL PLANETA")
HISZPANIA 2020

wyst. Amalia Ulman, Ale Ulman, Zhou Chen

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOSMOCHEMIOTERAPIA

KINO

Filozof, zakładający skarpety nie do pary, to normalka. Inteligent, zapominający książki ulubionych pisarzy, to dramat. Ojciec bohaterki „Pięknego poranka", ceniony pedagog, cierpi na rzadką odmianę choroby Alzheimera, tracąc stopniowo kontakt z rzeczywistością. Matka, proekologiczna neofitka, czynem udowadnia, że można być jednocześnie za i przeciw rządom Macrona. Sandra, zdołowana stanem rodziciela tudzież monotonią własnego żywota, szuka pociechy w ramionach eksprzyjaciela. Namiętny romans wydaje się jednak pozbawiony przyszłości. Wybranek kosmochemik jest bowiem żonaty, dzieciaty i lubi hamletyzować.

MHL ma dar opowiadania lekkim tonem o ciężkich przypadkach, lecz jej skłonność do wałkowania autobiograficznych epizodów graniczy z obsesją. Jeśli ktoś zastanawiał się, jak wygląda mikrosonda jonowa i czy żonie Bonda pasowałaby fryzura chłopczycy, to wyjdzie z kina usatysfakcjonowany.

★★★☆☆☆

REŻ. MIA HANSEN-LØVE
„PIĘKNY PORANEK" („UN BEAU MATIN")
FRANCJA/NIEMCY 2022

wyst. Léa Seydoux, Melvil Poupaud, Pascal Greggory

ZEGARMISTRZ ŚWIATŁA

Mieczysław Jahoda chciał być architektem, ale połknął filmowego bakcyla i używając kamery, przyczynił się do powstania kilku arcydzieł. „Pożegnania" słyną z długich ujęć i wyrafinowanych efektów świetlnych. Pomijając deszczowe intro, sceny z 1939 r. są skąpane w słońcu. Potem robi się ponuro. Słychać poloneza Ogińskiego, z ekranu padają prorocze słowa: „Może nie będzie już tego, co przywykliśmy uważać, że jest Polską?". Dygat pisał żółcią. Has przekierował rozliczeniowo-sarkastyczną prozę przyjaciela do krainy elegancji i nostalgii. Filmowe „Pożegnania" zdominował wątek miłosny, realizm uległ rozmyciu. Historia znajomości panicza i fordanserki przypomina sen na jawie. W programie miniprzeglądu Ninateki są jeszcze: klaustrofobiczne „Wniebowstąpienie", „Skorpion, Panna i Łucznik" (łotrzykowskie kino drogi) i jeden z najczarniejszych PRL-owskich kryminałów „Tylko umarły odpowie". ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★★★

REŻ. WOJCIECH HAS
„POŻEGNANIA"
POLSKA 1958

wyst. Tadeusz Janczar, Maria Wachowiak, Gustaw Holoubek

GRA TYGODNIA: „WIEDŹMIN 3: DZIKI GON" (NEXT-GEN) ★★★★★☆

Darmowa aktualizacja odświeżająca trzecią część „Wiedźmina" to doskonała okazja, by raz jeszcze zasiąść do jednej z najlepszych w historii gier albo po raz pierwszy zanurzyć się w świecie wymyślonym przez Andrzeja Sapkowskiego. Łatka nie tylko poprawia wrażenia wizualne (wysoka jakość tekstur, choć nie wszędzie; ray tracing etc.), nie tylko dodaje tryb fotograficzny, nowy quest, inne ujęcia kamery czy ekwipunek znany z serialu Netflixa, lecz także wprowadza sporo drobnych poprawek, które łatwo przegapić, ale które mają pozytywny wpływ na rozgrywkę. Wybierać możemy między trybem jakości i wydajności, w którym „Wiesiek" nadal wygląda dobrze i działa nieporównywalnie płynniej. Ideał? Blisko. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, PC*
- ***Producent, dystr.:*** *CD Projekt RED*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 86d441b100

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Iskry z czarta kuźni

Był bohater książki Janusza Węgiełka jeśli nie pierwszym, to na pewno wybitnym polskim konserwatystą, który negował wszystko, co zagraża cywilizacji – tak, europejskiej, bo jakiej by innej – i w swoim pisarstwie bronił paradygmatu tejże, najważniejszych jej zasad. W życiu jego bywało z tym różnie, mężem i ojcem był wszak byle jakim, choć dziś może nazbyt ochoczo krytykujemy małżeństwa, które trwają mimo tego, że wygasły w nich uczucia, a „jeżeli ktoś chciałby poznać »potworność« związku, tym razem partnerskiego – czytamy w »Ambasadorze cesarskim« – powinien zapoznać się z historią Chopina i George Sand. Gorąco namawiamy".

Był rozdarty między synowską miłością do ojca a realną oceną postępowania tego napoleońskiego generała, później jednak nazbyt lojalnego poddanego moskiewskiego satrapy, by nie powiedzieć kolaboranta. I tu warto przypomnieć, że gdy w 1832 r. Wincenty Krasiński przedstawił Zygmunta na carskim dworze, ten – w sytuacji, gdy mógł prosić o wszystko – zwrócił się do władcy z prośbą o… zezwolenie na wyjazd z Rosji. Co zresztą było konieczne ze względu na postępującą chorobę oczu.

Świetny jest opis śmierci Zygmunta Krasińskiego, od dziesięcioleci żyjącego – czytamy – „jakby na jednym brzegu rzeki – ku temu brzegowi przeprawiał, a była nim Europa, na drugim zaś zalegało carstwo moskiewskie, drapieżne i wietrzące krew. Jego krew. Próbował się maskować, wybrał żywot anonima, unikał jakiegokolwiek rozgłosu, zacierał za sobą ślady, a wszystko po to, ażeby tamci nie chwycili w nozdrza zapachu jego krwi, czyli w istocie zapachu atramentu, którym kreślił słowa, nie przepłynęli rzeki i nie rozszarpali go na sztuki. Tak jak dopadli i zamordowali Mickiewicza. W przedśmiertnym bowiem jasnowidzeniu dojrzał, że było to skrytobójstwo z podaniem trucizny".

FOT. WYDAWNICTWO LTW

Przez lata uchodził za trzeciego wieszcza, strącony z cokołów za komuny, jako że, co tam konserwatywny – reakcyjny i tyle, dziś wzmocniono by tę ocenę etykietkami antysemityzmu, a pewnie i faszyzmu. Przetrwał jako autor, skądinąd głęboko niesłusznej, „Nie-Boskiej komedii". A co z „Irydionem", znanym dziś bardziej jako krzyżówkowe hasło niż jedno z najistotniejszych dzieł naszej literatury? Nie dostrzegamy go, niestety, a przecież to jego bohater – powiada Janusz Węgiełek – „pojawia się w każdej epoce. Lekkomyślnością byłoby wątpić, że nie przemierza on w tej chwili placu przed bazyliką św. Piotra. Że nie jedzie paryskim metrem. Że nie kroczy warszawskim Traktem Królewskim. Ożywia go wola niszczenia. Ma swój plan. Widzi w wyobraźni zgliszcza i ruiny". Tak, to ten sam Irydion, brat bliźniak Pankracego z „Nie-Boskiej komedii".

Iście brawurowe jest porównanie Warszawy ery paskiewiczowskiej przedstawionej przez Krasińskiego w znanym jedynie z fragmentu, niezrealizowanym utworze scenicznym „Rok 1846. Dramat zaczęty" z powojenną rzeczywistością stolicy, zniszczonej przez Niemców i zarządzanej przez komunistów z sowieckiego nadania. Do więzień trafiają coraz to nowi aresztanci, narasta strach, ludzie boją się głośno mówić, ale i coraz częściej słyszy się, że mogło być gorzej. Jeśli zaś chodzi o Moskali, to…: „1846. Nie wszyscy Rosjanie są źli. Jest major Płut, ale jest i kapitan Ryków (Pan Tadeusz). Referendarz skwapliwie nadmienia, że ma zaszczyt znać takiego właśnie Rykowa. Rozsądny, nieprzekupny, ludzki, życzliwy Polakom, a nawet z kapką krwi polskiej. »Narodowość nasza tkwi w nim, głęboko ukryta wprawdzie, ale tkwi – Bogu dziękować, że i taki wyższy urzędnik nam się tu dostał«.

1946. Konstanty Rokossowski, marszałek sowiecki i polski minister obrony PRL, też miał ponoć kapkę krwi polskiej w żyłach i lubił Lachów. Być może nawet dałby im wolność, »ale cóż? Car nie pozwala!«. Machina indoktrynacji nabierała rozpędu. Propaganda sowieckiego zaborcy wykorzystywała w pewnym zakresie rosyjskie jeszcze wątki. W umyśle przeciętnego Polaka miał się utrwalić podział na dobrych Rosjan (»bracia Moskale«) i złych carów (autorytarna władza). I nawet dzisiaj rzadko kto pyta, jak to się dzieje, że ci »dobrzy« Rosjanie wyjątkowym kultem darzą niezmiennie tych władców, którzy innym narodom zabrali i zabierają najwięcej".

Był Zygmunt Krasiński pesymistą, ale wierzył w posłannictwo Polski i wyjątkowość Polaków, w duchowy postęp zakłócany wstrząsami rewolucyjnymi. W liście do Bronisława Trentowskiego napisał: „Wierzaj mi, rewolucje są chorobami ludzkości, a nie jej zbawieniem". I ostrzegał przed nimi, choćby w „Psalmie miłości":

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni –
Choćby nie był Moskal rodem,
Ten Moskalem stał się z ducha,
Ten mongolskich natchnień słucha,
Moskwa, piekło mu narodem. © ℗

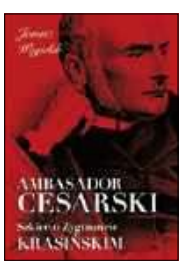

★★★★☆

JANUSZ WĘGIEŁEK „AMBASADOR CESARSKI. SZKICE O ZYGMUNCIE KRASIŃSKIM"
LTW, ŁOMIANKI 2022

eprasa.pl 86d441b100

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cień Trumputina

Życie byłoby puste bez Donalda Trumpa, w każdym razie życie amerykańskiej lewicy i uniwersyteckich elit. No bo ile można obrzydzać ludziom Reagana? Wszystkie chwyty dozwolone, łącznie z operacjami przeprowadzanymi pod fałszywą flagą. Na przykład książka Richarda Bradforda „Orwell. Człowiek naszych czasów" jest reklamowana jako „doskonała biografia" pisarza, nie ma z Orwellem nic wspólnego. Autor „Roku 1984" służy jedynie jako wymówka do nudnej tyrady o tym, jak wielkim kłamczuchem i zagrożeniem dla demokracji jest były prezydent USA i jak przed takimi ancymonkami Orwell nas przestrzegał.

Śmiem twierdzić, że Orwell, obserwując dzisiejsze czasy, stawałby w obronie wolności słowa wraz z Dave'em Chappellem, a szydził sobie z równościowej nowomowy i prania mózgów, które fundują sobie i innym dzisiejsi ideolożkowie (ideolodzy to za duże słowo). Szkoda, że na brzydki chwyt daje się nabrać polski wydawca, który bezmyślnie slogany o książce Bradforda powtarza. Mam jednak i dobrą wiadomość: w 2023 r. powinna ukazać się potężna i rzetelna opowieść o twórcy „Folwarku zwierzęcego", nad przekładem pracuje właśnie Bartłomiej Zborski. Enuncjacje Bradforda należy zaś szerokim łukiem omijać.

Z najnowszą książką Jurija Felsztinskiego „Od Dzierżyńskiego do Putina. Służby specjalne Rosji w walce o dominację nad światem 1917–2036" jest inny problem, ale też związany z Trumpem. Rosyjski historyk znany m.in. ze współpracy z Aleksandrem Litwinienką („Wysadzić Rosję") przez ogromną większość pracy snuje (wraz z Władimirem Popowem) wiarygodną i przerażającą opowieść o praktykach i osiągnięciach CzeKa, KGB i FSB. Na koniec jednak sam sobie przeczy, bo oskarżając Trumpa o bycie agentem Kremla, uznaje rzecz za udowodnioną na podstawie sygnałów wygenerowanych w Moskwie.

Trump nie jest święty, jego wady widać od lat jak na dłoni, ale dopóki nie zobaczę innych niż rosyjskie dowodów, dopóty będę utrzymywał, że największym osiągnięciem Kremla w wojnie informacyjnej z USA jest nie zwerbowanie Trumpa, lecz przekonanie części opinii publicznej, że jest ruskim agentem. O ileż to łatwiejsze, a dewastujący efekt – ten sam. ©℗

★★☆☆☆☆
RICHARD BRADFORD „ORWELL. CZŁOWIEK NASZYCH CZASÓW"
ZNAK

★★★★☆☆
JURIJ FELSZTINSKI „OD DZIERŻYŃSKIEGO DO PUTINA"
REBIS

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Tuż przed świętami ukazał się wspaniały prezent na finał roku polskiego romantyzmu. Znakomity eseista szuka początków zjawiska przed Mickiewiczem i pokazuje jego wpływ na tradycje polityczne Polaków.

BOHDAN URBANKOWSKI „ROMANTYZM POLSKI"
BIAŁY KRUK

Dziesięć krótkich utworów w przekładzie Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej, m.in. premierowe tłumaczenie sztuki „Tatiana Riepina". We wstępie ciekawe przypomnienie ukraińskich korzeni pisarza („jestem Chochołem" żartował).

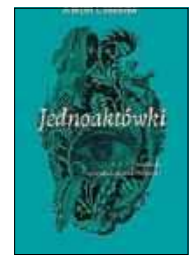

ANTON CZECHOW „JEDNOAKTÓWKI"
WYDAWNICTWO OFFICYNA

Jedna z najgłośniejszych powieści japońskiego noblisty (1994). Znaliśmy ją dotąd w przekładzie Zofii Uhrynowskiej-Hanasz z angielskiego (PIW, 1974), teraz tłumaczenie z japońskiego (i przypisy) przygotował Dariusz Latoś.

KENZABURŌ ŌE „OSOBISTE DOŚWIADCZENIE"
PIW

Coś w sam raz na środek zimy, kiedy nasz organizm pozbawiony słońca i witamin lubi się buntować. Jak to wszystko właściwie działa? Jak rozumieć i wspomagać własne ciało? Odpowiada popularyzator nauki z YouTube. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

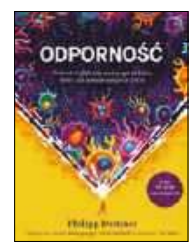

PHILIPP DETTMER „ODPORNOŚĆ"
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „NOIR BURLESQUE"

Komiks stworzony jest wprost do opowiadania historii ze świata czarnego kryminału, od zapomnianych pasków prasowych do sukcesów „Sin City" w ostatnich dekadach. Szwajcarski rysownik Enrico Marini w swojej długiej karierze rysował sagi SF („Cygan"), sięgał po horror („Drapieżcy"), zerkał w przeszłość („Orły Rzymu"), teraz zaś proponuje album oparty bardziej na nastroju i półcieniach. Ten hołd dla poetyki noir zawiera wszystkie jej elementy: twardych facetów, półświatek, femme fatale, a jednocześnie zamienia się w opowieść oniryczną. ©℗

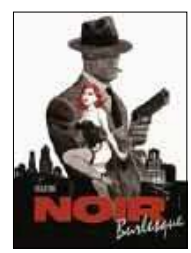

ENRICO MARINI „NOIR BURLESQUE"
EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 86d441b100

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Opowieści

To nie jest wystawa o sztuce, tylko o sztuce opowiadania. Przygotowując ją, zależało mi, żeby widzowie otworzyli się nie na artyzm prezentowanych prac i sprawność techniczną twórców, ale na przekaz. Prezentowane prace mają wiele do powiedzenia, trzeba tylko pozwolić im na siebie oddziaływać, ponieść się wyobraźni i wyruszyć w podróż, tworząc opowieść – mówi Olga Budzan, kuratorka wystawy „Obrazy do opowiadania".

Jakie to opowieści? Zderzają się tu wielkie historie z tymi osobistymi, tak jak zestawione są tu różne obrazy. Obok XVI-wiecznej nastawy ołtarzowej pojawia się współczesny komiks, z obrazami dewocyjnymi sąsiadują tablice przyrodnicze. Kuratorka sięgnęła też m.in. po XIX-wieczne grafiki ukazujące konsekwencje złego prowadzenia się, obrazy służące do kontemplacji, takie jak insygnia męki Pańskiej, obrazkowe mapy świata i ilustracje przyrodnicze czy zaczerpnięte z prasy opowieści graficzne. Wszystkie mają skondensowaną narrację, fabuła wybranych obrazów zamyka się w jednej scenie. ©℗

FOT. WOJCIECH ROGOWICZ

GDZIE? *Wrocław, Muzeum Etnograficzne (oddział Muzeum Narodowego)*
KIEDY? *do 26 lutego*

FOT. NIPEWCZ, POLONIKA

POLACY NA ŚWIECIE

Minęło pięć lat od powołania Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą Polonika. Z tej okazji instytut przygotował plenerową wystawę, która przekrojowo pokazuje jego działalność w ramach trzech programów strategicznych: Badania, Ochrona, Popularyzacja. „Podróż w nieznane z Instytutem Polonika" to w istocie podróż do miejsc, gdzie znajdują się materialne ślady polskiego dziedzictwa kulturowego objęte opieką przez Instytut Polonika. ©℗

GDZIE? *Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 66*
KIEDY? *do 16 stycznia*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Grzeczna przemiana

Lanberry, czyli Małgorzata Uściłowska, tej jesieni udanie zadebiutowała w roli jurorki „Voice of Poland". Dziewięć lat wcześniej jako wokalistka bez powodzenia próbowała sił w tym telewizyjnym programie.

Na czwartym albumie Lanberry porzuciła elektroniczne pląsy na rzecz rockowego łoskotu, co już samo w sobie jest godne uwagi. „Motywem przewodnim krążka są zdecydowanie gitary w różnych wcieleniach: drapieżnym, mocnym, a także lirycznym i akustycznym" – tłumaczy wokalistka.

Mimo całej mej sympatii do Lanberry to sporo jej brakuje do Avril Lavigne czy Alanis Morissette. Te piosenki są po prostu za grzeczne i to zarówno pod względem treści, jak i muzycznej produkcji. W jej uczuciowych wyznaniach o rozstaniach i powrotach nie ma choćby pazura i flaków, jakie możemy usłyszeć na ostatniej płycie Agnieszki Chylińskiej. Z drugiej strony jak na płytę nawet poprockową brakuje bardziej szalonej muzycznej wizji. Tkliwe melodie, proste refreny, przestrzenne gitary, a w balladkach molowe pianinko nie wystarczą, by przykuć uwagę słuchacza przez 40 minut. Po soczystym otwierającym album „Tańcu z ogniem" kolejne piosenki przepływają bezboleśnie, a chyba nie o to chodziło. I dopiero ostatnia piosenka, „Post scriptum", dzięki prawdziwym emocjom w głosie Lanberry robi wrażenie. ©℗

★★★★★★
DONALD BYRD
„LIVE: COOKIN' WITH BLUE NOTE AT MONTREUX"
BLUE NOTE

Z okazji 90. urodzin amerykańskiego trębacza ukazał się album zarejestrowany podczas Montreux Jazz Festival w 1973 r. Dziesięcioosobowy zespół daje ognisty popis afro-jazz-funkowego jammowania. Prawdziwy klasyk niespodziewanie odszukany po pół wieku.

★★★★★☆
TOM PETTY & THE HEARTBREAKERS
„LIVE AT THE FILLMORE, 1997"
WARNER RECORDS

W 1997 r. grupa dała 20 koncertów w San Francisco. Na czterech CD dostajemy wybór 43 nagrań. W odróżnieniu od wcześniejszych albumów koncertowych Petty'ego tu większość stanowią covery standardów Chucka Berry'ego, Stonesów, J.J. Cale'a czy Boba Dylana. ©℗

★★★★☆☆
LANBERRY
„OBECNA"
AGORA

eprasa.pl 86d441b100

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Karp z chałą

Krzysztof Masłoń

Święta, święta i już po... Słowo stało się ciałem, zwierzęta przemówiły, Jarosław Kaczyński Krótko Mówiąc nie dywagował, Tusk w trzech zdaniach ani razu nie skłamał, a Kacper Kuszewski objawił się na wigilii w Grabinie

Nakolędowali my się, nakolędowali... Ledwie człowiek nadążył kanały zmieniać, by powtórować ulubieńcom mas relacjonującym to, co anioł pasterzom mówił. A nawoływali oni do stajenki: z Fromborka i Białegostoku, Krakowa i Warszawy, Ludźmierza, a nawet z Chicago, z tamtejszej bazyliki św. Jacka. Podziw brał na widok takiego np. Piotra Cugowskiego, jak woła z Warmii w TVP 1, a za chwilę w TVN, i to 24, ze świątyni na krakowskim Kazimierzu. Podejrzewałem efekt teleportacji, ale okazało się, że TVN-owcy odkurzyli kolędowanie sprzed lat czterech. Zresztą pierwszego dnia świąt też wyciągnęli z puszki śpiewy uskuteczniane dwa lata temu na Podlasiu, gdzie Piasek ze Szpakiem pospołu zawodzili o „Mizernej cichej" w Pałacu Branickich, jak na stajnię nieźle wypasionym.

Sanktuarium w Ludźmierzu, w którym wciąż słychać echo „Nieszporów" Jana Kantego Pawluśkiewicza (to już 30 lat minęło od prawykonania tamtego utworu), tym razem nawiedziła para prezydencka, a kolędowano na podhalańską nutę, modląc się o pokój: w domu, zagrodzie, a i za miedzą. Bez modlitwy w dni Bożego Narodzenia ani rusz, tu jednak nasuwały się telewizyjne dylematy, no bo trudno było zdecydować się, czy spędzić wigilijny wieczór z papieżem Franciszkiem w Watykanie czy z rodziną Mostowiaków, do której na świąteczną wieczerzę przywlókł się z dawna niewidziany Mareczek. I to z antypodów!

I było w Grabinie ślicznie jak zawsze, a nawet prześlicznie, tyle że Bóg raczy wiedzieć dlaczego, zamiast chóralnego odśpiewania bardzo w tej sytuacji aktualnego szlagieru odkurzonej ostatnio przez telewizję publiczną Krystyny Giżowskiej „Nie było ciebie tyle lat", zaprezentowano układy taneczne. Poza tym wbrew uzasadnionym przewidywaniom Mareczek nie dokonał coming outu. Cóż, jeszcze nie pora, ale wszystko przed nami.

Telewizyjni nadawcy wyuczyli się, że w święta ma być elegancko, a jak się uda, to i wytwornie, ale – bo to się wcale ze sobą nie musi kłócić – i swojsko, i ludowo, wzruszająco i radośnie zarazem. Najlepiej w discopolowym rytmie, co udowodniły takie tuzy jak Bayer Full oraz Piękni i Młodzi, będąc ozdobami Polsatowego koncertu „Zajaśniała gwiozdecka nad Tatrami", nadawanego – jakżeby inaczej – z samego Zakopanego, w którym już za chwilę, bo w sylwestra, będzie się działo, oj będzie. Tyle że już w telewizji publicznej, która tego dnia nikomu Giewontu nie odda. Przenigdy.

Bo generalnie najważniejsza jest tradycja, a już w święta szczególnie. Trzymając się tej żelaznej zasady, Polsat nadał w Wigilię „Kevina samego w domu", odfajkowując w ten sposób bożonarodzeniowe powinności. Idąc w Polsatowe ślady, telewizja z ulicy Wiertniczej wyświetliła swoje „Listy do M.", tym razem „dwójkę" i „trójkę", ani przez chwilę nie zapominając o zachęcaniu narodu, by choć na trochę opuścił domowe pielesze i wybrał się do najbliższego multipleksu bądź innego iluzjonu na „Listy do M. 5". Co do mnie, to z dwojga złego wolę Macaulaya Culkina od Tomasza Karolaka, ale biorę poprawkę na to, że być może ten drugi w dzieciństwie miał w sobie jeszcze więcej wdzięku niż 10-letni odtwórca roli Kevina, wystartował jednak do kariery aktorskiej grubo później, debiutując na dużym ekranie dopiero w wieku 29 lat. Zresztą jako milicjant.

Poza tym evergreeny: „Święta Last Minute" i „Zawód Święty Mikołaj", „Last Christmas" i „Wymarzone święta", „Święta jak marzenie" i „Radosne święta". Wszystkie spod jednego strychulca, nie do odróżnienia, ale to może i dobrze, bo Ale Kino się wyłamało i niewykluczone, że przez pomyłkę wyemitowało rodzimej produkcji „Cichą noc". A jaka ona cicha, jak z Ogrodnikiem i Jakubikiem?! No horror! Człowiek zwracał ledwie napoczętego karpia...

A ze świątecznych dań Magda Gessler serwowała w TVN karpia po żydowsku z chrzanem, w galaretce z malagi i z migdałami oraz rybę faszerowaną biszkoptami i chałką. Nie zdziwię się, jak za rok w podchoinkowym menu znajdą się poza obowiązkową gefilte fisz sałatka galicyjska, żydowski kawior i czulent. Będzie tradycyjnie, a zarazem poprawnie. Palce lizać! ©℗

eprasa.pl 86d441b100

Z prof. Grzegorzem Kucharczykiem, historykiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Totalitaryzm jest zawsze nowoczesny?

Obchody 1 maja w Berlinie, Lustgarten. Hitler, nowy Führer, przemawia do tłumu FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 86d441b100

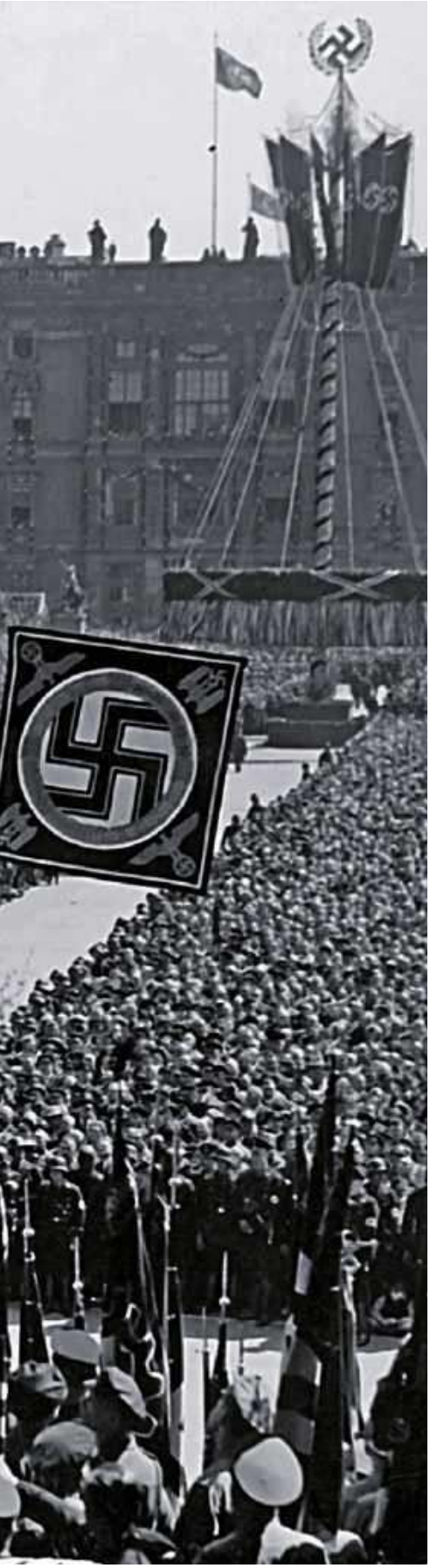

TOMASZ D. KOLANEK: Niemcy chcieli po pierwszej wojnie światowej w swoim państwie totalitaryzmu?

PROF. GRZEGORZ KUCHARCZYK: Na pewno nie chcieli tego, co powstało w Niemczech po pierwszej wojnie światowej, czyli ustroju republikańskiego opartego na demokracji parlamentarnej.

Czego w związku z tym chcieli? W mojej ocenie „fenomen" niemieckiego totalitaryzmu polega na tym, że miał on niemal pełne, szczere poparcie społeczne.

Niemiecki narodowy socjalizm nie ujawnił się niczym grom z jasnego nieba na nieskalanym firmamencie niemieckiej polityki. On rósł mniej więcej od września 1930 r. W kolejnych wyborach – czy to do Reichstagu, czy w wyborach lokalnych, np. w Prusach – narodowi socjaliści odnotowywali systematyczny i lawinowy przyrost głosów. Można więc powiedzieć, że miliony Niemców systematycznie zawierzały narodowym socjalistom przyszłość swoją indywidualną, przyszłość swoich rodzin i całego narodu.

Natomiast czy te miliony wyborców, w latach 1930–1933 głosując na Narodowo-Socjalistyczną Partię Robotników Niemiec (NSDAP), jednocześnie głosowały za ustrojem totalitarnym, za obozami śmierci, za masową eksterminacją Polaków, Żydów i innych „podludzi", to oczywiście kwestia dyskusyjna. Pewne jest to, że miliony Niemców po pierwsze uważały stan polityczny, w jakim były Niemcy po listopadzie 1918 r., za niedopuszczalny, a po drugie dla milionów Niemców wielka wojna nie zakończyła się 11 listopada 1918 r.

Dlaczego Niemcy nie protestowali na masową skalę w związku z metodami totalitarnymi, które wdrożyli Adolf Hitler i jego towarzysze? W swojej książce „III Rzesza Niemiecka. Nowoczesność i nienawiść" wskazuje pan, że takich protestów było jak na lekarstwo... Dlaczego wybrano, w najlepszym wypadku, milczenie?

Niemiecka opinia publiczna doskonale wiedziała, co dzieje się na Wschodzie, bo tam głównie dokonywano ludobójczej eksterminacji, począwszy od września 1939 r., koncentrując się na polskich elitach, potem przechodząc do eksterminacji ludności żydowskiej i innych narodów słowiańskich. O tym doskonale wiedziano! Miliony żołnierzy Wehrmachtu, Gestapo, SS etc. służyły na froncie wschodnim, wracały na urlopy, pisały listy, mówiły, co się działo. O zbrodniach powszechnie wiedziano, a mimo to trwano do końca przy Führerze. Przypomnę, że najwięcej żołnierzy niemieckich zginęło w ostatnich kilku miesiącach wojny. To pokazywało, że do końca trwali w zaciekłym uporze przy wodzu.

Skąd jednak ten upór? Widzieli zbrodnie, widzieli ludobójstwo, widzieli przelewanie niewinnej krwi, a mimo to do końca wierzyli w wodza. Przypomnę tylko rzeź Woli w Warszawie. Niemieccy żołnierze dostali ustny rozkaz, żeby nie mordować na taką skalę. Odpowiedzieli: „Chcemy mieć to na piśmie". Na miłość boską! Każdy normalny człowiek dziękowałby Stwórcy, że może przerwać to szaleństwo, a oni nie...

W mojej książce przywołuję wyniki badań opinii publicznej, które przeprowadzili alianci w zachodnich strefach okupacyjnych po zakończeniu drugiej wojny światowej, z których wynikało, że większość respondentów uważała, iż narodowy socjalizm był słuszną ideologią, słusznym ustrojem. Co prawda, były błędy i wypaczenia, ale generalnie był to słuszny ustrój i słuszna praktyka polityczna.

Jeżeli więc miliony Niemców po drugiej wojnie światowej, po tym, co zobaczyły chociażby dzięki urządzanym przez aliantów wycieczkom do obozów zagłady, żeby Niemcy mogli na własne oczy zobaczyć, co w ich imieniu działo się za kratami i drutami, a mimo to nadal uważały, że narodowy socjalizm był słuszną ideą, to co ja mogę panu odpowiedzieć? Było to albo szaleństwo, albo opętanie. Innego wyjaśnienia nie ma.

Odnośnie do wywołanej przez pana rzezi Woli. Kat Woli Heinz Reinefarth zrobił świetną karierę polityczną w demokratycznych zachodnich Niemczech po 1945 r. To pokazuje, że nie było tam żadnej gotowości do tzw. przezwyciężania przeszłości, którym dzisiaj Niemcy tak się chlubią.

Na co była gotowość? Na restaurację III Rzeszy i poszukiwanie nowego Hitlera?

Tysiące oddanych wyznawców nazizmu, tysiące morderców były po wojnie urzędnikami, burmistrzami, profesorami i innymi autorytetami moralnymi. Przez pewien czas w MSZ RFN pracowało więcej nazistów niż w latach 1933–1945. Po tym, jak w zachodnich Niemczech ustały w 1949 r. z chwilą powstania RFN procesy organizowane przez aliantów, obowiązywała strategia, że zły był Hitler, zły był Himmler, zły był Goebbels i jeszcze

eprasa.pl 86d441b100

kilku innych szaleńców, którzy otumanili naród. Natomiast miliony Niemców po pierwsze nie do końca wiedziały, co się dzieje, a po drugie wcale nie można ich kwalifikować jako bardzo chętnych współpracowników reżimu narodowosocjalistycznego. Taka była oficjalna wykładnia w RFN! Zwróćmy uwagę, że to trwało i trwa nadal. Wystarczy przypomnieć sobie słowa papieża Benedykta XVI, które wypowiedział w Auschwitz w 2006 r. Na szczęście Kościół nas uczy, że papież jest nieomylny jedynie w sprawach wiary i moralności.

Czy totalitaryzm jest zawsze nowoczesny?

Totalitaryzm zawsze chętnie odwołuje się do nowoczesności i prezentuje się jako nowoczesność. Jeżeli popatrzymy na wszystkie emanacje totalitaryzmów, to widzimy, że zawsze stroiły się one w szaty nowoczesności. Pierwszą demokracją totalitarną była rewolucja francuska, która sama w sobie miała być skokiem do nowoczesności, a skończyło się ludobójstwem w Wandei, wandalizmem i zniszczeniem.

Podobnie działali bolszewicy, którzy dla zdobycia władzy stosowali bardzo „nowoczesne" metody, że wspomnę tylko masową propagandę, objazdowe kina etc. Przypomnę, że to bolszewicy stworzyli pierwsze w dziejach świata totalitarne państwo i dlatego byli podziwiani przez Hitlera, który z jednej strony potępiał żydokomunę, ale z drugiej nie krył podziwu dla Lenina, który uczynił z masowego terroru zwyczajny instrument władzy.

Potem Hitler sam stosował „nowoczesne środki". III Rzesza Niemiecka pokryła się siecią autostrad; dbano o prawa zwierząt, np. pilnowano, żeby w humanitarny sposób przewożono je w bydlęcych wagonach; dbano o zdrową żywność; dbano o uświadamianie seksualne, zwłaszcza na terenach okupowanych etc. Pełna nowoczesność.

Pełna nowoczesność i to w dodatku okraszona odpowiednią dozą wierzeń starożytnych...

Tak. Z jednej strony III Rzesza miała autostrady i supernowoczesne samochody, a z drugiej nieustannie mieliśmy tam do czynienia z nostalgicznym wzdychaniem do starogermańskich bożków pogańskiej Germanii. Na tym właśnie polegało „nowoczesne podejście do polityki" niemieckich nazistów – w ich ideologii mogło zmieścić się niemal wszystko, tak jak np. we współczesnej Rosji Putina, gdzie z jednej strony mamy do czynienia z kultem Lenina, z drugiej z odbudową soboru Chrystusa Zbawiciela, z trzeciej kult Piotra Wielkiego etc. Wszystko się mieści w wielkim rosyjskim dziedzictwie.

Trzeba jednak pamiętać, że prekursorami postmodernistycznego podejścia do kultury politycznej, gdzie nic się nie wyklucza, byli narodowi socjaliści, którzy nakładali obowiązek posiadania radia przez każdą rodzinę, a jednocześnie boleli nad losem kobiet, które ginęły kiedyś w procesach o czary, ponieważ przechowywały starogermańskiego ducha i za to zostały spalone na stosie.

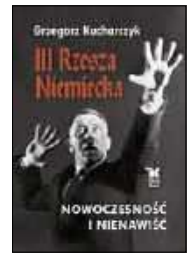

GRZEGORZ KUCHARCZYK „III RZESZA NIEMIECKA. NOWOCZESNOŚĆ I NIENAWIŚĆ" BIAŁY KRUK 2022

Ile według Himmlera kobiet spalono na stosie?

Miliony! Himmler z zapałem walczył, aby „piekło kobiet" nigdy nie powróciło...

Ale początkowo Himmler mówił o kilkuset...

Tak to już jest. Jeśli np. chodzi o obliczenie liczby ofiar tzw. krwawej niedzieli, jak Niemcy nazwali spacyfikowanie przez Wojsko Polskie w pierwszych dniach września 1939 r. tamtejszych folksdojczów, którzy strzelali do wycofujących się polskich żołnierzy, to najpierw mówiono o kilku, potem kilkudziesięciu, a w końcu o tysiącach niewinnych ofiar „polskiej soldateski".

Czy totalitaryzm jest wrogiem wszystkich religii?

Nowoczesny totalitaryzm w wydaniu niemieckiego narodowego socjalizmu w podejściu do chrześcijaństwa zdradzał wszystkie cechy wspólne z tym, co jest dzisiaj przedstawiane jako „nowoczesne podejście do chrześcijaństwa". Chodziło o przystosowanie chrześcijaństwa do potrzeb „współczesnego człowieka". Wtedy „współczesnym człowiekiem" był obywatel Niemiec, które przystąpiły do budowy 1000-letniej Rzeszy, i to miało swoje wymagania. Mam tutaj na myśli np. „przystosowanie" osoby Jezusa Chrystusa do potrzeb owego współczesnego człowieka, czyli stworzenie tzw. aryjskiego Jezusa. Co ciekawe, bazowano tutaj na dawnych korzeniach liberalnej teologii protestanckiej, która dążyła do odkrycia tzw. historycznego Jezusa, czyli całkowitego odarcia Syna Bożego z Jego boskości. Mówiono tylko o człowieku, który z pewnością nie był Bogiem i na pewno nie zmartwychwstał. Tym tropem szli narodowi socjaliści, którzy przystosowali to do swoich potrzeb, tzn. ich Jezus był zupełnie wypreparowany z kontekstu żydowskiego, był Aryjczykiem.

Proszę zwrócić uwagę, że w ten sposób niemieccy narodowi socjaliści powielali wszelkie paszkwile wymierzone w osobę Jezusa Chrystusa, które powstawały w średniowieczu w środowiskach talmudycznych, gdzie przedstawiano Chrystusa jako dziecko z nieprawego łoża, którego prawdziwym ojcem był germański legionista stacjonujący akurat w Palestynie.

Ideologia narodowego socjalizmu była ideologią materialistyczną. Liczyły się

Papier firmowy Towarzystwa Thule z 1919 r. – ze swastyką, mieczem i wieńcem z liści dębu

FOT. ARCHIWUM MIEJSKIE W MONACHIUM

eprasa.pl 86d441b100

przede wszystkim rasa, krew i biologia, a wszystko inne, czyli np. sprawy ducha, było pochodne. Uważano np., że judaizm jest zły nie dlatego, że odrzucono Chrystusa jako Mesjasza, tylko uważano, że judaizm był zły, ponieważ wywodził się ze złej żydowskiej krwi.

Co w związku z tym ze słynnymi słowa Göringa: „To ja decyduję, kto jest Żydem"?

Jak trzeba było być pragmatycznym, to po prostu handlowano rasą i krwią. Można było to zaobserwować zwłaszcza w ostatnim etapie drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy bardzo chętnie przyjmowali złoto od tych, którzy byli w stanie wykupić swoich krewnych. Generalnie jednak do końca panował paradygmat ideologii, że Żydów jako podludzi, podobnie jak Polaków, trzeba likwidować.

Skąd „słabość" niemieckich nazistów do gnozy i okultyzmu?

Stąd, że idealnie pasowały one do „nowoczesnego człowieka", czyli obywatela Rzeszy Niemieckiej pierwszej połowy XX w. W mojej książce zwracam uwagę, że wielka wojna przyczyniła się do eksplozji zainteresowania szerokich rzesz w Niemczech parareligiami czy okultyzmem. Nieprzypadkowo Stowarzyszenie Thule, które powstało w Monachium pod koniec pierwszej wojny światowej, wprost nawiązujące do okultyzmu, skupiało elitę majątkową, polityczną i intelektualną, m.in. późniejszych patronów NSDAP czy takich tuzów jak wybitna postać niemieckiej nauki o geopolityce Karl Haushofer, w którym zaczytywał się Hitler.

Okultystą był podobno również Heinrich Himmler – wielki miłośnik astrologii, szeptuch etc.

Himmler faktycznie bardzo mocno interesował się tymi kwestiami. Ba! Uważał, że jest to najlepsza droga do duchowej odnowy Niemiec. Wspomnę tylko, że organizował on wyprawy do Tybetu, żeby tam właśnie szukać pierwocin ducha germańskiego wyrażanego w hinduskim i buddyjskim znaku szczęścia, odrodzenia, mocy, którym jest swastyka.

Co ciekawe, niemiecka fascynacja religiami Dalekiego Wschodu nie została wymyślona przez nazistów. To fenomen, który w niemieckiej kulturze był bardzo mocno widoczny w XIX w., kiedy Artur Schopenhauer promował „odkrywanie Indii" przez Niemców. Potem zostało to twórczo rozwinięte w sposób nowoczesny przez narodowych socjalistów.

Dlaczego niemieccy biskupi milczeli, mając wiedzę np. o ludobójstwie polskich kapłanów?

Gdyby tylko milczeli... Znane są przypadki niemieckich hierarchów, którzy wprost popierali zbrodniczą napaść na Polskę. Jak wiadomo, w ogromnej liczbie kościołów, również katolickich, biły dzwony radości, kiedy Niemcy zdobyli Warszawę we wrześniu 1939 r.

Biskup Monastyru, ks. Clemens Graf von Galen, który odważnie występował przeciwko zbrodniczej eutanazji, w jednej z homilii we wrześniu 1939 r. określił napaść Niemiec na Polskę jako wojnę sprawiedliwą, która wreszcie wymaże „krzywdę", która dotknęła Niemców w postaci traktatu wersalskiego.

Jak trzeba było być pragmatycznym, to po prostu handlowano rasą i krwią. Można było to zaobserwować zwłaszcza w ostatnim etapie drugiej wojny światowej

Jak to rozumieć? Eutanazja nie, ale nazizm i zbrodnia tak?

Zasada była następująca: im bardziej biskupi czuli się filią Watykanu, tym bardziej byli odporni na naciski niemieckich narodowych socjalistów. Im mniejsza łączność z Watykanem, tym wyraźniejsze milczenie w sprawie zbrodni.

W czasie drugiej wojny światowej niemieccy hierarchowie przyjęli strategię, żeby „nie odwracać się od niemieckiej ojczyzny". Większość z nich nie była jednak w stanie odpowiedzieć na pytanie: A co w sytuacji, kiedy niemiecka ojczyzna postradała zmysły?

Dlaczego zdecydowana większość protestantów nie miała oporów, żeby udzielić pełnego poparcia narodowym socjalistom?

Rok 1933, czyli moment objęcia władzy w Niemczech przez narodowych socjalistów, był traktowany przez zdecydowaną większość środowisk protestanckich jako swego rodzaju quasi-religijne przeżycie, jako wstęp do odrodzenia duchowego.

Niemieccy uczeni już dawno stwierdzili, że gdyby w latach 1930–1933 w Niemczech głosowali tylko katolicy, to Hitler i narodowi socjaliści nie mieliby najmniejszych szans, aby dojść legalnie do władzy. Niestety, w tych latach największy przyrost głosów NSDAP odnotowało w regionach, gdzie była zdecydowana przewaga protestantów: Prusy Wschodnie, Prowincja Wschodnia, czyli dzisiejsze Pomorze Środkowo-Zachodnie; Brandenburgia; Dolny Śląsk etc.

Czy gdyby nie było w III Rzeszy Adolfa Hitlera, to nie byłoby nazizmu?

Gdybologia zawsze jest zwodnicza. Powiem tak: w latach kluczowych 1930–1933 zdecydowana większość niemieckich wyborców głosowała na dwie partie totalitarnej lewicy, czyli NSDAP i komunistów. Trzeba to brać pod uwagę! Pociąg do totalitarnych rozwiązań był nie tylko wśród tych, którzy głosowali na narodowych socjalistów, lecz także wśród tych, którzy głosowali na komunistów!

Strategia Stalina, czyli Kominternu, polegała na tym, żeby w latach 1930–1933 nie atakować NSDAP, tylko socjaldemokratów. Efekt był taki, że elektorat socjaldemokratyczny albo zostawał w domu, albo głosował na NSDAP. Osłabiono w ten sposób SPD – jeden z filarów politycznych Republiki Weimarskiej, a w efekcie utorowano Hitlerowi drogę do władzy. Można więc śmiało powiedzieć, że historia współpracy Stalina z Hitlerem jest znacznie dłuższa niż pakt Ribbentrop-Mołotow.

Czy powinniśmy uczyć się polityki historycznej od Austriaków, którzy wmówili światu, że Hitler był Niemcem, a Mozart właśnie Austriakiem?

Austriacy mają jeszcze więcej majstersztyków na swoim koncie. Wymienię tylko dwa filary „kultury pamięci" w powojennej Austrii. Pierwszy to wpojenie międzynarodowej opinii publicznej tezy, że Austria była „pierwszą ofiarą Hitlera", a tłumy witające wkraczający w marcu 1938 r. w ramach Anschlussu na terytorium Austrii Wermacht nie liczą się, w ostateczności była to fatamorgana.

Drugi to tzw. denazyfikacja w Austrii po 1945 r., której nie było, ale to już temat na inną dyskusję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Grzegorz Kucharczyk – historyk specjalizujący się w historii myśli politycznej XIX i XX w. oraz historii Niemiec, publicysta tygodnika „Do Rzeczy".

eprasa.pl 86d441b100

Paweł Chmielewski

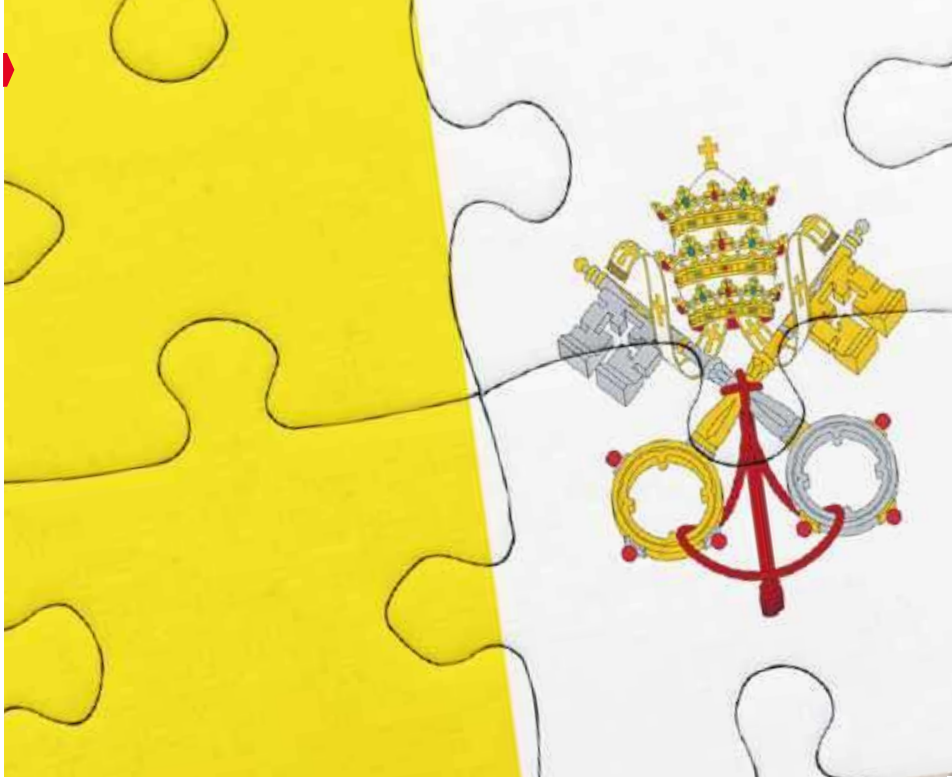

FOT. ADOBE STOCK

„Jezuicki szwadron" w Watykanie

Kto rządzi w Stolicy Apostolskiej? Wydawałoby się, że na tak postawione pytanie odpowiedź jest dla każdego jasna i oczywista: rządzi papież, wspomagany przez Kurię Rzymską. W teorii tak jest rzeczywiście, w praktyce często bywa inaczej

Od 13 marca 2013 r., kiedy Tron Piotrowy objął Jorge Mario Bergoglio, co do pierwszej części odpowiedzi nie ma wątpliwości: tak, papież rządzi – i to jak!... Ale przecież nie musiało tak być. W ostatnich latach pontyfikatu św. Jana Pawła II, ze względu na chorobę Ojca Świętego, faktyczne stery władzy spoczywały w innych rękach. Jak wiemy z licznych skandali towarzyszących tamtemu czasowi, nie zawsze ręce te kierowały Nawą Piotrową zgodnie z właściwym porządkiem. Również następca Karola Wojtyły nie do końca był w stanie sprawować władzę. Benedykt XVI borykał się z częściowo niechętnym mu aparatem kurialnym, a nade wszystko z siłami, które na ten aparat oddziaływały z zewnątrz. O niektórych kluczowych z perspektywy administracyjnej decyzjach dowiadywał się z prasy. „Zyskałem pewność, że z powodu podeszłego wieku moje siły nie są już wystarczające, aby w sposób należyty sprawować posługę Piotrową" – powiedział w swoim oświadczeniu abdykacyjnym. Nie miał przecież na myśli braku zdolności do podejmowania refleksji teologicznej czy sprawowania kultu, ale – jak możemy domniemywać – przerastały go nieustanne konfrontacje z przeciwnikami w samym Watykanie.

Dzisiaj jest inaczej. Papież Franciszek podejmuje takie decyzje, jakie podjąć chce, a oponentów po prostu usuwa. Najdobitniej przekonał się o tym w 2017 r. kard. Gerhard Müller, zdymisjonowany z Kongregacji Nauki Wiary za opór wobec niezgodnej z nauczaniem poprzednich papieży linią „teologiczną" nowego pontyfikatu. To jednak, że Jorge Mario Bergoglio sprawuje swoją władzę w sposób autorytarny i silny, nie oznacza jeszcze, że sytuacja jest naprawdę przejrzysta. Wprost przeciwnie. Chodzi o Kurię Rzymską, która powinna papieża wspomagać. Władza kurialna była dotąd – powinna być! – silna i obdarzona autorytetem. A jednak w ciągu minionych niemal 10 lat obserwowaliśmy wiele przykładów rażącej niezgody pomiędzy prawomocnymi strukturami kurialnymi a środowiskiem nieformalnej, ale za to brutalnie realnej władzy, którą utworzył wokół siebie Ojciec Święty. Papież Bergoglio wyciągnął chyba specyficzną lekcję z losów swoich poprzedników, a zwłaszcza Benedykta: jeżeli Kuria nie chce współpracować, to trzeba ją zmarginalizować.

LUDZIE FRANCISZKA

Dzieje się to na dwa sposoby. Jednym z nich jest obsadzanie urzędów kurialnych zaufanymi ludźmi, niekoniecznie najbardziej kompetentnymi. Włoski watykanista Sandro Magister postawił kilka tygodni temu tezę, że za wszystkie sznurki w Watykanie pociąga dziś grupa bezwzględnie oddanych papieżowi jezuitów. To trochę uproszczony, ale częściowo słuszny obraz. Bo i rzeczywiście od jezuitów w Watykanie się wprost roi – żywych i martwych.

Magister, opisując decyzyjny „szwadron jezuicki" w Rzymie, rozpoczął od kard. Carla Marii Martiniego SJ, zmarłego w 2012 r. liberalnego teologa, któremu papież Franciszek wielokrotnie składał homagium, nie tylko werbalnie wychwalając go pod niebiosa, lecz także rzeczywiście realizując punkt po punkcie jego wizję reformy Kościoła. Dzisiaj – dowodzi włoski watykanista – z nadania papieskiego głównym realizatorem tej wizji Martiniego jest kard. Jean-Claude Hollerich SJ, relator generalny rewolucyjnego Synodu o Synodalności, który ma przekształcić Kościół na modłę marzeń proroków „wiosny" Kościoła; jego bliskim współpracownikiem w Sekretariacie Synodu pozostaje o. Giacomo Costa SJ. Ich działania – pisał Magister – wspierają z kolei kard. Luis Ladaria Ferrer SJ jako prefekt Dykasterii Nauki

eprasa.pl 86d441b100

Wiary, wypełniający papieskie zarządzenia doktrynalne, a także kard. Michael Czerny SJ, oddelegowany przez Franciszka do kluczowych dla politycznej strony jego pontyfikatu ekologii czy imigracji. Za istotną część polityki medialnej papieża odpowiada z kolei o. Antonio Spadaro SJ, redaktor naczelny „La Civiltà Cattolica". Również stery władzy w samym Rzymie – uważa Magister – trzymają jezuici. Kardynał Mauro Gambetti SJ jest wikariuszem generalnym Państwa Watykańskiego, a bp Daniele Libanori SJ, jako biskup pomocniczy Rzymu, odpowiada za realizację duszpasterskich założeń programu Franciszka w Wiecznym Mieście. Kwestiami ekonomicznymi jako prefekt Sekretariatu ds. Ekonomii zarządza ks. Juan Antonio Guerrero Alves SJ, prefekt Sekretariatu ds. Gospodarczych Stolicy Apostolskiej. Nad zmianami w bioetyce pracuje Papieska Akademia Życia, którą – uważa Magister – tylko formalnie kieruje abp Vincenzo Paglia; w istocie wszystkie kluczowe decyzje podejmuje o. Carlo Casalone SJ, zresztą przewodniczący Fundacji im. Carla Marii Martiniego. Ważną rolę odgrywa kard. Gianfranco Ghirlanda SJ, emerytowany wieloletni rektor Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, który przygotowuje ideologiczne podstawy pod wzmacnianie władzy papieskiej. Dodajmy do listy Magistra jeszcze o. Jamesa Martina SJ, ulubionego duszpasterza homośrodowisk, który pracuje w watykańskim Sekretariacie ds. Komunikacji.

RYWALIZACJA OŚRODKÓW WŁADZY

Ten obraz, choć ciekawy, trzeba zdywersyfikować. Bardzo pouczający jest tu casus Kongregacji Nauki Wiary. Fakt, że na jej czele stanął posłuszny papieżowi jezuita, nie oznacza automatycznie, iż urząd ten stał się bezwolnym narzędziem w rękach Franciszka. Owszem, sam kard. Ladaria wykonuje zlecone mu zadania. Zastąpiwszy kard. Müllera, ani słowem nie próbował zatrzymać aplikowania przez poszczególne episkopaty rewolucyjnych zmian odnośnie do rozwodników wprowadzonych przez „Amoris laetitia". W 2021 r. wypełnił też zleconą mu przez Franciszka misję zablokowania planu biskupów USA, którzy chcieli w publicznym akcie ostro potępić działalność proaborcyjną prezydenta Joe Bidena. Jednak proces konstytuowania jezuickiej władzy nad Kongregacją nie przebiegał bez problemów – i nie jest wcale do końca rozstrzygnięty. W 2021 r. abp Giacomo Morandi, sekretarz Kongregacji, opracował „Responsum ad dubium" zakazujące błogosławienia par jednopłciowych. Watykaniści informowali, że zrobił to bez zgody Franciszka i papież był naprawdę wściekły. Jaką rolę odegrał tu Ladaria? Najprawdopodobniej żadną. Morandi zrobił swoje, kierując się prerogatywami swojego stanowiska. Rok później z Kongregacji wyleciał, a „Responsum" pozostało martwą literą.

Na tym nie koniec, bo Kongregacja, choć pod jezuickim zarządem, musi rywalizować z innymi ośrodkami władzy. Wiele światła rzuca na to relacja z wizyty ad limina Apostolorum niemieckich biskupów w Rzymie z listopada tego roku. Podczas rozmów z kard. Ladarią usłyszeli słowa krytyki pod adresem swoich reformistycznych propozycji. Powołali się w odpowiedzi na dokument Sekretariatu Synodu, który idzie po ich myśli. Kongregacja, jak zrelacjonowali, nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Widać tu napięcie: choć teoretycznie Kongregacja jest najwyższym urzędem ds. doktryny i ma jezuicką władzę, to nie do końca panuje nad rzeczywistością, która jest bardziej nieformalna. To Sekretariat Synodu wyznacza faktyczne linie rozwoju doktryny i duszpasterstwa, choć nie wiadomo, na jakiej podstawie. Kongregacja może się temu tylko bezradnie przyglądać.

Duża władza spoczywa też w rękach sekretarza stanu kard. Pietra Parolina, który jezuitą bynajmniej nie jest. Przykład: w grudniu 2020 r. Kongregacja Nauki Wiary – kierowana przez kard. Ladarię SJ – wydała wytyczne wskazujące na zasadę dobrowolności szczepień przeciwko COVID-19. Parolin jednak zaledwie kilka miesięcy później tę zasadę podeptał, wprowadzając w Watykanie surowy reżim i wymagając od wszystkich szczepionek lub certyfikatów przejścia choroby. Co miał zrobić kard. Ladaria? Mógł tylko milczeć.

Inny przykład pomijania oficjalnej drogi podejmowania decyzji dotyczy liturgii. Odpowiedzialną za nią Kongregacją ds. Kultu Bożego kierował do początku roku 2021 kard. Robert Sarah. Gwinejski purpurat był jednak ubezwłasnowolniony. Gdy występował z własnymi niezależnymi propozycjami, jak zalecenie sprawowania Najświętszej Ofiary ad orientem, papież potrafił wezwać go na dywanik i publicznie upokorzyć ustami rzecznika Watykanu. Faktyczne decyzje podejmował wówczas sekretarz Kongregacji abp Arthur Roche, od niedawna jej nowy szef i kardynał. Roche z układu kard. Cormaca Murphy'ego-O'Connora, jednego z wielkich elektorów Franciszka. Jest ideowo zależny od świeckiego liberalnego profesora Andrei Grillo z Papieskiego Uniwersytetu San Anselmo w Rzymie. To on i jego klika odpowiadają za uderzenia w liturgię łacińską za sprawą „Tradititonis custodes". Jak widać, nie tylko jezuici mają dziś w Watykanie coś do powiedzenia.

POWAŻNY PROBLEM

Problem legitymizacji władzy w Stolicy Apostolskiej jest bardzo poważny. Wydaje się jednak, że papież dąży do uporządkowania tych spraw: takiego mianowicie, by ostatecznie liczyła się wyłącznie jego osobista wola. W czerwcu 2022 r. weszła w życie konstytucja apostolska „Praedicate evangelium", która w duchu teorii kard. Ghianfranca Ghirlandy SJ sprowadza wszelką władzę Kurii Rzymskiej do formalnej delegacji uzyskiwanej od papieża. Innymi słowy, Kuria nie posiada już żadnych prerogatyw sama z siebie – czy to na mocy własnej, czy też na mocy święceń posiadanych przez jej członków. Ma być wyłącznie poręcznym narzędziem w rękach papieża. Na razie proces jest w toku i obserwujemy napięcie pomiędzy tradycyjnym autorytetem kurialnym, a tymi, którzy ciesząc się papieskim zaufaniem, będąc jezuitami czy nie, realizują pożądaną agendę. Bo w Kościele synodalnym to papież i tylko papież ma być absolutnym, autorytarnym i nieznoszącym sprzeciwu władcą.

Źle, ktoś powie, bo to brak szacunku dla właściwego ustroju Kościoła i dla tradycji władzy. To prawda. Z drugiej strony – kto wie? Jeżeli kardynałowie na następnym czy jeszcze następnym konklawe wybiorą kogoś, kto nieoczekiwanie zechce przeprowadzić uzdrowienie Kościoła i jego przynajmniej częściowe wyprowadzenie z liberalnych manowców, cóż – taki papież, dzięki autorytarnym zapędom Franciszka, będzie miał po temu wszystkie potrzebne narzędzia już przygotowane na stole. I za sprawą nieznoszącej sprzeciwu, absolutnej i autorytarnej władzy będzie mógł – jeżeli zechce – przeprowadzić odnowę. Daj nam to, Boże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 86d441b100

Zbójnicy pod zamkiem, drzeworyt autorstwa Władysława Skoczylasa, ok. 1929 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Beskidnicy kontra harnicy

Jacek Komuda

Pisząc te słowa we dworze i spoglądając na czarny wał Bieszczadów, wiem, że w XVII w. nie miałbym spokojnej nocy. W każdej chwili w drzwiach mógłby stanąć gość nieproszony i niespodziewany – karpacki zbój. Żaden dom, miasteczko, karczma i chata nie były od niego bezpieczne

Zbójnicy podhalańscy doczekali się własnego miejsca w literaturze i filmie. A przecież Bieszczady miały rabusiów równie malowniczych jak Juraj Janosik czy Ondraszek. W pracach lewackich pseudohistoryków zbójnictwo często utożsamiane jest z walką przeciwko feudalizmowi, a sami zbójnicy to chłopi walczący z uciskiem panów. Jednak z analizy „Regestru złoczyńców grodu sanockiego", „Akt sądu kryminalnego Kresu Muszyńskiego", „Bieckiej księgi wójtowskiej" wynika, że stanowili mozaikę ludów i stanów. Byli wśród nich biedacy, a także bogaci kmiecie, rzemieślnicy, chałupnicy, komornicy, parobkowie, sołtysi, mieszczanie i drobna szlachta, popi i ich synowie, kniaziowie wsi wołoskich, wójtowie, karczmarze, młynarze, słudzy dworscy. Polacy, Rusini, Wołosi, Słowacy, Węgrzy, Żydzi i Cyganie, Łemkowie, Bojkowie, Huculi. Do wstąpienia na ścieżkę zbrodni tylko czasem popychała ich nędza. Zwykle przeważała chęć przeżycia przygody, obietnica krótkiego, ale szalonego życia. Wabiła wolność dzikiej, karpackiej

eprasa.pl 86d441b100

puszczy rozciągającej się od Krosna i Jasła aż do Suczawy w dawnej Mołdawii.

Pierwszych zbójników znamy już z XV w.: Mikołaj Czajka z Jawora, Mikołaj i Piotr Komorowscy, Pobuda, Kopy, Jan Talafus. Sto lat później w Bieszczadach zasłynęli Marko Hatala, Homa z Końskiego, Hryć Kaczor z Łupkowa, Czahajko z Radoszyc, Żyd Fejtko, Ihnat Wysoczan, Istwan Jareczka. Ze szlachty wywodził się „pułkownik" Toporowski, który w 1614 r. grasował na ziemi halickiej, złupił Kołomyję i założył w niej kwaterę swojej kompanii. Z ubogich pasterzy zaś huculski Janosik – Oleksy Dobosz. Rozbójnicy, którzy grasowali na Pogórzach w 1629 r., pochodzili z Bystrej, Lutni, Wołosianki, Zahorbia, a na ich czele stał pop z Bystry i Łapszun z polskiej strony Karpat.

Chłop szedł na zbój, a jego zubożały pan – szlachcic – często go ochraniał. Jak pisze Władysław Łoziński: „Chłop stał pod jurysdykcją i protekcją. Nie wolno było pojmać obcego poddanego, nie wolno go było nawet bezpośrednio pozywać. O chłopa złoczyńcę trzeba było pozywać jego pana, domagać się, aby on sam stawił swego poddanego do grodu. Między sprawiedliwością a chłopem stał szlachcic jakby murem, który trzeba było przełamać pozwem i – co za nim szło – długim i trudnym procesem". „W odludnych i bezludnych ustroniach górskich, wśród przełęczy beskidzkich w zarębach samborskich, skrytych, zapadłych i niedostępnych, wśród borów i wertepów siedział jak wilk niejeden mały szlachcic, pan na spłachciu owsa, na chudej połonince, ale i na garstce głodnych i dzikich poddanych […], siedziała tam klasa ludzi niezdecydowana i niesklasyfikowana co do swego społecznego stanowiska, cząstkowi i zagonowi półszlachcice, półopryszki, półchłopi. Owi wójtowie strwiążcy, kniaziowie, krajnicy, łannicy, wolnicy mający swoich chłopów poddanych, swoją niezawisłość i swoją jurysdykcję. Ich łupem padały nie tylko dwory szlacheckie, ale przede wszystkim chłopi i mieszczanie. Wbrew szeroko rozpowszechnianym poglądom napady zbójnickie o wiele częściej kierowane były na chałupy czy szałasy pasterskie niż na dwory właścicieli ziemskich" – pisał prof. Bohdan Baranowski, specjalista z zakresu historii ludzi marginesu społecznego.

KARPACKIE WILCZE GNIAZDA

Zbójników nazywano w zależności od regionu, w którym działali. Tych z Bieszczadów: beskidnikami i spiśnikami, ich pobratymców z Węgier – tołhajami. Z kolei na ziemi halickiej i na Bukowinie grasowali watahowie mołdawscy lub opryszkowie.

W Karpatach można wskazać kilka regionów, których ludność trudniła się niemal zawodowo zbójectwem. Na Słowacji były to okolice Humennego. W Bieszczadach ludność ze Sturzycy, dzisiejszej Polany, Ruskiego, Rosochów. Główną ich kwaterą były szałasy ustrzyckie, sam pop z Ustrzyk przechowywał arsenał broni i przed wyprawą rozdzielał półhaki, topory i spisy. Na pogórzach istniały dwie jaskinie łotrowskie – Hołuczków i Gwoźnica, w pierwszej znajdowała się gospoda hultajska szlachcica Ramułta, w drugiej siedział wywołaniec Paweł Zaklika, mający złodziejską spółkę z beskidnikami.

Idąc dalej na wschód, jak pisze Julian Celewicz, „wielkiej wagi dla rozwoju zbójnictwa były geograficzne stosunki Huculszczyzny, wielkie i szerokie pasmo Czarnohory sięgające od międzyrzecza obu Czeremoszów […], rozłożone na potrójnej granicy ówczesnej Polski, Węgier i Wołoszczyzny z rozległymi połoninami i odwiecznymi lasami, ze stromymi skałami i ciemnymi pieczarami, dawało bezpieczne oparcie opryszkom". Kolejnym matecznikiem zbójników było Pokucie – okolice Pniowa, Peczeniżyna, Rungur, Krzywołuk; tutaj grasowali watahowie ruscy i wołoscy – Hryń Kardasz, a w lasach Bukowińskich – Bernawski i Mustaca.

ZBÓJECKIE TOWARZYSTWA

Beskidnicy i tołhaje działali w grupach liczących do kilkudziesięciu osób zwanych towarzystwami. Ich przywódców zwano hetmanami, starszymi, kapitanami, watahami. Czasem miewali zastępców – zwanych np. podhetmanami.

Przywódcy wyróżniali się odwagą, brutalnością i strojem. Oleksy Dobosz miał zwykle przy sobie rusznicę, szablę przy boku, za pasem toporek i dwie pary pistoletów, a u pasa nóż, tzw. czepełyk. Sawka z Gorców, jak podaje Stanisław Orłowski, chodził w szwedzkim kapeluszu ze strusim piórem – przy boku nosił kosztowną szablę. Hetman Fedor Kopców z Woli Jaśliskiej napadał w białej sukni, a muszkiet nosił na plecach, golił brodę i wąsy. Wasyl Bajus z Leszczyn miał atłasowy kontusz podszyty popielicami, pozłociste nożenki, ładownicę czerwoną, karmazynową.

Beskidnicy uzbrojeni byli zwykle w broń palną – rusznice, arkebuzy, muszkiety, ciężkie hakownice i pistolety. Oprócz tego często stosowaną bronią były wekiery – maczugi służące także do rzucania – i toporki. Mieli też smolne pochodnie – do przypiekania ofiar.

Na wiosnę, kiedy ustąpiły śniegi i lody oraz budziła się do życia karpacka puszcza, gromadzili się w określonych miejscach, gdzie hetmani tworzyli swoje towarzystwa. Oleksy Dobosz zbierał ludzi na górze Stóg (Stih) położonej na granicy Ukrainy i Rumunii, na południe od Worochty. Następnie wędrowali pieszo przez góry, często pomieszkiwali u znajomych chłopów, a nawet przekupionych szlachciców. Jak pisze Orłowski – Wasyl Bajus mieszkał w Leszczynach, być może koło Kalwarii Pacławskiej pod Przemyślem, Dobosz z braćmi nieraz

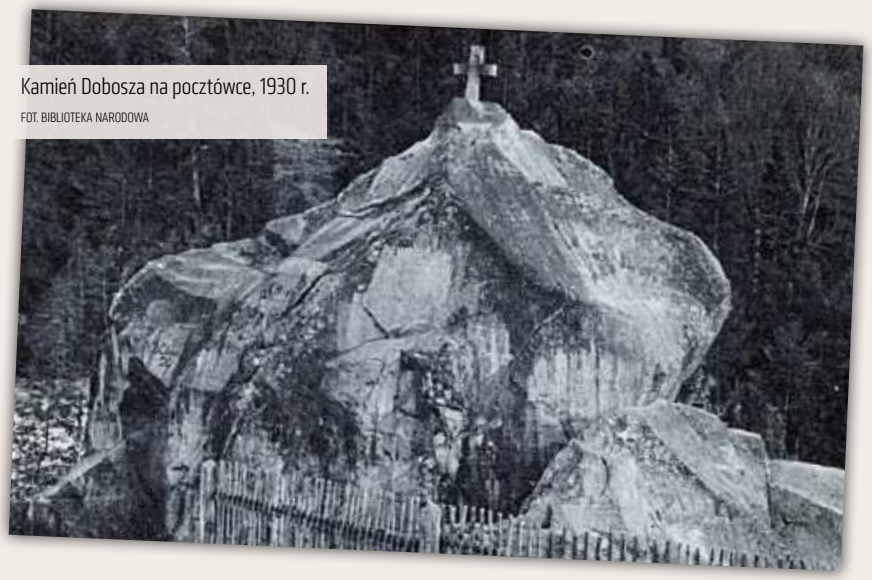

Kamień Dobosza na pocztówce, 1930 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 86d441b100

ukrywał się u ojca Wasyla. Często w takich miejscach powstawały plany napadów i rabunków, w czym wielką pomocą byli szpiedzy, często z dworskiej służby, Żydów i popów.

Życie beskidnika było krótkie, krwawe i dostatnie. Nikt nie litował się nad schwytanym opryszkiem, więc i on nie miał litości. W trakcie napadów rabusie stosowali okrutne tortury, chcąc wydrzeć informacje, gdzie ukryto bogactwa. Jak podawał miejscowy ksiądz, pewnego chłopa z Obidza „strasznie spiekli, że kiszki pomiędzy żebra widać było, a nie wzięli, tylko półtoraków osiem, masła, sera. W drugą, czyli trzecią noc przyszli w tejże wsi na Krupę zmierzchem, powiązawszy samego i samą okrutnie męczyli. Nie mogąc nic wymordować, Krupinę w piec rozpalony kładli dwa razy, aby się przyznała [...], tak dalece spaloną była, że czwartego dnia po spowiedzi świętej umarła".

Na zimę beskidnicy i tołhaje rozchodzili się po kryjówkach – schronienia udzielali im rodziny, często kochanki we wsiach, Żydzi i mieszczanie. Szymon Prokopczuk miał schronisko w Łosiu, u ojca, u Iwana Gronia, a także u Sobka w chałupie i u Maćka Parasymowego. Pił zaś u Wasyla Denczaka. Rozbójnicy, którzy rzadko zawierali związki małżeńskie, mieli kochanki – „zbójeckie dziewki", wdowy, mężatki, u których mieszkali i które pomagały beskidnikom, wynosząc strawę. Często zdarzało się, że zbójnik wydawał za mąż kochanicę, dając jej bogate wiano. Za związek ze zbójnikiem groziło wyświecenie ze wsi, a nawet wydanie w ręce sądu grodzkiego, pieniądze jednak sprawiały, że wójt i podstarości przymykali na to oko.

Zbójnik na pocztówce z Zakopanego, 1938 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

SŁAWNE NAPADY I RABUNKI

Chociaż beskidnicy najczęściej napadali na chłopskie chaty, nie gardząc nawet pospolitym złodziejstwem, aby podkopać się do komory i ukraść kilka połci sadła, najbardziej pożądanym celem były dwory i miasteczka. Łapszun trzy razy napadał na Zwinacz (dziś Dźwiniacz Dolny i Górny koło Ustrzyk), na dwór Kazimierza Turskiego. Za pierwszym razem nie zastał pana w domu, kazał więc przypiekać Turską, aby wydała, gdzie mąż ukrył złoto. Nie znalazłszy wiele, porąbali sprzęty, opróżnili spichlerz, zboże wysypali do rzeki, zrabowali kościół we wsi i spalili. Pomagali im w tym chłopi, którzy zresztą najpierw namówili beskidników do napadu, a potem uszli z nimi. Drugi napad został odparty, za trzecim razem zbójnicy zrównali z ziemią dwór, spalili 20 gospodarstw, zabrali 100 sztuk bydła.

Kolejnym napadem, który odbił się echem po ziemi sanockiej, był rabunek Stańkowej koło Tyrawy Wołoskiej. Tołhaje z Węgier mieli tam porachunki z miejscowym dziedzicem – Andrzejem Dębickim, który zaciekle ścigał i tropił zbójników, kilku z nich trzymał w lochu. Dlatego udając poddanych węgierskiego pana Drugetha, wpadli do dworu, zabijając przebywającego tam Stanisława Skarbka i dwóch służących. Dębicki zabarykadował się w alkierzu i dzielnie bronił, zbójnicy jednak wyważyli drzwi i porąbali dziedzica. Uwolnili przetrzymywanych więźniów, a jednego – podejrzewanego o zdradę – ścięli na miejscu.

W ziemi halickiej szlachcic Andrzej Górski przewodzący bandzie opryszków napadł na siedzibę Andrzeja Szpądowskiego, gdzie pozostały tylko żona i kobiety z dziećmi. Niespodziewanie jednak dziedziczka jak prawdziwa wilczyca stawiła opór w umocnionym dworze, choć rabusie strzelali z hakownic, muszkietów, janczarek, łuków, rzucali wekierami. W trakcie walk nadciągnęła kawaleria – nadjechał Szpądowski wracający z pocztem, uderzył na hultajów, rozproszył ich i zmusił do ucieczki.

Innym wydarzeniem, które wstrząsnęło mieszkańcami Rusi Czerwonej, był napad watahów wołoskich na zamek Aleksandra Kuropatwy w Pniowie. Udał się, gdyż pewien sługa zdradził miejsce, gdzie można było wykonać podkop. Towarzystwo złożone z 49 opryszków wtargnęło do zamku nocą. Wcześniej przygotowali plan – mieli unikać pana, zamordować panią, dzieci pościnać, zamek splądrować i podpalić, zagarnąć stadninę i przyprowadzić watasze Bernawskiemu, który stał za napadem. I rzeczywiście zraniono Kuropatwinę, męża postrzelono z łuku i zrabowano sporo pieniędzy. Nie udało się podpalić zamku. W drodze powrotnej wataha wpadła w zasadzkę zastawioną przez innych rozbójników – chłopów z Peczeniżyna, którzy odebrali im cały łup.

CHARAKTERNICY I HARNICY

Szlachta województwa ruskiego wielokrotnie podejmowała działania w celu ukrócenia zbójnictwa. Powoływano oddziały złożone z mieszkańców górskich wiosek – konnych harników i pieszych smolaków, wśród których bywali i dawni karpaccy rozbójnicy. W 1647 r. szlachta na sejmiku w Wiszni skróciła proceder prawny przy stawianiu i wydawaniu winnych poddanych sprawiedliwości, wprowadziła sądy doraźne, czarne księgi, policję targową, obowiązek ścigania zbójów przez wsie i miasteczka. Wielokrotnie zamykano drogi i trakty z Węgrami, urządzano obławy. Niewiele to jednak dawało. Zbójnicy działali aż do połowy XIX w.

Jednym ze sławnych watażków Pokucia był Iwan Piskliwy rodem z Dołhopola nad Czeremoszem. W jego towarzystwie było wielu Wołochów, Bojkowie z Perehińska, Huculi; mieli swojego podwatażkę Fedia Hołuba. W 1704 r. zrabowali Wasyla Melnyka, jak podaje Celewicz: „Kościa Korkowicza podpalili i przy ogniu piekli".

eprasa.pl 86d441b100

Trzydziestu opryszków urządziło napad na Zabłotów, połową zbójów dowodził arendarz Abramko, który dostarczył 10 funtów prochu, ołowiu na kule, sukna na stroje i jedzenie, każdy miał strzelbę i toporek.

Piskliwy wkrótce uznał zwierzchnictwo Pinty, jeszcze potężniejszego rozbójnika. W 1704 r. napadli na wesele córki Żyda Gedali, który trzymał w arendzie Kosów, Kuty i Jabłonów. „Żaden Żyd na huculskim Pogórzu nie był tak bogaty. Wyprawił córce takie wesele, jakiego najstarsi Żydzi nie pamiętali. Całymi chmurami zjechało się żydostwo w gościnę, mężczyźni w srebrnych pasach i drogich kaftanach ze złotymi guzikami, a kobiety i dziewczęta aż uginały się pod ciężarem złotych łańcuchów, zausznic, naszyjników, kolczyków, korali i pereł. Ślub odbywał się według przepisu, muzyka nie przestawała grać, szły wesołe tańce jeden za drugim […]" – pisał o tym Celewicz.

Wśród gości byli szpiedzy – Fedko Żołub, Charabar z Szeszor i Makowej z Peczewniżyna. Wkrótce do miasta wpadła wataha Pinty i Piskliwego – 80 zbójników złożonych z Węgrów, Bojków, Hucułów i Żydów. Rozbójnicy wtargnęli do domu Gedali, a Fedko Żołub wyszedł na środek, oświadczył, jak w filmie, że to napad, i nadstawił próżną torbę, żądając okupu. „Posypały się łańcuszki, perły, korale, kolczyki, naszyjniki, pieniądze, srebrne pasy, żupany i kaftany ze złotymi guzami". W tym samym czasie Marusiak i Hryć Koczerak wpadli do szkoły, gdzie część gości była na modlitwie, i zaczęli strzelać. Jak się okazało, był to błąd, bo sprowokowali mieszczan do ataku – nadbiegła uzbrojona gromada, doszło do walki, w której zginęło 17 osób. Opryszkowie musieli się wycofać, zabierając dwóch rannych. Postanowili zemścić się na mieszkańcach Kosowa, ale odstąpili ich Wołosi, więc podzielili się zdobyczą ogromną i podążyli ku Węgrom.

Prawdziwą legendą Huculszczyzny był Oleksy Dobosz, który grasował od 1738 do 1745 r. W młodości mieszkał z rodziną w biedzie w Peczeniżynie, jego ojciec Wasyl miał tylko kilka owiec. Doboszowi nie podobało się nędzne życie i puścił się na zbój. Dobrał sobie watahę z podobnych ludzi i swoich braci. Najpierw napadł na Czarne Osławy koło Łanczyna. Ponoć pewien gospodarz, który o tym wiedział, kazał nakryć stół, wybiegł naprzeciw gości z flaszą gorzałki i u progu chaty wypił

Walka zbójcy pod Czorsztynem, ilustracja z książki „Powieści o zbójach, opryszkach i hajdamakach" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

zdrowie Oleksego. Ujął watażkę, że tenże dał znak towarzyszom, aby gospodarzowi żadnej przykrości nie robili.

Najczęściej Dobosz napadał na Żydów. Wspólnie z braćmi utrzymywali starych rodziców, zostawiając pieniądze na jedzenie i gorzałkę. Wkrótce jednak towarzystwo się rozpadło. W Wielką Sobotę 1738 r. w Peczeniżynie zaczęli pić w karczmie, gdzie doszło do bójki. Młodszy Iwan Dobosz zaciął Oleksego w nogę, „że nigdy już prosto nie chodził". Po burdzie bracia się rozeszli, Iwan poszedł aż w Sanockie i tam umarł, przekazując zbójecki nóż do cerkwi w Bieniawie.

Dobosz natomiast swawolił i rozbijał. Zabił Łoszaka, urzędnika z Tekuczy. W Łańczynie zamordował żupnika i zrabował Żyda, obrabował: Utoropy, Towmaczyk, Dobrotów, Uścieryka, Jasień, Perehińsk. Z Węgrami uderzył na Młotków, napadł na dwór pana Dobrosielskiego podmówiony przez dwóch Dżemydżuków, którzy mieli jakiś żal do szlachcica.

Po kilku latach wokół Dobosza zaczęła zaciskać się pętla. Najpierw zmuszono starego Wasyla, aby zerwał z synami. W góry zaś udał się pułkownik Przyłuski na czele oddziału smolaków. Wataha ukryła się w Karpatach, gdzie kilkakrotnie zastawiała zasadzki na pościg. Jednak ostatecznie pułkownik znalazł miejsce spotkań opryszków na górze Stóg, urządził na nich zasadzkę, schwytał wielu zbójów, ale nie Dobosza, który uciekł w góry. Pojmanych bito, palono świecami i rozpalonym żelazem, aby wydali hetmana, potem skazano na śmierć albo ćwiartowanie, wbijając kawałki ciała na pale. Stracono ich w Kutach, Stanisławowie, jeden z nich, Sribnarczuk, został zabity przez własnych kompanów, kiedy prowadzili ich do sądu w Stanisławowie za zdradę.

Tymczasem Oleksy rozprawił się z atamanem Diduszką, największym bogaczem z Kosowa, który nie chciał uiścić mu haraczu i rozpowiadał, że głowę opryszka odda do Stanisławowa. Dobosz napadł na jego domostwo, zabił czekanem starego, zrabował obejście i podpalił.

Opryszek stał się też bohaterem innego, być może fantastycznego zdarzenia, które opisuje w pamiętnikach Franciszek Karpiński. Poeta urodził się 8 października 1741 r. we wsi Hołosków pod Stanisławowem. Jednak w noc przed narodzinami jego ojca Andrzeja ostrzegł sąsiad, że Dobosz napadnie na dwór. Dziedzic przestraszył się i uciekł, pozostawiając żonę w połogu. Jednak kazał przygotować dla opryszków zastawiony stół z gorzałką, chlebem i serem. „Może w godzinę po moim urodzeniu – pisał Karpiński – przyszedł Dobosz, prócz matki mojej leżącej i baby nikogo więcej w domu nie zastał. Matka mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba przystąpiwszy ze mną na ręku do Doboszczuka, oto powiada: godzina, jak to dziecię się urodziło, miej pamięć na Boga na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy. Dobosz nie zrobił krzywdy Karpińskiej, zasiadł do jedzenia, dał babie trzy czerwone złote, a matkę poprosił, aby na pamiątkę odwiedzin nadano dziecku na chrzcie imię Oleksy". Jednak ojciec nie nadał tego imienia naszemu poecie.

Dobosz zginął 24 sierpnia 1745 r. w Kosmaczu na Pokuciu. Watażka przyszedł wieczorem do chaty Stefana Dźwinki, którego żonę wziął sobie za kochankę, a kiedy nie chciała go wpuścić, został zastrzelony przez męża. Tyle romantyczna opowieść, bo Julian Celewicz podaje, że przyczyną było wmieszanie się w spory rodzinne Dźwinki, który pokłócony był z Mieczownikiem, teściem, ojcem jego pierwszej żony. Kiedy umarła, nie chciał oddać mu wiana. Wówczas teściowa namówiła Dobosza na napad na dom Dźwinki, twierdząc, że zięć zamierzał zabić rozbójnika. Postrzelony i umierający Dobosz został przez opryszków wyniesiony spod chaty i pozostawiony w lesie, gdzie znaleźli go mieszkańcy wsi. Nie był ostatnim zbójnikiem karpackim w historii, a jego legenda przetrwała do dzisiaj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Teresa Stylińska

Ostatnia egzekucja ma miejsce w szwajcarskim mieście Glarus, stolicy kantonu o tej samej nazwie. Jest rok 1782. Anna Göldi, 48-letnia służąca oskarżona formalnie o próbę otrucia córek swego chlebodawcy, faktycznie zaś o uprawianie czarów, zostaje ścięta

Kapelusz, kociołek, miotła i kot

Anna Göldi w czasie śledztwa przyznaje się i do czarów, i do kontaktów z szatanem, później jednak zeznania odwołuje. To niczego nie zmienia. Tak Anna Göldi, sama o tym nie wiedząc, przechodzi do historii jako ostatnia ofiara polowania na czarownice.

A pierwsze ofiary? Również w Szwajcarii, w kantonie Valais, gdzie w 1428 r. rozpętano pierwsze prześladowania na masową skalę. Praktykowanie herezji, czarów, morderstwa, kanibalizm, w połączeniu z wysługiwaniem się diabłu – już wówczas zastosowano typowy, powielany później przez wieki pakiet oskarżeń. W ciągu kilkunastu lat w Valais stracono 367 osób, zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Przez 350 lat – dzielących pierwsze i ostatnie egzekucje – za uprawianie czarów skazano w Europie co najmniej 40 tys. osób, a być może nawet aż 60 tys. Wydawałoby się, że jest to rozdział raz na zawsze zamknięty, przynajmniej w świecie zachodnim (bo są, choćby w Afryce, miejsca, gdzie oskarżenia o czary i dziś są na porządku dziennym). Tymczasem jest tak tylko pozornie. Temat czarów i czarownic żyje dziś nowym życiem. Powstają organizacje (zresztą na fali ruchu #MeToo), które stawiają sobie za cel przeprowadzenie rehabilitacji czarownic, przywrócenie im dobrego imienia, a także wynagrodzenie krzywd w formie aktu ekspiacji i upamiętnienia, skoro wobec upływu czasu inaczej się nie da.

Problem w tym, że kryje się za tym nie tylko zrozumienie dla krzywd, których doznały kobiety oskarżone, skazane i stracone, lecz także całkiem współczesna ideologia feminizmu. Czarownice – dowodzą ich obrońcy – nie padły ofiarą ciemnoty i zabobonów, lecz męskiego szowinizmu – a ten, przypominają, jest zjawiskiem ponadczasowym. Czy ów męski szowinizm działał także wobec mężczyzn, skoro stanowili oni 15–20 proc. ofiar? Ten burzący całą konstrukcję aspekt jest dyplomatycznie pomijany milczeniem.

W LISIEJ SKÓRZE

Oskarżenia wobec czarownic (i czarowników, dodajmy, nawet jeśli wzmianka o ich istnieniu psuje obraz agresywnego maczyzmu) są wszędzie takie same. Czarownice miały posiadać niespotykane moce i umiejętności – potrafiły np. przybierać postać zwierząt. Sprowadzały zmiany pogody, klęski nieurodzaju i katastrofy naturalne. Wywoływały choroby, mogły spowodować śmierć. Przychodziło im to tym łatwiej, że pomocą służył im szatan, z którym często utrzymywały też stosunki cielesne. Czarownice nierzadko

eprasa.pl 86d441b100

Spalenie oskarżonych o czary: Vereny Trost, Barbary Meyer i Anny Lang w szwajcarskim Bremgarten w 1574 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

można było rozpoznać po wyglądzie, bo miewały nienaturalnie długie kończyny, wystające zęby, garb czy inne ułomności fizyczne.

Identyczna była także procedura udowadniania zarzutów, późniejszy proces i kara. Wymuszanie zeznań za pomocą tortur, publiczne egzekucje, palenie żywcem – wszystko to się utrwaliło w powszechnej świadomości. Mniej wiadomo o tym, że nie wszędzie tropiono czarownice z jednakowym zapałem. W Hiszpanii, we Francji, w Anglii, Irlandii i we Włoszech nie było to z pewnością zjawisko masowe, skoro udział tych krajów, w większości przecież niemałych, w bilansie ofiar wyniósł zaledwie 6 proc.; podobnie zresztą było w Polsce. Co innego Niemcy, Szwajcaria, Szkocja, Flandria, Katalonia. To w Katalonii po raz pierwszy stworzono prawne ramy zwalczania czarów, którymi były przepisy przyjęte w 1424 r. przez władze miasta Lleida.

– Na Niemcy przypada aż 40 proc. ofiar – oceniają Peter Leeson i Jacob Russ z George Mason University w amerykańskim stanie Wirginia po przeanalizowaniu akt procesowych 43 tys. osób sądzonych w 21 krajach Europy. Potwierdzają to dane niemieckie: od XV do XVIII w. na terenie niemieckich królestw, księstw i miast stracono za czary 25 tys. osób. To rekord – tylko w liczbach bezwzględnych. W stosunku do liczby mieszkańców palma pierwszeństwa przypada bowiem dwóm małym krajom: Szwajcarii i Szkocji.

– Nigdzie nie torturowano oskarżonych tak strasznie jak w Szwajcarii – uważa Kathrin Utz Tremp, szwajcarska mediewistka. W całym kraju polowania na czarownice pochłonęły 6 tys. ofiar, najwięcej w kantonach francuskojęzycznych – aż 3,5 tys. osób. Tu także, we Fryburgu, w 1731 r. zapłonął ostatni w Europie stos, na którym spalono zwłoki Catherine Rebond, wcześniej uduszonej. Oskarżył ją urzędnik, który na polowaniu ranił lisa. Lis odezwał się doń ludzkim głosem, a że kobieta miała takie same rany, jakie odniosło zwierzę, było oczywiste, że musiała się w lisa przemienić...

DEMONOLOGIA KRÓLA JAKUBA

Szkoccy znawcy tematu twierdzą z kolei, że w przeliczeniu na liczbę ludności polowanie na czarownice pochłonęło w Szkocji więcej ofiar niż gdziekolwiek w Europie – nawet, jak się ocenia, aż 15 razy więcej. Precyzyjnie ustalono, że od 1563 r., gdy parlament uchwalił ustawę o czarach, do 1735 r., gdy została ona uchylona, dokonano tam egzekucji 2558 osób. W tym czasie w kilkakrotnie większej Anglii stracono tylko 800 osób. Nigdzie też chyba nie zdarzyło się, by w walkę z czarownicami osobiście angażował się król, który w dodatku parę lat później napisał rozprawkę na temat magii i czarownic pod wszystko mówiącym tytułem: „Demonologia".

Owym monarchą był Jakub VI, syn Marii Stuart, który później objął tron Anglii jako Jakub I. W 1589 r. król bierze za żonę duńską księżniczkę Annę. Po ślubie, który odbywa się w Oslo, królewska para płynie do Szkocji. Morze jest wzburzone, podróż trudna i niebezpieczna – tak bez przyczyny? Już wkrótce kilka kobiet zostaje oskarżonych o rzucanie czarów, które miały doprowadzić do zatopienia okrętu. Król Jakub – rzecz niespotykana – osobiście bierze udział w przesłuchaniach. Jest głęboko przekonany, że oskarżone to czarownice. W śledztwie powtarzają przecież słowo w słowo to, co król i królowa mówili podczas nocy poślubnej. Skąd mogłyby to wiedzieć, gdyby nie podpowiadał im szatan?

Podczas gdy król Jakub nie wątpił w istnienie czarownic i ich złowrogie poczynania, Nicola Sturgeon, premier regionalnego rządu Szkocji, nie wątpi, że nigdy ich nie było. Istniały, oczywiście – nie były jednak czarownicami, tylko zwykłymi kobietami, skrzywdzonymi przez los i ludzi. Pani premier robi więc coś dokładnie przeciwnego, niż robił król: stara się, jak mówi, naprawić zło i niesprawiedliwość, których ofiarą padły czarownice.

Dlatego władze Szkocji gorąco przepraszają za wszystko, co działo się wieki temu. „Ludzie skazani za czary nie byli czarownikami. Byli ludźmi. Ogromna większość z nich to kobiety. Oskarżano je i zabijano, ponieważ były biedne, słabe i inne niż wszyscy, a w wielu wypadkach tylko dlatego, że były kobietami. Chcę za to przeprosić" – mówiła w parlamencie w Edynburgu podczas posiedzenia o dacie nieprzypadkowej: 8 marca 2022 r., w Dniu Kobiet.

Parę tygodni wcześniej z przeprosinami wystąpiły władze Katalonii, gdzie w epoce polowań na czarownice uśmiercono ok. tysiąca osób. Od dawna ubolewanie wyrażały władze kilkudziesięciu miast, m.in. niemieckich, szwajcarskich i duńskich. W wielu z nich wzniesiono pomniki, umieszczono tablice pamiątkowe, urządzono izby pamięci i muzea, a w miasteczku Palau Solita y Plegamans imieniem kilku straconych kobiet nazwano place zabaw. W planach, nie tylko w Katalonii, jest również upamiętnienie czarownic nazwami ulic.

DLACZEGO?

Wiosną tego roku zrehabilitowano Elizabeth Johnson – ostatnią czarownicę z Salem. W tym miasteczku Nowej Anglii, zamieszkanym przez purytańską społeczność osadników, pod koniec XVII w. miało miejsce najsłynniejsze masowe polowanie na czarownice i najgłośniejszy ich proces (rozsławione, co prawda, w dużej mierze przez napisaną 260 lat później sztukę Arthura Millera). Histeria wywołana dziwnym, uznanym za przejaw opętania zachowaniem kilku dziewczynek doprowadziła do oskarżenia o czary ponad 300 osób. Dwadzieścia – w tym jeden mężczyzna – zostało powieszonych.

Wydarzenia w Salem to jednak inna historia. Szaleństwo trwało zaledwie dwa

eprasa.pl 86d441b100

Kadr z filmu pt. „Anna Göldin, ostatnia wiedźma" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

lata, ofiar było niewiele, a otrzeźwienie przyszło szybko. Wielu wyroków śmierci nie wykonano, bo ówczesny angielski gubernator od razu je uchylił jako ewidentną pomyłkę wymiaru sprawiedliwości. Dzięki temu ocalały Elizabeth Johnson i jej, również oskarżona, matka. Już po kilku latach wielu skazanych uzyskało formalną rehabilitację.

Inna też była przyczyna. Purytanie byli społecznością młodą (ich przodkowie przybyli do Ameryki zaledwie 70 lat wcześniej), zamkniętą, izolowaną, jednorodną, kierującą się własnymi prawami i obyczajami. Było tu inaczej niż w europejskim tyglu, gdzie – na co badacze zwracają uwagę – prześladowania miały przyczyny zarówno polityczne, jak i religijne. Nie przypadkiem, podkreślają, w tych krajach, które nie stanowiły pola ścierania się dawnych i nowych idei, nie było też masowych polowań na czarownice. Ominęły one scentralizowaną, a przy tym jednoznacznie katolicką Francję czy też Włochy, rozdrobnione wprawdzie, ale z silną władzą króla czy księcia w poszczególnych państewkach. Za to potężne animozje z wielką siłą dały o sobie znać w podzielonych religijnie Niemczech, Szwajcarii (do najgorszych prześladowań doszło w tych kantonach, gdzie sąsiadowały ze sobą gminy różnych odcieni protestantyzmu) czy Szkocji, częściowo katolickiej, częściowo protestanckiej.

To jednak tylko część prawdy. Polowania na czarownice w nie mniejszym stopniu służyły utrzymaniu dyscypliny społecznej, a zatem również umocnieniu władzy świeckiej różnych szczebli. Łatwo rzucane oskarżenia ułatwiały wyeliminowanie konkurencji, załatwianie osobistych porachunków, rozładowanie konfliktów, będących np. pokłosiem klęski nieurodzaju. To zaś oznacza, że dla ludzi czy całych grup bywały społecznie użyteczne.

Anna Göldin na obrazie malarza Davida Burliuka FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bojownicy o sprawiedliwość dla czarownic chcieliby także kształtować świadomość społeczną. Marzy im się, by czarownice przestały się ludziom kojarzyć ze złowrogimi postaciami z bajek dla dzieci. Haczykowaty nos, czarny spiczasty kapelusz, rozwiane szaty, lot na miotle – takie wyobrażenia powinny zniknąć bezpowrotnie. A przecież poza podniebną podróżą i tańcami z szatanem wyrosły one z dawnych realiów.

Cofnijmy się do Anglii późnego średniowiecza. Wiele kobiet z warstw niższych bierze sprawy w swoje ręce i stara się jakoś zarabiać na życie. Wcale nie są tak stłamszone przez świat męski, jak się z reguły uważa. Prowadzą karczmy, warzą i sprzedają tanie piwo. Potrzebują pomocników i znaków rozpoznawczych. Takim znakiem jest miotła, która, wywieszona nad wejściem, informuje, że piwo jest w sprzedaży. W kociołku się je warzy, kot pilnuje ziarna przed myszami, a dzięki dużym czarnym kapeluszom handlarki są na targu z daleka widoczne. Kapelusz, kociołek, miotła i kot – to insygnia niezależności.

Jak to się ma do teorii, że prześladowania czarownic dyktowały nie okoliczności społeczne, lecz czysty męski szowinizm? Jej głosiciele dowodzą, że gdy kobiece zajęcia stały się bardziej opłacalne, ród męski postanowił wyeliminować kobiety z interesów. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że radykalny feminizm przenosi idee współczesne w dawne wieki. Kobiety miano oskarżać o praktykowanie czarów po to, by podporządkować je mężczyznom i skutecznie ubezwłasnowolnić. Dlaczego w takim razie Katalonia roiła się od męskich szowinistów, a Hiszpania nie? Podobnie na Wyspach Brytyjskich: Szkocja tak, a sąsiednia Anglia nie? To oczywiste przecież pytanie jakoś umyka z pola widzenia.

BEZ KOŃCA NA STOSIE

Wszystkie szumne deklaracje, skrucha, pomniki i wołanie o sprawiedliwość nie zmieniają faktu, że choć czarownic nigdy przecież nie było, to mimo wszystko – może dzięki czarom? – da się je wykorzystać. Oczywiście turystycznie. W Szkocji, gdzie szefowa rządu tak żarliwie przepraszała – podkreślając przy okazji, że skoro naprawiono już przeszłe winy wobec gejów, to czarownicom też się to należy – VisitScotland, narodowa organizacja turystyczna, zachęca do odwiedzenia „Szlaku czarownic". Turyści – zachwala – mogą tu „odkryć straszne opowieści, poznać ciemną stronę historii, ujrzeć miejsca prawdziwie magiczne i żyć życiem współczesnej czarownicy". Współczesnej – czyli bez końca na stosie.

Srodze natomiast zawiedzie się ten, kto wybierze się na Brocken, najwyższe wzniesienie gór Harzu, z myślą o poszukiwaniu śladów Nocy Walpurgii – sabatów czarownic. Przeszły one do wielkiej literatury za sprawą Johanna Wolfganga Goethego i jego „Fausta". Ślady jednak są więcej niż mizerne. W kasie muzeum są do nabycia pocztówki i magnesiki przedstawiające czarownice na miotle; są też automaty wybijające z pięciocentowej monety pamiątkowe minimedaliki. To wszystko. Może i słusznie, bo postaci czarownic w towarzystwie rogatego diabła niemiłosiernie trąciłyby kiczem.

Diabelska przeszłość, choć innego kalibru, jest tu jednak obecna. Wspomniane muzeum opowiada o czasach, gdy Brocken, położony tuż przy granicy wewnątrzniemieckiej, też służył złym celom – kontrolowaniu, nasłuchiwaniu, zagłuszaniu. Strefa wojskowa była dostępna jedynie dla wojska i funkcjonariuszy wiadomych służb. Złowróżbnych bardziej niż czarownice.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

C-ANPROM/PL/GEN/0085, 10/2022

Better Health, Brighter Future

Takeda jest globalną firmą biotechnologiczną z siedzibą w Japonii, opierającą swoją działalność na pracach rozwojowych, zaangażowaniu w odkrywanie i dostarczanie zmieniających życie terapii w czterech obszarach: onkologii, rzadkich chorób genetycznych i hematologii, neurologii oraz gastroenterologii.

Prowadzimy też ukierunkowane inwestycje badawczo-rozwojowe w terapie osoczopochodne oraz szczepionki. W pracy kierujemy się naszymi zobowiązaniami wobec pacjentów, ludzi i planety.

Copyright® 2022 Takeda Pharmaceutical Company Limited.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Wszystkie znaki handlowe są własnościami ich prawowitych właścicieli.

www.takeda.com

Takeda

eprasa.pl 86d441b100

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Ile miało być powstań?

O powstaniu warszawskim mamy tak liczne publikacje (nie tylko naukowe), że śmiało można powiedzieć, iż mało kto je przeczytał. A stale powstają nowe. Znamy trzy powstania w ramach akcji „Burza" w 1944 r.: w Wilnie (7–13 lipca), we Lwowie (22–27 lipca) i w Warszawie (1 sierpnia–2 października). Dwa pierwsze były stosunkowo krótkotrwałe i zakończyły się względnym sukcesem, bo te miasta zdobyła Armia Czerwona, ale polscy niepodległościowcy zostali w olbrzymiej większości wyaresztowani.

Mimo negatywnych doświadczeń grupa wyższych oficerów KG AK (ale znajdujących się w wyraźnej mniejszości) parła z całych sił do wywołania powstania – i cel osiągnęła. Już pierwsze dni, gdy nie osiągnięto żadnego z celów operacyjnych (a na znaczącą pomoc aliantów zachodnich nie można było liczyć), pokazały, że finałem może być tylko tragiczna klęska. Zaczęło się flirtowanie z Sowietami, że może oni pomogą. Ci jednak nie wykazali zainteresowania, stojąc u wrót Warszawy „z bronią u nogi", pozwalając krwawić stolicy Polski. Wiedzieli, że miasto jest nie tylko przedwojenną stolicą, lecz także głównym ośrodkiem konspiracyjnego oporu oraz siedzibą władz wszystkich sił politycznych i wojskowych Polskiego Państwa Podziemnego.

Drugim ośrodkiem, który miał być rzucony do walki obok Warszawy, stał się Kraków. Tam na szczęście do takiego nieszczęścia nie doszło. Konspiratorzy krakowscy, mając obraz powstania w Warszawie, zdali sobie sprawę z bezsensowności takiego przedsięwzięcia i stanowczo odmówili.

Zwolennicy strategii powstańczej jednak nie ustępowali. Już 30 sierpnia (gdy klęska powstania w Warszawie bez istotnej pomocy z zewnątrz była od dawna przesądzona), gen. T. Pełczyński „Robak" (szef sztabu KG AK) rozsyłał pełne optymizmu rozkazy do poszczególnych Okręgów AK, znajdujących się jeszcze pod okupacją niemiecką, o przygotowaniu walk w miastach: „Doświadczenie z walk w W-wie". Nakazywał w nich m.in. uderzenia nocne i „przystosowanie ruin domów do obrony", czyli dobrze zdawał sobie sprawę, jaki będzie punkt wyjścia. Mimo to nakazywał: „Wytrwanie na miejscu i obrona własnych punktów oporu zależy od zawziętości i wytrwałości oraz oporu obrońców". Jednakże nie wspominał, czym potencjalni powstańcy mieliby walczyć.

Znamy odzew z jednego Okręgu AK: płk Jan Zientarski „Ein" w rozkazie z 5 września polecał: „Przeprowadzić szkolenie i przygotować materiały potrzebne do walk w mieście. Odnosi się to głównie do Radomia, Kielc i Częstochowy". Nie były to jednak miasta nadające się do zdobycia przez licho uzbrojone oddziały AK i następnie ich utrzymania w walkach z siłami niemieckimi. Na szczęście takie straceńcze działania nie zostały podjęte. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Oda do młodości

Jesienią 1819 r. Adam Mickiewicz musiał się udać do Kowna, by jako nauczyciel odpracować stypendium pobierane podczas studiów. Znalazł się w obcym środowisku, bez przyjaciół i znajomych, w miejscu, w którym praktycznie nie istniały żadne rozrywki („głucho wszędzie, ciemno wszędzie"). Najbardziej dokuczała mu jednak praca z młodzieżą, gdyż w listach do przyjaciół wspominał o „tępych żmudzkich łbach" bez efektów oświecanych wiedzą. Miejscowe środowisko intelektualne również nie przypadło mu do gustu, złorzeczył na brak podniet umysłowych i potworną nudę. Niemal całe życie towarzyskie skupiało się w domach prywatnych, dokąd Mickiewicz rzadko bywał zapraszany. W miarę możliwości (fatalna sytuacja finansowa) starał się jednak uczestniczyć w nielicznych wydarzeniach kulturalnych.

Poeta znalazł się w Kownie w klasycznej roli młodego i niedoświadczonego nauczyciela, bez skrupułów wykorzystywanego przez starszych pedagogów. Miał nauczać historii, literatury i prawa, dorzucono mu jeszcze ekonomię i języki klasyczne. Nie używano praktycznie podręczników i nauczyciele musieli prowadzić lekcje w taki sposób, by umożliwić uczniom sporządzanie notatek. Nic dziwnego, że Mickiewicz większość czasu poświęcał na przygotowywania do zajęć. W nielicznych wolnych chwilach spacerował samotnie nad Niemnem, a potem zamykał się w swoim pokoju w towarzystwie psa, kota i… węża. Poeta, jak na mieszkańca Litwy przystało, miał słabość do gadów – węże były uważane przez pogańskich Bałtów za święte zwierzęta.

Zachowały się wspomnienia dyrektora szkoły w Kownie, prefekta Dobrowolskiego. W 1853 r. blisko 80-letni starzec opowiedział Leonowi Potockiemu wrażenia z pobytu Mickiewicza w mieście. Najwyraźniej emerytowanemu dyrektorowi nie służyła już jednak pamięć i nie potrafił oddzielić osoby młodego, nieznanego nikomu nauczyciela od późniejszego wieszcza narodu. Świadczy o tym anegdota, którą podzielił się z Potockim. Podobno niebawem po przyjeździe do miasta Mickiewicza dyrektor wszedł do jego pokoju, dopytując się o nastrój. Mickiewicz, paląc nerwowo fajkę, miał mu odpowiedzieć zwrotką „Ody do młodości". Zapytany o sprawy uczuciowe, wyrecytował drugą zwrotkę. To było oczywiście niemożliwe – „Oda do młodości" powstała rok później (przyjmuje się datę 26 grudnia 1820 r.) i wątpliwe, aby pan dyrektor miał okazję wysłuchać recytację podwładnego. Przez wiele lat szeptano również w mieście o romansie poety z żoną dyrektora, aczkolwiek to również nie mogło być prawdą. Mickiewicz miał w Kownie przeżywać uniesienia miłosne, ale z żoną innego obywatela. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

Czytajcie książki ISKIER

ISKRY

PUSZCZA. OPOWIEŚCI KAMPINOSKIE
Lechosław Herz

POWIDOKI CODZIENNOŚCI
Roch Sulima

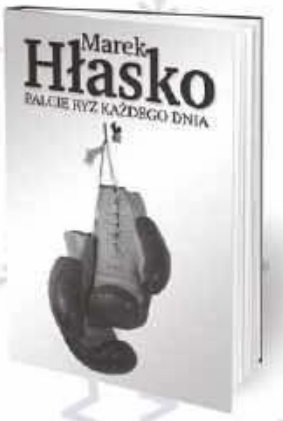

PALCIE RYŻ KAŻDEGO DNIA
Marek Hłasko

TO JEST ZJAWISKO, I NA TO NIE MA RADY
Antoni Kroh

DOM POD WIECZNYM PIÓREM
Jan Polewka

ANTONI PATEK. ZEGARMISTRZ KRÓLÓW. ŚLADAMI ŻYCIA
Beniamin Czapla

ZAJRZYJ NA: www.iskry.com.pl Wydawnictwoiskry wydawnictwoiskry

eprasa.pl 86d441b100

Święta wojna Putina

Maciej Pieczyński

Na Ukrainie trwa walka dobra ze złem. Dobro reprezentuje wyznająca prawosławie, stalinizm oraz islam Rosja. Zło to satanistyczny, nazistowski Zachód. Oto wizja świata, w którą wierzą fanatycy nowej herezji – świadkowie „świętej wojny" Putina

Patriarcha Cyryl i prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin, Psków, 11 września 2022 r.

FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

eprasa.pl 86d441b100

Podaruj Zwycięstwo naczelnemu dowódcy Władimirowi, dzielnemu arcystrategowi i miłującemu Boga Władcy Rosji" – modlitewniki o takiej treści otrzymali niedawno żołnierze rosyjscy, walczący na wojnie z Ukrainą. Materiał na ten temat przygotowała telewizja Spas, należąca do patriarchatu moskiewskiego. Putin zrównany został z Michałem Archaniołem, który przez prawosławnych i grekokatolików nazywany jest właśnie arcystrategiem, czyli wodzem niebiańskich zastępów. „Tam, gdzie u dowódcy Boży duch, tam oddział jest niezwyciężony" – tłumaczy w materiale telewizji Spas ksiądz prawosławny, ubrany w mundur, z wizerunkiem Chrystusa na hełmie. Widz może zobaczyć ikonę Matki Bożej z naszywką „Rosja", obwieszoną medalami wojskowymi. U góry każdej strony modlitewnika widnieją krzyż i dwa kałasznikowy.

CERKIEW NA WOJNIE

Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego otwarcie popiera tzw. specjalną operację wojskową. Na cerkiewnych tablicach ogłoszeń rozwieszane są materiały propagandowe, zachęcające do wstąpienia do armii. Patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl I wprost przekonywał wierzących, że śmierć na wojnie z Ukrainą pozwoli „zmyć grzechy". Duchowy przywódca rosyjskiego prawosławia jest jednocześnie politycznym sojusznikiem Władimira Putina. Cyryl zajmował ważne stanowiska w Cerkwi jeszcze w czasach Związku Sowieckiego. Najprawdopodobniej był agentem KGB. Patriarchą został w 2009 r. Wspierał politykę imperialną Kremla, z pozycji autorytetu duchowego nadając jej wyższą sankcję walki dobra ze złem – czyli „konserwatywnej, chrześcijańskiej Rosji" ze „zgniłym, zdemoralizowanym Zachodem". Sojusz tronu z ołtarzem, a raczej podległość ołtarza wobec tronu, to rosyjska tradycja polityczna, sięgająca bizantyjskiej idei „symfonii" – harmonii i współpracy między władzą świecką a duchową. Przywódcy Rosji, śladem Iwana Groźnego, po swojemu interpretowali słowa św. Pawła o tym, że „nie ma władzy, która by nie pochodziła od Boga" i czuli się pomazańcami Bożymi, a Cerkiew często ich w tym przekonaniu utwierdzała.

Przed aneksją Krymu Cyryl I odwiedzał półwysep. Według SBU wizyta patriarchy była przykrywką dla działań rosyjskich służb. Niemniej przywódca Cerkwi nie wziął udziału w oficjalnych uroczystościach związanych z przyłączeniem Krymu do Rosji, oficjalnie nie poparł żadnej ze stron konfliktu, a w swoich wypowiedziach posługiwał się retoryką „braterstwa narodów". W 2019 r. doszło do zjednoczenia części ukraińskich organizacji cerkiewnych w jedną Ukraińską Cerkiew Prawosławną, która, ku niezadowoleniu Moskwy, otrzymała autokefalię od patriarchy Konstantynopola. Dołączyło do niej także kilkaset parafii, wcześniej należących do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego, uważanej za religijną piątą kolumnę. Wybuch pełnowymiarowej wojny wiele zmienił. 24 lutego zwierzchnik UCP PM, metropolita Onufry, niespodziewanie opowiedział się za suwerennością i integralnością terytorialną Ukrainy. To i tak niewiele pomogło. W grudniu SBU przeprowadziła zmasowaną akcję przeszukań w budynkach należących do UCP PM. W części z nich znaleziono prorosyjskie materiały propagandowe. Władze w Kijowie rozważają delegalizację patriarchatu moskiewskiego na terenie Ukrainy. „Cerkiew nasza jest jedna, czy w Rosji czy na Ukrainie [...]. Będziemy się modlić o jedność Świętej Rusi" – mówił patriarcha Cyryl w kazaniu wygłoszonym 9 marca. Stwierdził też, że Rosjanie i Ukraińcy to „praktycznie jeden naród", powtarzając tym samym tezy Putina.

Patriarcha nie nazwał wówczas przyczyn wojny. Mówił o bliżej nieokreślonych siłach, które chcą wmówić Ukraińcom i Rosjanom, że nie są braćmi, tylko wrogami. Trzy dni wcześniej był o wiele bardziej zdecydowany w swoich słowach. „Od ośmiu lat trwają próby zniszczenia tego, co istnieje na Donbasie. A na Donbasie istnieje niezgoda, fundamentalna niezgoda na tak zwane wartości, zaproponowane przez tych, którzy pretendują do panowania nad światem" – grzmiał Cyryl. Nie wyraził tego wprost, ale z kontekstu kazania było absolutnie jasne, że do „panowania nad światem" dąży Zachód, a prorosyjscy separatyści tylko się tym dążeniom bohatersko sprzeciwiali. „Tak zwane wartości" to z kolei, według Cyryla, konsumpcjonizm i wolność. Hierarcha stwierdził, że Zachód wymusza na tych, którzy poddają się jego władzy, przeprowadzanie parad gejowskich. Czyli – zmusza ludzi do grzechu.

Patriarcha moskiewski wiele mówił o „ośmiu latach cierpienia" mieszkańców Donbasu, zabijanych przez Ukraińców, nie potępiając przy tym ani słowem sprawców cierpienia Ukraińców po 24 lutego. Dał jasno do zrozumienia, że inwazja rosyjska jest próbą obrony wartości chrześcijańskich i prawosławnych oraz Rosjan przed ekspansją zepsutego Zachodu. 13 marca Cyryl podarował dowódcy Rosgwardii, gen. Nikicie Zołotowowi, ikonę, która „ma inspirować młodych żołnierzy, którzy złożyli przysięgę, wstępując na ścieżkę obrony ojczyzny".

W kolejnych miesiącach patriarcha wielokrotnie artykułował swoje wsparcie dla „specoperacji". Pod koniec czerwca tak mówił o przyczynach wojny: „Tam, gdzie łamie się sprawiedliwość, zawsze pojawia się opór, tak więc ten ośmioletni proces doprowadził do znaczącej eskalacji". Zadeklarował też modlitwę o pokój. Mniej więcej w tym samym czasie stwierdził, że wojska rosyjskie na Ukrainie bronią Rosji, kierując się wewnętrznym poczuciem moralnym, opartym na wierze prawosławnej. Chwalił odwagę i poświęcenie żołnierzy Putina.

Wojna o Świętą Rosję, zdaniem Cyryla, ma znaczenie metafizyczne. Patriarcha, komentując sytuację na Ukrainie, niemal za każdym razem krytykuje Zachód. Nie tylko za rzekome podżeganie do „wojny domowej" w ramach jednego, prawosławnego narodu, lecz także za upadek wiary. Jednocześnie zaznacza, że podczas gdy Zachód odchodzi od Boga, w Rosji co i rusz powstają nowe cerkwie.

Cyryl został objęty unijnymi oraz brytyjskimi sankcjami. Krytykują go również prawosławni. Wielu duchownych UCP PM przestało wymieniać jego imię podczas liturgii. Wśród nich również mnisi Ławry Kijowsko-Peczerskiej – monasteru tradycyjnie uważanego za ośrodek wpływów Moskwy. Oficjalnie poparcie patriarchy dla specoperacji zostało potępione przez Cerkwie w Polsce, Niemczech, Grecji, Holandii czy na Litwie.

W marcu 340 prawosławnych teologów podpisało specjalną deklarację potępiającą „herezję rosyjskiego świata", wykorzystującą idee chrześcijańskie do promocji imperializmu. W grudniu patriarcha Konstantynopola Bartłomiej wprost oskarżył reżim Putina o niszczenie rosyjskiego prawosławia. Światowa Rada Kościołów zwróciła się do Cyryla o wywarcie wpływu na władze rosyjskie i zatrzymanie agresji. Hierarcha nie tylko odrzucił te namowy, lecz także skrytykował ich autorów. W odpowiedzi stwierdził m.in., że „siły w większości traktujące Rosję jako wroga gromadzą się u jej granic", prawdziwym celem Zachodu jest zaś „osłabienie Rosji".

KULT STALINA

Cerkiew nie ma monopolu na duchową opiekę nad „świętą wojną", którą

eprasa.pl 86d441b100

Rosyjscy żołnierze z armii, która napadła na Ukrainę, dostali niedawno specjalne modlitewniki FOT. T.ME/SPASTV

Putin prowadzi przeciwko Ukrainie i jej sojusznikom. Kreml posługuje się również sakralizowaną wersją komunizmu. Putinowska ideologia jest syntezą prawosławia oraz stalinizmu. Kult zwycięstwa nad Hitlerem ma w Rosji niemal wymiar religijny. Stalin odgrywa w nim coraz śmielszą rolę. Aleksandr Prochanow, znany pisarz i publicysta o poglądach imperialnych, traktuje „czerwonego cara" nieomal jak świętego, który obronił Rosję – i cały świat – przed diabłem wcielonym nazizmu. Prochanow od dawna wprost mówi o „prawosławnym stalinizmie" jako nowej idei. Kilka lat temu zainicjował powstanie ikony Matki Bożej Państwowej. Widać na niej Stalina w białym mundurze, a nad nim Marię z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów. Generalissimusa otaczają sowieccy marszałkowie, zwycięzcy dowódcy czasów drugiej wojny światowej. Cerkiew odcięła się od ikony, ale to nie był jedyny przypadek, gdy Stalin pojawił się na świętym obrazie.

Krwawy dyktator stał się jedną z postaci oddolnego, ludowego, nacjonalistycznego prawosławia. Gdy upadał ZSRS, prawosławni nacjonaliści i komuniści zjednoczyli się, chcąc uratować imperialną potęgę, która była dla nich wspólną wartością. Dziś ten taktyczny sojusz coraz bardziej staje się szczerą ideową syntezą. Kremlowscy propagandyści, występujący w państwowych programach telewizyjnych, coraz częściej wychwalają Armię Czerwoną już nie tylko za pokonanie Hitlera i poszerzenie granic imperium, lecz także za zwycięstwo nad złem w sensie religijnym. Władze Ukrainy nazywane są już nie tylko nazistowskimi, lecz także satanistycznymi. Z tego punktu widzenia Rosja jawi się jako wcielenie św. Jerzego – pogromcy smoka. Przy czym św. Jerzy dziś jest Putinem, a siedem dekad temu był Stalinem. A smok to dawniej Hitler – dziś NATO i jego podnóżek Zełenski.

Ukraina jest w tej wizji polem bitwy sił dobra i zła. Po stronie dobra: Moskwa – Trzeci Rzym, Święta Rosja, którą personifikują zarówno zamordowany przez bolszewików car Mikołaj II, jak i Stalin. Nie ma w tym nic dziwnego – putinowska Rosja potępia rewolucję, bo to antypaństwowy chaos, chwali natomiast ZSRS czasów Stalina, bo to było silne i ekspansywne państwo. Po stronie zła natomiast w tej rosyjskiej herezji występuje Zachód w swoich kolejnych hipostazach – pogański, okultystyczny, faszystowski, nazistowski, gejowski, liberalny, kapitalistyczny, NATO-wski… Ukraińcy dali się tym ciemnym siłom opętać, a specoperacja to rodzaj egzorcyzmu.

DŻIHAD KADYROWA

Wreszcie, obok prawosławnego krzyża oraz ikony Stalina, na sztandarach świętej wojny Putina widnieje też muzułmański półksiężyc. Swój dżihad przeciwko Zachodowi i jego ukraińskim „sługusom" prowadzi Ramzan Kadyrow. Czeczenia pod jego rządami to konserwatywne państwo islamskie, bezgranicznie wierne Putinowi. Po zdobyciu Mariupola na gruzach miasta kadyrowcy dumnie wznosili okrzyki „Allahu akbar!". Kadyrow często podkreśla, że jego ludzie na Ukrainie walczą z „szajtanami" (w islamie „Szajtan" to jedno z imion szatana).

Zwracając się do swoich rodaków, porównał on władze w Kijowie do autorów karykatur Mahometa. Stwierdził, że celem Zachodu jest uczynienie z Rosjan i Czeczenów niewolników „szajtana". „My dziś przede wszystkim bronimy wartości rodzinnych [...]. Ludzie Kaukazu – albo zgólcie swoje brody, ale pokażcie, że jesteście religijni nie tylko słowami, lecz także czynami. Potrzebne są wola, siła, męstwo, dlatego że dziś musimy podnieść sztandar zwycięstwa nad satanizmem i faszyzmem" – przekonywał Kadyrow. Zaapelował też o jedność muzułmanów i chrześcijan w walce ze złem. Publicznie złożył przysięgę „na Boga wszechmogącego, że ta wojna to jest wielki dżihad, w którym wszyscy muszą wziąć udział".

Przekonywał, że na Zachodzie panuje demokracja satanistyczna, która polega na ochronie praw ateistów i obrażaniu wierzących. Islamski fundamentalizm pasuje do putinowskiej układanki ideologicznej, ponieważ jest równie antyzachodni i antyamerykański. Rosja wielokrotnie broniła też bliskowschodnich autokratów przed Waszyngtonem, w ramach poparcia dla idei wielobiegunowego świata – czyli świata, w którym USA nie są jedynym potężnym imperium, a regionalne mocarstwa mają prawo do rządzenia się po swojemu i posiadania stref wpływów.

Początkowo celem inwazji na Ukrainę była „denazyfikacja" i demilitaryzacja. Gdy okazało się, że podbój tak szybko się nie uda, Moskwa coraz częściej definiowała konflikt jako wojnę z całym „kolektywnym Zachodem". Oskarżenia o nazizm zostały wzbogacone quasi-religijną retoryką walki dobra ze złem. Putin od dawna kreuje się na przywódcę światowego konserwatyzmu i jego obrońcę przed zachodnim zepsuciem, łącząc te poglądy z kultem sowieckiego imperializmu. Jednak prowadzona przezeń „święta wojna" to obrazoburstwo, które nie ma nic wspólnego z realną walką ze złem. I to nie tylko dlatego, że stanowi miks prawosławia, stalinizmu i islamu. Bodaj jedyna konserwatywna cecha synkretycznej putinowskiej ideologii to niechęć do LGBT, którą zresztą Rosja odziedziczyła po ZSRS. Liberalne prawo aborcyjne, kolektywizm, antyindywidualizm, brak poszanowania dla wolności osobistej, wektor antyzachodni – oto elementy rosyjskiego świata, które nie wpisują się w zachodnie pojmowanie konserwatyzmu. Putin wykorzystuje religię instrumentalnie. Jedynym dogmatem jego Kościoła pozostaje nienawiść do Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

CZY POLACY SĄ SKAZANI NA WIELKOŚĆ?

O szansach stworzenia naszego imperium za Polski Piastów oraz I i II Rzeczypospolitej mówią historycy: Jacek Banaszkiewicz, Andrzej Nowak i Mariusz Wołos

Mikołaj Iwanow – **O sowiecko-polskiej wojnie o białoruską duszę**
Piotr Semka – **O wielkim głodzie w Irlandii i na Ukrainie**
Maciej Rosalak – **O grozie Berberów na Morzu Śródziemnym**
Jakub Ostromęcki – **O truciźnie na dworze Króla Słońce**
Sławomir Koper – **O seksie i alkoholu w życiu Kazimierza Deyny**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 86d441b100

Chiński problem Niemiec

Jan Bogatko z Berlina

Lata temu, kiedy Niemcy na serio traktowały prawa człowieka, a czerwone Chiny nie były jeszcze tak bogate i potężne, kanclerz Angela Merkel mogła sobie pozwolić na przyjmowanie w urzędzie kanclerskim Dalajlamy. Dziś nad dysydentami ChRL komunistyczna chińska policja roztacza „dyskretną opiekę"

Afera z chińską policją w Niemczech wybuchła w niesprzyjających dla rządu Olafa Scholza okolicznościach. Kanclerz peregrynuje do Państwa Środka z niesłychaną świtą, a tu media rozpisują się o „policyjnych centrach" ChRL w Holandii i w Niemczech. Prasa w Holandii donosi o dwóch chińskich placówkach policyjnych w Rotterdamie i Amsterdamie, działających nielegalnie, bez zgody rządu w Hadze, a których celem jest inwigilacja chińskich dysydentów, którzy opuścili swą narodowo-komunistyczną ojczyznę. Haga zadziałała wyjątkowo szybko.
– Chiny muszą zamknąć swe biura policyjne w obu miastach – stwierdził szef holenderskiej dyplomacji w Hadze, Wopke Hoekstra. Jak podała agencja informacyjna ANP, minister poinformował o tym ambasadora ChRL, Zhang Juna.

CHIŃSKIE MACKI

Zgodnie z podaną do publicznej wiadomości informacją organizacji praw człowieka z siedzibą w Madrycie, Safeguard Defenders, chińskie placówki policji, w liczbie 54, działają w 30 krajach na pięciu kontynentach, a ich celem jest realizacja zamierzeń Pekinu za granicą. Czerwone Chiny doskonale zdają sobie sprawę z indolencji tzw. liberalnych demokracji, realizując swe polityczne cele podobnie do wszelkich zagranicznych placówek ZSRS w latach międzywojennych, operujących wówczas w znacznie trudniejszych warunkach. Tymczasem „chińska policja urządza w Niemczech polowanie na dysydentów niemalże na oczach wszystkich" – powiedział w rozmowie z N-tv.de Yang Weidong, mieszkający od kilku lat w Niemczech chiński filmowiec dokumentalista.

On sam – a także jego żona – byli nachodzeni przez pracowników ambasady czy konsulatów ChRL, a także przez tzw. chińskich studentów. Weidong wielokrotnie informował o tych incydentach niemiecką policję, lecz – jak mówił w wywiadzie z cytowanym portalem – „jest ona bezradna". Policja tłumaczy, że dopóki nie dopuszczono się przestępstwa, dopóty ma związane ręce. Ale – przynajmniej – obiecała ona wzmożoną prezencję w okolicy miejsca zamieszkania dysydenta.

Yang Weidong zdaje sobie sprawę z tego, że komunistyczna policja śledzi każdy jego krok w Niemczech. Zna ona każde jego miejsce pobytu, wie także to, że poprosił o pomoc policję. Po tym wydarzeniu do Yanga zadzwonił jego brat z Szantungu we wschodnich Chinach, zachęcając go wraz z matką (lekarką i jak on sam dysydentką, która przed igrzyskami olimpijskimi w Pekinie nagłośniła aferę dopingową w chińskim sporcie) do powrotu do Chin i „przerwania współpracy z niemieckimi władzami". Nietrudno się domyślić, że telefon brata był wymuszony. Sieć komunistycznych informatorów na świecie, w Europie i także w Niemczech jest gęsta. Safeguard Defenders wyliczyła dotąd 54 tzw. posterunki zamorskie chińskiej policji na świecie. W Hiszpanii, gdzie organizacja ma swą siedzibę, jest dziewięć takich placówek. W Niemczech chińska policja ma nielegalne biuro we Frankfurcie nad Menem. Jego zadaniem ma być ochrona Chińczyków mieszkających za granicą przed oszustwami ze strony ich rodaków. Pekińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, któremu podlegają zamorskie placówki policyjne, oficjalnie wskazało w tym roku na sukces operacji, mającej na celu zachęcenie mieszkających na zachodzie Chińczyków do powrotu do ludowej ojczyzny. Miało ich wrócić do ChRL w okresie minionego roku jakoby ok. 230 tys. W ten sposób ochroniono ich przed oszustwami ze strony rodaków za granicą czy też właśnie padli oni ofiarą oszustwa ze strony policyjnego państwa?

Z jednej strony pekiński resort o źle kojarzącej się wielu nazwie „bezpieczeństwa publicznego" chwali się sukcesem, z drugiej zaś… dementuje istnienie „zamorskich biur policji", jak w stanowisku pekińskiego resortu spraw zagranicznych dementującym doniesienia agencji AFP na temat działalności tychże biur. Utrzymuje on, że „biura usługowe" służą jedynie okazywaniu pomocy obywatelom ChRL np. w sprawach przedłużania ważności prawa jazdy.

eprasa.pl 86d441b100

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

O powrotach ani słowa. Dementi władz policyjnego państwa to forma potwierdzenia prawdziwości doniesienia – uważają dziennikarze. I trudno nie przyznać im racji. Tym bardziej że pracę zamorskich biur policji ChRL wspierają pracownicy ludowego korpusu dyplomatycznego i organizacje frontu jedności narodu. Niezliczone chińskie zrzeszenia zagraniczne dbają o to, by Chińczycy, mieszkający w Niemczech czy w jakimkolwiek innym państwie świata, nie wychodzili przed szereg, pozostając wierni linii komunistycznej partii. I skrupulatnie wypełniali nałożone na nich zadania, zbierając informacje i indoktrynując otoczenie.

Ministerstwo spraw wewnętrznych w Berlinie w związku z chińską aferą policyjną podkreśla, że nie istnieje między ChRL a Niemcami jakiekolwiek porozumienie dotyczące działania zamorskich placówek policyjnych, jak ta we Frankfurcie nad Menem. W wydanym oświadczeniu resort stwierdza, że „rząd Republiki Federalnej Niemiec nie toleruje wykonywania obcej władzy państwowej, a tym samym placówki chińskie nie mają żadnych uprawnień wykonawczych na terytorium Republiki Federalnej Niemiec". I dalej: „Rząd Republiki Federalnej przykłada wagę do tego, by chińskie placówki dyplomatyczne poruszały się, wykonując swe zadania w Niemczech w granicach określonych w wiedeńskiej konwencji o stosunkach dyplomatycznych i wiedeńskiej konwencji o stosunkach konsularnych".

Władze krajowe w Hesji badają informacje dotyczące doniesień na temat nielegalnej chińskiej placówki policyjnej we Frankfurcie – potwierdził rzecznik ministerstwa spraw wewnętrznych w Hesji na łamach gazety „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Sprawa jest rozwojowa, a w podjętym dochodzeniu udział bierze także krajowy heski Urząd Ochrony Konstytucji.

RÓŻNE LOKALIZACJE I KONFERENCJE

Czy biuro chińskiej policji we Frankfurcie nad Menem ma formę urzędu z adresem, telefonem i ze stroną internetową? Czy są podobne placówki w Berlinie czy w Hamburgu, gdzie przecież niebawem zaroi się od Chińczyków w porcie kontenerowym? Tak najwidoczniej nie jest – uważa portal T-online. Zgodnie z jego informacjami policja chińska w Niemczech nie pracuje w stałym miejscu, lecz spotyka się w różnych miastach i lokalizacjach na konferencjach roboczych. Raz może być to biuro jakiegoś chińskiego przedstawicielstwa handlowego w Nadrenii Północnej-Westfalii czy nawet chińska restauracja w Hamburgu, Monachium czy w okolicy Frankfurtu. Wszędzie tam chińska placówka policyjna w Niemczech ma osoby kontaktowe z adresami, pod którymi są one osiągalne w chińskim messengerze WeChat. Na grupowym zdjęciu, opublikowanym w „Chińskiej Gazecie Handlowej" (wychodzi po chińsku we Frankfurcie nad Menem), widać 17 osób, w tym trzy kobiety. Żadna z nich nie jest w mundurze. Nadzór nad takimi „imprezami" jest po prostu niemożliwy i Niemcy zdają sobie z tego sprawę.

Wraz ze wzrostem znaczenia gospodarczego na świecie ChRL pozwala sobie coraz częściej na omijanie lub otwarte łamanie porozumień międzynarodowych. Uderzająco ilustruje to wydarzenie z udziałem chińskiego konsula generalnego w Manchesterze. Kiedy pobił on demonstranta z Hongkongu o antykomunistycznym nastawieniu, oświadczył w brytyjskich mediach, że obowiązkiem dyplomaty jest tak postępować, jak to właśnie uczynił, kiedy obraża się jego państwo lub szefa tego państwa, które on reprezentuje.

Także w Irlandii rząd nakazał zamknąć chińską placówkę policyjną w Dublinie. Irlandzki resort spraw zagranicznych stwierdził niedawno, że żadne władze ChRL nie prosiły o zezwolenie na działalność chińskiej placówki policyjnej na terenie Irlandii. Dublin powiadomił, że podniósł tę kwestię w rozmowie z Chinami i wezwał Pekin do jej zamknięcia – informuje BBC. Władze chińskie spełniły to żądanie, lecz ambasada Chin w Dublinie oznajmiła, że nie popełniła żadnego naruszenia prawa.

Pekin usprawiedliwia projekt zamorskich chińskich placówek policyjnych… pandemią COVID-19 i chęcią przyjścia z pomocą obywatelom ChRL w potrzebie. Ale o COVID jeszcze nie słyszano, kiedy Chińczycy otworzyli pierwszą zamorską placówkę policyjną: jak podają chińskie media, miało to miejsce 28 września 2018 r. Pekin uważa, że Chiny mają prawo „do wywierania presji na kryminalistów", by poddali się (chińskiemu) wymiarowi sprawiedliwości. Oczywiście on też decyduje o tym, kto jest owym kryminalistą. Rzecznik Pekinu bronił stanowiska swego rządu na łamach hiszpańskiej gazety „El Correo": „Europa jest zbyt powolna w ekstradycji kryminalistów do Chin". Oczywiście czerwony mandaryn nawet nie zająknął się o tym, że pekińska policja zajmuje się zwłaszcza politycznymi dysydentami, jak Yang Weidong. Jak podaje Safeguard Defenders, metody stosowane przez Chiny zdecydowanie naruszają przyjęte normy prawne i lekceważą terytorialną suwerenność państw, w których znajdują się chińskie placówki policyjne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

FOT. DANIEL DINNEBIER/BUNDESWEHR

POJECHALI NIEMCY NA MANEWRY I NIE WRÓCILI

Niemcy mają najnowocześniejsze i zarazem najdroższe bojowe wozy piechoty Puma. Właśnie zabrali je na wojskowe manewry. Po tych ćwiczeniach sprawność operacyjna osiemnastu BWP Puma spadła do zera – a pomijając wojskowy język: wszystkie się zepsuły. Tymczasem Panzergrenadierbrigade 37 z zepsutymi wozami stanowić ma trzon sił szybkiego reagowania NATO. Niemcy mówią, że nie trzeba się martwić, bo mają jeszcze inne, stare wozy bojowe.

KARA W ZAWIESZENIU DLA SEKRETARKI OBOZU

W Niemczech tak szybko rozliczają się ze zbrodni dokonanych podczas drugiej wojny światowej, że właśnie w ubiegłym tygodniu sąd skazał 97-letnią sekretarkę niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof. Za podżeganie do zabójstwa 10,5 tys. osób sąd w Itzehoe skazał Irmgard Furchner na... dwa lata w zawieszeniu. Sądzona była na podstawie prawa dla nieletnich, ponieważ w chwili popełnienia zbrodni miała 18 lat.

KOLEJNY OLIGARCHA MIAŁ PECHA

W tym roku już 21 rosyjskich oligarchów bądź menedżerów zmarło po nieszczęśliwych wypadkach. Ostatnim, dla którego ten rok okazał się wyjątkowo pechowy, jest Dmitrij Zelenow. Ten były właściciel największego rosyjskiego koncernu deweloperskiego Don-Stroj był przeciwnikiem rosyjskiej napaści na Ukrainę. Zelenow nieszczęśliwie spadł ze schodów we francuskim mieście Antibes tak, że wypadł przez barierkę. Zmarł.

ATAK NA CHOINKĘ

Berlińczycy postawili sobie przed Bramą Brandenburską choinkę. Wysokie na 15 m, udekorowane drzewko zostało właśnie oszpecone. Przed choinkę zajechało auto z podnośnikiem i znajdujący się na nim ludzie odpiłowali czubek drzewka. Okazało się, że byli to aktywiści z organizacji klimatycznej – Letzte Generation (Ostatnia Generacja). W ten sposób chcieli pokazać, że „Niemcy widzą tylko czubek katastrofy klimatycznej".

PENSJA ZA 24 LATA Z GÓRY

Consorcio Industrial de Alimentos – działający w Chile producent mięs – popełnił fatalną pomyłkę. Jednemu z pracowników zamiast wypłaty za miesiąc przelał wynagrodzenie wynoszące 286-krotność jego pensji (w sumie w przeliczeniu ponad 800 tys. zł). Pracownik, który dostał z góry wypłatę za 24 lata, skontaktował się z pracodawcą i zapewnił, że następnego dnia zwróci kwotę na konto firmy. Następnie zniknął i nikt nie wie, dokąd uciekł. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Musk z czarną polewką

Kontrowersyjny miliarder Elon Musk nie jest już najbogatszym człowiekiem świata. W grudniowym rankingu Bloomberg Billionaire Index za najzamożniejszego uznany został francuski król luksusu Bernard Arnault. Wartość jego majątku oszacowano na 177 mld euro. Musk spadł na drugie miejsce, z fortuną szacowaną na 147,7 mld dol., czyli najniżej od dwóch lat.

Jak zauważył Bloomberg, majątek założyciela Tesli i nowego właściciela Twittera skurczył się w tym roku bardziej, niż zyskał na wartości rok wcześniej. Największy wpływ miał na to spadek wartości akcji Tesli. Niewykluczone jednak, że do kiepskiego roku miliardera przyczyniła się również jego niezbyt udana na razie inwestycja w Twittera.

Inwestycja wydaje się nietrafiona podwójnie, bo nie tylko nie przynosi zysków finansowych, lecz także uderza w ego miliardera, który po zdobyciu fortuny wziął się do „naprawiania" świata. Po pierwsze, gdy najlepsi pracownicy poznali nową wizję Twittera i nowe warunki współpracy z aroganckim miliarderem, to wielu po prostu odeszło z firmy. Po drugie, okazało się, że pokusa ingerencji w wolność słowa – do której przywiązanie miliarder często publicznie deklarował – jest tak ogromna, że za rządów Muska na Twitterze zawieszono konta prominentnych dziennikarzy, którzy podpadli ekscentrycznemu bogaczowi.

Gdy zaś okazało się, że nie wszyscy pałają miłością do sposobu zarządzania Twitterem przez Muska, postanowił on zasięgnąć opinii „ludu". Wyniki były jednoznaczne: 57,5 proc. głosujących internautów uznało, że powinien on ustąpić z kierowania Twitterem. Musk ogłosił, że słowa dotrzyma i uzna wyniki głosowania, ale odejdzie dopiero, gdy znajdzie kogoś „wystarczająco głupiego, by wziąć tę robotę"... ©℗

eprasa.pl 86d441b100

SOVEREIGNTY.PL

Obserwuj nasz nowy projekt:

PRZECIWDZIAŁANIE PRZESTĘPSTWOM ZNIEWAŻENIA NARODU LUB RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ. PRAWNA OCHRONA PAMIĘCI. WALKA Z POLONOFOBIĄ.

Szukaj nas na **sovereignty.pl**

To anglojęzyczny portal promujący wśród zagranicznych odbiorców: polską historię, dziedzictwo, kulturę oraz politykę międzynarodową.

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 86d441b100

Z prof. Tomaszem Grzegorzem Grosse, europeistą z Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Kartel z Brukseli

RYSZARD GROMADZKI: Greczynka Eva Kaili, wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, została odwołana z funkcji po ujawnieniu afery korupcyjnej. Kaili przyznała się do przyjmowania pieniędzy z Kataru. Afera dotyczy instytucji, która chce uchodzić za wzorzec z Sèvres, jeśli chodzi o standardy demokracji i praworządności, która rości sobie prawo do pouczania państw i rządów. Pani Kaili została odwołana głosami prawie wszystkich eurodeputowanych. Czy to oznacza, że Parlament Europejski potrafi się skutecznie bronić przed korupcją i lobbingiem ze strony wielkich korporacji i autorytarnych reżimów?

PROF. TOMASZ GRZEGORZ GROSSE: Jest to przede wszystkim problem systemowy Parlamentu Europejskiego. To nie jest żaden wypadek przy pracy ani sprawa indywidualna. Przyznają to zresztą także sami eurodeputowani w wypowiedziach medialnych. Tak ostatnio wypowiedział się m.in. Raphaël Glucksmann – deputowany z tej samej frakcji co pani Kaili. Systemowość tego problemu obnażały wielokrotnie różne instytucje, co znajdowało odbicie w raportach Transparency International, raportach innych instytucji unijnych. Większość deputowanych w Parlamencie Europejskim ma wyraźną niechęć do działań antykorupcyjnych. Były podejmowane takie próby przynajmniej kilkakrotnie w ostatnich latach. Za każdym razem były one rozwadniane i torpedowane przez większość europosłów.

Większość lewicową...

Tak. Wprawdzie do tego mainstreamu należy także Europejska Partia Ludowa, frakcja liberalna i czasami frakcja Zielonych, niemniej ideowy wymiar tej większości jest lewicowy. Skoro te wszystkie ugrupowania są od wielu lat niechętne przyjmowaniu wewnętrznych regulacji antykorupcyjnych, to one tę praktykę tolerują. To znaczy, że trwa ona od dłuższego czasu, i to nie tylko w wymiarze jednostkowym.

Innym elementem systemowym zjawiska korupcji w europarlamencie jest to, że – jak to określił prof. Peter Mair – rządzi tutaj kartel, który chroni własne interesy. Kartel głównych partii czasami określanych jako proeuropejskie. Nie istnieje

eprasa.pl 86d441b100

FOT. ERIC VIDAL/EP/EU

zjawisko znane z większości parlamentów na świecie, czyli opozycji, która jest alternatywą dla tej większości. Ten kartel rządzi od „zawsze" bez względu na to, jaki jest wynik w kolejnych wyborach do europarlamentu. Pozostałe frakcje są traktowane jako „gruszka do bicia" i de facto są często wykluczane ze sprawowania władzy w europarlamencie na wiele różnych sposobów. Ugrupowania określane jako eurosceptyczne, które mają ograniczony dostęp do władzy w parlamencie, dysponują też mniejszymi możliwościami kontroli tych euroentuzjastycznych.

W bliskiej perspektywie nie widać szans na wyjście z tego klinczu?

Widzimy, jak rządząca większość stara się wszelkimi sposobami ograniczyć legitymizację europosłów z partii etykietowanych jako eurosceptyczne czy populistyczne. Chodzi m.in. o to, żeby nie mogli oni w skuteczny sposób przebić się do opinii publicznej w krajach członkowskich czy na forum europarlamentu, jeśli wykryją jakieś zjawiska, które powinny niepokoić. Kolejna różnica systemowa, która różni działania europarlamentu od parlamentów narodowych, to brak czegoś takiego jak kontrola ze strony mediów nad funkcjonowaniem Parlamentu Europejskiego. Są nieliczne media wyspecjalizowane w sprawach europejskich, ale one są śledzone przez specjalistów. To jest wąska grupa europeistów lub dziennikarzy, którzy specjalizują się w problematyce europejskiej.

Mówimy o mediach w rodzaju magazynu „Politico"...

Na przykład. Między innymi z tego magazynu wiemy, że w ostatnich latach były podejmowane różne próby działań sanacyjnych wewnątrz Parlamentu Europejskiego, które były odrzucane przez główny nurt polityczny rządzący od wielu kadencji w tej instytucji. Biorąc pod uwagę te wszystkie elementy, o których mówiłem, one tworzą środowisko sprzyjające braku transparentności funkcjonowania eurodeputowanych z tego głównego nurtu, co ułatwia przyjmowanie korzyści materialnych.

Przez ten brak przejrzystości sprzyjający szerzeniu się korupcji Parlament Europejski stał się karykaturą demokracji, na którą powołuje się w każdej swojej rezolucji.

Rzeczywiście, Parlament Europejski jest instytucją systemowo narażoną na zjawisko korupcji. To po pierwsze powoduje, że to nie wyborcy mają wpływ na decyzje eurodeputowanych. Lobbyści mogą prowadzić niekontrolowane działania w europarlamencie, których skrajnym przykładem jest zostawianie w gabinetach europosłów reklamówek wypchanych pieniędzmi. W parlamencie nie ma obowiązku rejestracji korzyści materialnych osiąganych przez eurodeputowanych, nie ma nakazu rejestrowania wszystkich spotkań z lobbystami ani nie ma kontroli nad lobbystami, którzy reprezentują państwa spoza UE. Także byli europosłowie mają swobodny dostęp do parlamentu. Ta sytuacja tworzy otwarte pole do wpływu korupcyjnego.

Jest jeszcze inny aspekt bardzo niepokojący z punktu widzenia standardów demokracji. Ta instytucja, jak wiemy, jest coraz bardziej zideologizowana, co w sposób systematyczny wyklucza z legitymizowanego dyskursu publicznego alternatywne propozycje rozwoju integracji europejskiej, które nie są federacyjne, a więc nie są związane z tymi preferowanymi przez mainstream rządzący w Parlamencie Europejskim.

Na ten mainstream idea Europy wolnych narodów musi działać jak płachta na byka?

Oczywiście. Tak samo jak poglądy konserwatywne czy chadeckie. Jest pogwałceniem standardów demokratycznych, jeżeli za inne poglądy polityczne, inne wartości polityczne obrzuca się przeciwników politycznych najgorszymi epitetami, poczynając od tego, że są przeciwni integracji europejskiej, a kończąc na tym, że są populistami i faszystami.

Ale przecież założyciele Unii Europejskiej mieli na nią inny pomysł. Co się stało z pierwotną ideą europejską?

Większość deputowanych odchodzi od standardu demokracji, jakim jest zachowanie pluralizmu politycznego, a więc tolerancji dla różnych opcji politycznych. Jest też inny standard demokracji podważany przez ten główny nurt. Chodzi o wcześniej wspomniane dążenie do federalizacji Europy. Jest ono tak silne, że prowadzi do naruszania traktatów przez Parlament, który metodą faktów dokonanych przywłaszcza sobie kolejne kompetencje. Mało tego, to działanie, które można wprost nazwać niepraworządnym, jest usprawiedliwiane dobrem integracji europejskiej. Z jednej strony mamy szczytne idee, a z drugiej strony interesy kartelu, który broni własnych kompetencji, coraz bardziej je rozszerzając poprzez działania niekiedy sprzeczne z traktatami.

Jednocześnie odsądza od czci i wiary wszystkich oponentów, mimo że jest to zaprzeczeniem zasad demokracji. Na samym końcu pod osłoną tej „proeuropejskości" „kręcone są" przysłowiowe „lody" i politycy uzyskują niekiedy dochody przewyższające skądinąd bardzo hojne wynagrodzenie i diety, które należą się eurodeputowanym. Tak było w przypadku prominentnego niemieckiego europosła Elmara Broka, zwolennika unijnej federacji, który przez długie lata otrzymywał hojną pensję z koncernu medialnego Bertelsmann.

eprasa.pl 86d441b100

Czy rzeczywistym źródłem instytucjonalnej patologii, o której mówimy, nie jest podeptanie chrześcijańskiego dziedzictwa, które było istotną motywacją dla Roberta Schumana czy Konrada Adenauera?

Bardzo możliwe, że ideologizacja, przejawiająca się w forsowaniu wartości lewicowych czy wręcz neomarksistowskich, tworzy tendencję autorytarną ze strony elit europejskich. Widzimy to głównie w Parlamencie Europejskim, ale w mniejszym stopniu również w innych instytucjach unijnych. Ponadto mamy do czynienia z ciekawym aspektem tej obecnej afery. Wszystkie tego typu sytuacje były dotąd zazwyczaj zamiatane pod dywan, byleby tylko nie dopuścić do strat wizerunkowych, jeśli chodzi o instytucje unijne. Zresztą jeśli przyjrzeć się działaniom podejmowanym podczas obecnego kryzysu, to widać, że są one przede wszystkim nakierowane na to, żeby minimalizować straty wizerunkowe instytucji europejskich, szczególnie Parlamentu Europejskiego. Mówimy o instytucji, która ma być krynicą tzw. praworządności i wartości unijnych. Afera Evy Kaili jednak wybuchła i można zastanowić się, dlaczego tak się stało.

Dlaczego nagle odkryto korupcję ze strony lobbystów z Kataru, jakby w europarlamencie nie działały setki innych lobby...

Otóż to. Dlaczego w podobny sposób nie demaskuje się lobbystów chińskich, rosyjskich czy amerykańskich? Ale też lobbystów wewnątrzeuropejskich, czyli tych np. związanych z wielkimi korporacjami. Może być wiele teorii, dlaczego uderzono akurat w Katar.

Czy nie dlatego, że Katar jest jednym z największych producentów gazu LNG na świecie?

Dokładnie tak. Wiele krajów ma podpisane umowy z Katarem na dostawy gazu. Ostatnio 15-letni kontrakt na gaz LNG z Kataru podpisały Niemcy. Negocjacje z Katarem prowadzą także inne państwa członkowskie. W sytuacji ostrego kryzysu energetycznego próba torpedowania tych kontraktów mogłaby pogłębić kryzys w Unii Europejskiej, dlatego łatwo sobie dopowiedzieć, kto na kryzysie energetycznym w Unii Europejskiej korzysta.

Wróćmy do podwójnych standardów w instytucjach europejskich wobec różnych lobby. Czy klasycznym przejawem tolerowania patologicznych wpływów przez Komisję Europejską i europarlament nie jest kwestia wielomiliardowych kontraktów na dostawy szczepionek przeciw COVID-19? Szczególnie praktyka związana z zamawianiem preparatu koncernu Pfizer przez Komisję Europejską budzi ogromne wątpliwości. W Katar można uderzać, w Big Pharma już nie?

Ochrona podstawowych standardów demokratycznych przez mniejsze państwa jest niezwykle trudna w obecnych strukturach Unii

Jak wspomniałem, regułą było to, że tego rodzaju działania nie wypływały do opinii publicznej. Media liberalne nie podejmowały takich tematów. Panowała raczej zmowa milczenia, która miała chronić autorytet instytucji unijnych. Tak było choćby w przypadku afery nagłośnionej przez francuski dziennik „Liberation". W tej chwili „mleko się rozlało". Ale nawet obecnie widać, jak przewodnicząca Ursula von der Leyen chroni swojego podwładnego, komisarza Margaritisa Schinasa. Jeszcze nie tak dawno głosił on peany na temat poszanowania praw człowieka i praw pracowniczych przez Katar, mimo że media od lat informują o przypadkach ich drastycznego łamania w emiracie. Pani von der Leyen pytana o zachwyty Schinasa nad katarskim reżimem uchyliła się od odpowiedzi. Być może chciała uniknąć losu komisji Jacques'a Santera, która podała się do dymisji pod zarzutami korupcyjnymi w 1999 r. Niemniej przykład greckiego komisarza Schinasa pokazuje, że skala nieformalnych powiązań między elitą brukselską – parlamentarną, wysokimi urzędnikami Komisji, sędziami unijnego Trybunału Sprawiedliwości – tworzy system naczyń połączonych, który niekiedy wypracowuje decyzje. Są one później przyjmowane w sposób formalny na arenie unijnej. Niemniej decyzje zapadają często w wąskich kręgach, np. w rozmowach kuluarowych. Było to sedno afery ujawnionej przez „Liberation". Jeżeli więc ktoś zna metodę tych decydentów i potrafi do nich dotrzeć, to może mieć ogromny wpływ na decyzje, które później muszą przecież być implementowane przez wszystkie państwa członkowskie Unii.

Czy wobec rozdęcia unijnej szarej strefy, omnipotencji brukselskiego deep state, propozycje instytucjonalnej reformy Unii zgłaszane przez Polskę czy Węgry mają jakiekolwiek szanse na powodzenie?

Ochrona interesów narodowych przez mniejsze państwa, a nawet ochrona podstawowych standardów demokratycznych przez te państwa są niezwykle trudne w obecnych strukturach Unii. Uważam jednak, że nie należy się poddawać. Trzeba bronić twardo własnych interesów oraz istniejących traktatów. Trzeba przeciwstawiać się praktyce pozatraktatowego przenoszenia władzy do instytucji unijnych, takich jak Komisja Europejska czy europarlament. Powinniśmy również protestować konsekwentnie przeciwko wszystkim działaniom prowadzącym do federacji. A przy okazji obecnej afery polskie władze mogą podjąć dyskusję o zmianie funkcjonowania europarlamentu. Wszystkie patologie systemowe, o których rozmawiamy, powinniśmy w interesie polskich wyborców skorygować. Być może trzeba powrócić do modelu funkcjonowania Parlamentu Europejskiego sprzed 1979 r., wybieranego nie w oparciu o wybory powszechne, tylko jako reprezentacja parlamentów narodowych.

Może to sposób na posprzątanie tej stajni Augiasza...

Dokładnie. Na pewno trzeba też ograniczyć liczbę eurodeputowanych, z obecnych 705 do 200 lub 300. Kolejną patologią są te comiesięczne przeprowadzki między Strasburgiem a Brukselą, które kosztują bajońskie sumy. Trzeba z tym definitywnie skończyć. Wreszcie należy ponowić propozycję, która była już przez Polskę stawiana, powołania specjalnej instytucji złożonej z narodowych trybunałów konstytucyjnych, które kontrolowałyby legislację w Unii Europejskiej, w tym działanie europarlamentu z punktu widzenia respektowania traktatów. I ostatnia rzecz – w świetle ostatniej afery eurodeputowani nie powinni być chronieni przez immunitet, zwłaszcza w sprawach oskarżeń o działania przestępcze.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Grzegorz Grosse
jest socjologiem, politologiem, europeistą i historykiem. Profesor na Uniwersytecie Warszawskim.

eprasa.pl 86d441b100

MIESZKANIA GOTOWE DO ODBIORU w Poznaniu

Grupa Inwest

www.**grupainwest.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl 86d441b100

Wielka Brytania
niestety bez Żelaznej Damy

Olivier Bault

Partia Konserwatywna nie wykorzystała możliwości uwolnienia gospodarki, które stwarzał brexit. Opuszczenie UE specjalnie gospodarce brytyjskiej nie zaszkodziło, ale niestety także nie pomogło, zaszkodziły jej źle przemyślana polityka klimatyczna oraz wzorowana na modelu komunistycznych Chin polityka zarządzenia pandemią

Jeśli zgodnie z prognozą OECD PKB Wielkiej Brytanii skurczy się o 0,4 proc., będzie to w 2023 r. drugi po Rosji najgorszy wynik wśród dużych gospodarek grupy G20. Wśród 38 krajów członkowskich OECD (organizacji, do której nie należy Rosja) przewiduje się, że w 2024 r. gospodarka brytyjska będzie jedyną mniejszą niż w 2019 r., czyli przed pandemią COVID-19. Słaba gospodarczo Wielka Brytania jest także coraz bardziej osłabiona militarnie, co nie jest bez znaczenia dla bezpieczeństwa kontynentu w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainie, gdy rząd Jego Królewskiej Mości, pod przywództwem trzech kolejnych premierów na przestrzeni zaledwie kilku miesięcy, był i wciąż jest jednym z najbardziej zaangażowanych w czynne wspieranie Kijowa.

Tymczasem minister obrony Ben Wallace alarmował pod koniec listopada, że jeśli nie zwiększy się funduszy przeznaczonych na obronę kraju, to armia brytyjska niedługo będzie liczyła 72,5 tys. żołnierzy, tj. najmniej od końca wojen napoleońskich. Jednocześnie wydaje się, że może dojść w tym roku do powtórki tzw. zimy niezadowolenia z lat 1978–1979, kiedy to strajki na rzecz podwyżek pensji w kontekście wysokiej inflacji sparaliżowały kraj, przyczyniając się do wygranej w wyborach z 1979 r. konserwatystów na czele z Margaret Thatcher.

BRYTYJCZYCY STRAJKUJĄ

Tym razem jednak nie zanosi się na żadne wybory, a już tym bardziej na zwycięstwo konserwatystów nastawionych na liberalizację gospodarki

eprasa.pl 86d441b100

Od kilku miesięcy w Wielkiej Brytanii wybuchają kolejne protesty
FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

i uporządkowanie finansów publicznych. Dopiero co doszło do dwóch zmian na stanowisku premiera. Najpierw, latem, premierem w wyniku wewnętrznych wyborów partyjnych i po ustąpieniu Borisa Johnsona za złamanie własnych reguł antycovidowych została Liz Truss, a następnie w październiku, już bez żadnych wyborów partyjnych, Rishi Sunak, powołany na to stanowisko w następstwie paniki rynków wywołanej zapowiedzią obniżenia podatków dla najbogatszych bez pokrycia tej propozycji od strony dochodowej mocno zadłużonego budżetu. Na dodatek konserwatyści (a raczej torysi, bo z konserwatyzmem nie mają już wiele wspólnego) są w sondażach daleko w tyle za laburzystami. Wątpliwe, żeby chcieli zaryzykować i przyspieszyć wybory, które mają się odbyć najpóźniej w styczniu 2025 r. Wręcz przeciwnie, na przełomie listopada i grudnia kilkunastu posłów partii premiera Sunaka już zapowiedziało, że nie zamierza startować w kolejnych wyborach, jakby sami nie wierzyli, że w dwa lata będzie można zasypać 20-punktową przepaść dzielącą Partię Konserwatywną od Partii Pracy. Jak mówią co złośliwsi komentatorzy w brytyjskich mediach: szczury zaczynają już opuszczać tonący statek.

Jak w całej Europie, a może i w jeszcze większym stopniu, okres świąteczno-noworoczny przebiega w tym roku w Wielkiej Brytanii pod znakiem dużych podwyżek cen, zwłaszcza cen energii i artykułów spożywczych. Brytyjskie media podają, że coraz więcej rodzin musi wybierać między „heating" (ogrzewaniem) a „eating" (jedzeniem), gdyż nie wystarcza im pieniędzy na jedno i drugie. Podczas gdy wynagrodzenia wzrosły jedynie o niecałe 6 proc. w ciągu roku, inflacja przekroczyła w październiku 2022 r. poziom 11 proc. w ujęciu rocznym i była najwyższa od 1981 r. Przy tym ceny energii wzrosły średnio o ponad 24 proc. i to tylko dzięki bardzo kosztownym dla budżetu rządowym „gwarancjom cen energii", bez których roczny wzrost byłby bliżej 75 proc. Jeśli zaś chodzi o produkty spożywcze i napoje – z wyłączeniem alkoholu – roczny wzrost cen przekraczał w październiku 16 proc. Dla porównania: w Polsce, gdy ceny wzrosły o ponad 17 proc. w ciągu roku, przeciętne wynagrodzenie, według danych GUS dla III kwartału br., wzrosło o prawie 15 proc. Zatem realny spadek mocy nabywczej Polaków był przeciętnie, przynajmniej na papierze, dwa–trzy razy mniejszy niż w Zjednoczonym Królestwie.

Dlatego też na Wyspach od kilku miesięcy wybuchają kolejne protesty. Regularne strajki kolejarzy sieją co chwilę chaos komunikacyjny. Kto chciał być pewny, że tradycyjne kartki świąteczne dotrą do adresatów przed Bożym Narodzeniem, musiał je wysłać o tydzień wcześniej niż zwykle, czyli przed 16 grudnia. Związek pracowników poczty zapowiedział bowiem kilka jedno- lub dwudniowych akcji strajkowych w grudniu (m.in. w dniach 23–24 grudnia), podobnie jak to miało już miejsce w listopadzie. Zbyt niskie pensje są również przyczyną niezadowolenia związków zawodowych kierowców ambulansów, które ogłosiły ogólnokrajowy 24-godzinny strajk na 21 grudnia. Na strajki zdecydowało się też po raz pierwszy stowarzyszenie pielęgniarek. Za akcją strajkową zagłosowali także w listopadzie członkowie związków zawodowych funkcjonariuszy ministerstwa spraw wewnętrznych (Home Office), w tym służb ochrony granic. Na początku grudnia doszło też do jednodniowych strajków nauczycieli.

– Mamy ogólne poczucie, że rząd nie panuje nad wydarzeniami, i to jest bardzo dla niego niebezpieczne – zauważył pod koniec listopada George Osborne, były minister finansów w rządzie Davida Camerona (w latach 2010–2016). Jak przekonała się Liz Truss podczas swojego półtoramiesięcznego premierostwa (była najkrócej urzędującym premierem w historii swojego kraju), pocovidowy stan finansów publicznych nie pozwala na zbyt wiele. Na koniec drugiego kwartału tego roku państwo brytyjskie było zadłużone na 2437 mld funtów, tj. 102 proc. rocznego PKB kraju, a bieżący deficyt finansów publicznych wynosił 7,2 proc. PKB. Na dodatek rząd Sunaka wydaje się dość słaby pomimo teoretycznie dużej większości w Izbie Gmin po zwycięstwie w wyborach z końca 2019 r., odniesionym pod hasłem doprowadzenia brexitu do skutku. Warto zauważyć, że była to największa wygrana torysów od 1987 r., kiedy liderem partii była Margaret Thatcher. Dziś, trzy lata po wyborach, w partii dochodzi do buntu całych grup posłów. Powodem jest np. sprawa podwyżki podatków czy kwestia energii wiatrowej na lądzie, gdyż duża część posłów Partii Konserwatywnej nie chce zniesienia ograniczeń uniemożliwiających jej rozwój, planowanego przez rząd Liz Truss.

SKRĘT W LEWO

Podwyżki podatków dla klasy średniej zaanonsował w połowie listopada nowy minister finansów Jeremy Hunt, który przejął resort po wyrzuceniu przez Liz Truss Kwasiego Kwartenga i pozostał na tym stanowisku po zmianie premiera. Jak pamiętamy, wrześniowy „minibudżet" Kwartenga pogrążył brytyjską giełdę i walutę, zmuszając bank centralny do interwencji, na skutek czego wzrosły stopy procentowe i banki zaczęły wycofywać oferty kredytów hipotecznych, co z kolei pogłębiło kryzys na rynku nieruchomości i wpędziło wiele rodzin w tarapaty. Teraz natomiast rządowa niezależna instytucja przygotowująca prognozy, Office for Budget Responsibility (OBR),

eprasa.pl 86d441b100

oznajmiła, że na skutek planów Hunta obciążenia podatkowe Brytyjczyków wzrosną do najwyższego poziomu od końca drugiej wojny światowej i spowodują, w połączeniu z rosnącymi cenami, że realne dochody gospodarstw domowych spadną o 7 proc. w ciągu najbliższych 18 miesięcy.

Liz Truss chciała skręcić ostro w prawo, obniżając podatki i liberalizując gospodarkę. Miała uwolnić energię wiatrową, gazy łupkowe i wydobycie węglowodorów na Morzu Północnym oraz ostro walczyć z nielegalną imigracją po latach lewicującej polityki torysów, którą zainicjował David Cameron („konserwatywny" premier, który zalegalizował w Wielkiej Brytanii tzw. homomałżeństwa) i ochoczo kontynuował lewicujący progresista Boris Johnson (wielki zwolennik masowej imigracji i walki z ociepleniem klimatu za wszelką cenę). Truss widziała siebie w roli nowej Margaret Thatcher, natomiast jej błyskawiczna porażka, spowodowana nieprzemyślanymi działaniami i brakiem poparcia dla takiej polityki w szeregach własnej partii, oznacza ponowny – prawdopodobnie definitywny – skręt Partii Konserwatywnej w lewo i przyjęcie przez nią linii politycznej, którą trudno odróżnić od pomysłów, jakie mogłaby realizować Partia Pracy pod przewodnictwem już nie marksisty Jeremy'ego Corbyna, lecz centrowego polityka Keira Starmera. Sunak złamał nawet własną obietnicę, rezygnując ze spójnego z tradycyjnymi wartościami Partii Konserwatywnej planu wsparcia i rozwoju szkolnictwa prywatnego, który jego poprzedniczka chciała wprowadzić w życie. Decyzja, aby utrzymać w mocy ograniczenia wprowadzone za czasów rządów Partii Pracy z epoki Tony'ego Blaira, rozwścieczyła oczywiście kolejną grupę torysów w parlamencie.

W przeciwieństwie do tego, co wmawiają opinii publicznej torysi, kryzys, przez który przechodzi Zjednoczone Królestwo, nie jest skutkiem wojny Putina na Ukrainie, a został przez nią jedynie pogłębiony. Większość ludzi w Wielkiej Brytanii ma zresztą tego świadomość. Natomiast w przeciwieństwie do tego, co twierdzą przeciwnicy brexitu, kryzys ten nie jest również konsekwencją wyjścia z Unii Europejskiej. Jak pokazuje niedawny szczegółowy raport opublikowany przez organizację Briefings for Britain, od czerwca 2016 r., kiedy Brytyjczycy zagłosowali za brexitem, do końca drugiego kwartału 2022 r. skumulowany wzrost realnego PKB w Wielkiej Brytanii wyniósł 6,8 proc. wobec 4 proc. we Włoszech, 5,5 proc. w Niemczech i 7,6 proc. we Francji. Na przekór ostrzeżeniom przeciwników brexitu w latach 2016–2021 inwestycje zagraniczne zwiększyły się, a po przejściowych trudnościach handel z Unią Europejską jest na podobnym poziomie co wcześniej. Ogólny poziom inwestycji tylko nieznacznie się obniżył, ale tę różnicę można wytłumaczyć w całości spadkami inwestycji w sektorze wydobywczym ropy i gazu na Morzu Północnym.

Zły stan finansów publicznych, podobnie jak w innych krajach, wynika w dużej mierze z walki z pandemią COVID-19

I to jest prawdopodobnie kluczowy element do zrozumienia obecnego kryzysu energetycznego w kraju, który pod koniec XX w. był jeszcze, podobnie jak Norwegia, eksporterem gazu oraz ropy i jedną czwartą zużywanego w kraju prądu wytwarzał w elektrowniach jądrowych. W następstwie „zielonej" polityki polegającej na odchodzeniu od paliw kopalnianych i od energii jądrowej Wielka Brytania od lat musi importować coraz większe ilości węglowodorów oraz energię elektryczną pochodzącą z francuskich elektrowni jądrowych, gdyż brytyjskie pokrywają już tylko 15 proc. krajowego zapotrzebowania. Tymczasem Francja również chciała do niedawna zredukować udział energii jądrowej na rzecz OZE, a trwające do początku br. 15-letnie moratorium na inwestycje w sektorze energetyki jądrowej skutkuje tym, że zamiast eksportować swój prąd, kraj ten stał się w tym roku jego importerem i spodziewa się – podobnie jak Wielka Brytania – możliwych przerw w dostawie prądu tej zimy.

Na dodatek Wielka Brytania ma jedne z najmniejszych na całym kontynencie zdolności magazynowania gazu, zabezpieczające zaledwie kilka dni zużycia w okresie zimowym. W 2017 r. zamknięto magazyn gazu odpowiadający za 70 proc. zdolności magazynowych całego kraju. Było to spowodowane decyzją rządu, który odmówił dotowania kosztów jego utrzymania i modernizacji. Jednocześnie przyszłość wydobycia ropy naftowej i gazu na Morzu Północnym stoi pod znakiem zapytania po tym, jak rząd Rishiego Sunaka zwiększył podatek nadzwyczajny dla producentów ropy i gazu. Łączne podatki, które sektor ten płaci w Wielkiej Brytanii, wzrosły tym samym do 75 proc., co jest jedną z najwyższych stawek na świecie.

NIE TYLKO COVID

Co do złego stanu finansów publicznych, podobnie jak w innych krajach, wynika on w dużej mierze z walki z pandemią COVID-19 polegającej na zamykaniu gospodarki i wprowadzaniu surowych lockdownów – w pierwszym roku pandemii jednych z najsurowszych w całej Europie. W 2020 r. gospodarka brytyjska skurczyła się o prawie 10 proc. Był to największy spadek produkcji od roku 1709, kiedy wyjątkowo surowa zima, a następnie katastrofalne powodzie spowodowały spadek produkcji o niemal jedną czwartą. W związku z pomocą finansową dla firm i osób prywatnych, która musiała towarzyszyć zakazowi spotykania się i prowadzenia rozmaitych typów działalności gospodarczej, zadłużenie finansów publicznych skoczyło z 84,4 proc. PKB na koniec 2019 r. do 104,5 proc. PKB 12 miesięcy później!

Ogólnie rzecz ujmując, nie wykorzystano możliwości uwolnienia gospodarki, którego można by się spodziewać po brytyjskich „konserwatystach" i które stwarzał brexit. I choć brexit specjalnie gospodarce brytyjskiej nie zaszkodził, to niestety także nie pomógł, a zaszkodziły źle przemyślana polityka klimatyczna oraz wzorowana na modelu komunistycznych Chin polityka zarządzenia pandemią, którą Borys Johnson aplikował innym, ale nie samemu sobie (skąd jego wymuszona dymisja). Co gorsza, podobnie jak w innych krajach badania prowadzone w tym roku w Wielkiej Brytanii pokazują, że na skutek lockdownów covidowych wciąż wzrasta nadwyżka zgonów niezwiązanych bezpośrednio z COVID. Jednym słowem, widać już wyraźnie, że w ostatecznym rozrachunku lockdowny wprowadzone przez rząd Borisa Johnsona w latach 2020–2021 zabiją najprawdopodobniej więcej osób, niż zabił ich sam wirus. I to nawet bez uwzględnienia żniwa, które zapewne zbierze rosnące ubóstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Inflacja czy Polski Ład?

Co jest bardziej niszczycielskie, bardziej zabójcze dla polskiej przedsiębiorczości – inflacja czy tzw. Polski Ład?

Za kilka lat, kiedy już, miejmy nadzieję, opadnie kurz po tzw. Polskim Ładzie i szalejącej inflacji – w tym głównie monstrualnie rosnących cenach energii i paliw, czyli po dwóch katastrofach, które przetaczają się przez nasz kraj, ktoś zapewne spróbuje oszacować, ile polskich firm upadło z powodu tej pierwszej, a ile z powodu tej drugiej plagi. Ile firm zbankrutowało, ile zostało zamkniętych z powodu tak dużej obniżki rentowności, że nie dawała nadziei na przetrwanie, a ile przetrwało, lecz zostało zmuszonych znacząco ograniczyć swą działalność. A w konsekwencji – ilu ludzi straciło pracę i źródło utrzymania.

Już dziś wiadomo, że będą to liczby wysokie, dużo wyższe od tych z innych okresów III RP, ale też nigdy wcześniej w ciągu ostatnich 30 lat polskich przedsiębiorców nie dotknęło – w dodatku w tak krótkim czasie – tak wiele tak złego. Na domiar w obu tych plagach swój udział ma polski rząd, który za tzw. Polski Ład odpowiada w całości, w 100 proc., a za inflację – za jej skalę – zapewne niewiele mniej niż w połowie.

Innymi słowy: nigdy wcześniej w III RP nie uderzono w polskich przedsiębiorców naraz z tak wielu stron! Rząd zaatakował podwyżką podatków i ich kolejnym, dodatkowym skomplikowaniem, a przy tym niesłychanym bałaganem – bo w końcu z czymże innym, jak nie właśnie z tymi dopustami, może się kojarzyć przedsiębiorcom tzw. Polski Ład? W tym samym czasie uderzyła w nich z nieznaną od ponad 20 lat siłą ogromna i wciąż rosnąca inflacja, zwłaszcza gigantyczny wzrost cen nośników energii i paliw. A wszystko to tuż po dwóch latach spędzonych przez przedsiębiorców w zgotowanej im przez rząd niewoli lockdownów i innego typu ograniczeń wywołanych pozbawionym sensu sposobem toczenia – także przez polskie władze – walki z tzw. pandemią COVID-19.

Wszystko to sprawia, że skala upadłości polskich firm będzie z pewnością spora. Już dziś wiadomo, że w pierwszej połowie 2022 r. do rejestru Centralnej Ewidencji i Informacji Działalności Gospodarczej wpłynęło o blisko 26 proc. więcej wniosków dotyczących zamknięcia działalności gospodarczej niż w takim samym okresie ubiegłego roku, a liczba wniosków o zawieszenie działalności wzrosła o ponad 39 proc. A to przecież dane z pierwszego półrocza bieżącego roku, a więc dotyczące głównie ofiar rządowego tzw. Polskiego Ładu, bo inflacja wówczas dopiero się rozpędzała, dopiero szykowała się do uderzenia.

Jak więc będą wyglądały dane za drugą połowę 2022 r. i za ten cały smutny dla polskich przedsiębiorców rok? No i jak będą wyglądały dane za nie mniej niewesoły rok 2023, a potem – za 2024 r., gdy skumulują się już wszystkie złe czynniki niszczące polską przedsiębiorczość? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zostanie nam skomlenie

Czy da się podjąć decyzję dotyczącą kilkuset milionów ludzi, uderzającą w ich codzienne życie, kosztującą ich biliony euro, wielu z nich wtrącającą w ubóstwo – bez większego szumu, zainteresowania, po cichu, jakby chodziło o budowę nowej drogi albo fundusz dla hodowców kanarków? Wydawałoby się, że nie.

Ceny energii, mieszkań, żywności, wywozu śmieci – praktycznie wszystkiego – zaczną za kilka zaledwie lat osiągać astronomiczne pułapy

A kto z państwa słyszał, że w końcówce 2022 r. Parlament Europejski i Rada UE osiągnęły porozumienie w sprawie ustanowienia systemu ETS II? Większość zrobiłaby wielkie oczy. Obudzą się dopiero wtedy, kiedy ceny energii, mieszkań, żywności, wywozu śmieci – praktycznie wszystkiego – zaczną za kilka zaledwie lat osiągać astronomiczne pułapy. Wtedy może dotrze do nich, że to skutek systemu, na który zgodził się rząd PiS lata wcześniej. ETS II to część fatalnego pakietu „Fit for 55", w ramach którego pozwoleniami na emisję CO_2 mają zostać objęte transport drogowy, morski, lotniczy czy budownictwo. Przedsiębiorstwa stracą dostęp do darmowej puli uprawnień. Firmy zajmujące się gospodarką odpadami będą musiały zacząć raportować emisje. Wszystko to oczywiście w imię „walki o klimat", czyli realizacji klimatystycznej unijnej utopii, opartej na chwiejnych i niepewnych modelach, która w skali globu i tak nic nie da, nawet gdyby założyć, że te modele się nie mylą co do samej natury zjawiska. Co jest bardzo wątpliwe.

Uzgodnieniem ETS II nie pochwalili się ani pan premier, ani pani minister Anna Moskwa. Alarm podnieśli jedynie politycy Solidarnej Polski, po raz kolejny wskazując, że części pakietu „FF55" są uchwalane bez prawa weta wbrew zapisom unijnych traktatów, oraz wskazując, jak niewyobrażalne pieniądze będzie to kosztowało Polskę. Wydaje się to jednak wołaniem na puszczy.

Kiedy czytam, jak demagodzy klimatyzmu kolejny raz grzmią, że tu chodzi o pokolenie naszych dzieci – to tak, zgadzam się całkowicie: tu faktycznie chodzi o pokolenie naszych dzieci. Jeżeli nie chcemy, żeby żyły w biedzie, w świecie bez przyjemności i swobód, gdzie trzeba będzie płacić za – za przeproszeniem – puszczenie nadmiarowego bąka, to powinniśmy zrobić wszystko dla powstrzymania tego wariactwa.

W przeciwnym razie będziemy sobie mogli za jakieś 20–30 lat już tylko wyrecytować końcówkę „Wydrążonych ludzi" Eliota:

Oto jak kończy się świat
Oto jak kończy się świat
Nie z hukiem ale skomleniem. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

Prezydent Przemyśla, Wojciech Bakun, informował, że do jego miasta przybywają zorganizowane transporty kobiet z dziećmi, które z instrukcjami w ręku odwiedzają lokalne oddziały ZUS i MOPS, aby zaraz potem autokarem wrócić na Ukrainę FOT. TOMASZ LINA/EAST NEWS

Socjalturystyka

Jakub Woziński

Hojnie rozdawane w Polsce, Niemczech i innych europejskich krajach zasiłki stały się przyczyną masowej turystyki socjalnej. Bardziej winni niż uprawiający ją Ukraińcy są jednak politycy bezmyślnie dysponujący publicznymi środkami

Położone zaledwie 30 km od granicy z Polską niemieckie miasto Cottbus stało się w ostatnich miesiącach miejscem wyjątkowo często odwiedzanym przez Ukraińców. Nasi wschodni sąsiedzi nie przybywają tam oczywiście, aby delektować się turystycznymi walorami stolicy Dolnych Łużyc, lecz w przeważającej mierze celem ich podróży jest oferta socjalna Republiki Federalnej Niemiec. Jak informują niemieckie media, przez liczące 100 tys. mieszkańców miasto przewinęło się już ponad milion uchodźców. W całym kraju o Cottbus zrobiło się głośno wczesną jesienią, gdy miejscowe władze ogłosiły, że nie są w stanie obsłużyć już większej liczby uchodźców, a rząd musi opracować zdecydowanie bardziej sprawiedliwe zasady ich alokacji pomiędzy poszczególnymi landami. W mieście tym pierwsza wielka fala migracyjna nadeszła już w 2015 r., a obecna jedynie pogłębiła wszystkie dotychczasowe trudności.

NIEMIECKA ZASŁONA MILCZENIA

Problem Cottbus nie polega jedynie na tym, że stanowi największy przystanek na drodze do Berlina i pozostałych aglomeracji leżących w głębi Niemiec. Miasto to stało się przedmiotem tego, co lider CDU Friedrich Merz określił w wywiadzie dla „Bilda" mianem „turystyki socjalnej". Jego słowa rozniosły się szerokim medialnym echem nie tylko po Niemczech, dlatego już następnego dnia polityk odwołał je i przeprosił za swoje zachowanie.

Zanim jednak polityczna poprawność nakazała spuścić na całą sprawę zasłonę milczenia, Niemcy mogli przez moment usłyszeć w mediach głównego nurtu o tym, jak bardzo nadużywana jest przyznana w czerwcu przez rząd możliwość pobierania przez ubiegających się o azyl świadczeń pieniężnych przysługujących normalnie bezrobotnym. Zasiłek Hartz IV wynosi w tym roku 449 euro, a zgodnie z projektem niemieckiego ministerstwa pracy od przyszłego roku ma wzrosnąć do 502 euro.

Do tej pory osoby ubiegające się w Niemczech o azyl miały dużo większe trudności w zakresie ubiegania się o publiczne świadczenia. Jednakże już na początku marca Unia Europejska przyznała osobom z Ukrainy specjalny status, pozwalający im otrzymać zezwolenie na pobyt bez konieczności ubiegania się o azyl. Co jednak najważniejsze, na uchodźców zza naszej wschodniej granicy nie nakłada się wymogu zamieszkania w określonym miejscu, dlatego mogą swobodnie się przemieszczać nie tylko po kraju, w którym otrzymały świadczenie,

eprasa.pl 86d441b100

lecz także po wszystkich krajach wspólnoty, korzystając z dostępu do rynku pracy, opieki medycznej i zasiłków. Dana osoba może tym samym pojawić się w urzędzie pracy w Cottbus, a następnie zamieszkać w Polsce lub Czechach, gdzie koszty życia są zdecydowanie niższe.

Do tej pory kwestia turystyki socjalnej kojarzyła się najmocniej z zasiłkiem na dzieci (kindergeldem) wypłacanym rodzicom z krajów UE pracującym na terytorium Niemiec. Obecnie wydaje się jednak, że skala nadużyć związanych ze środkami przeznaczanymi na rzecz ukraińskich uchodźców może wyznaczyć w tym zakresie zupełnie nowe standardy.

AUTOKAREM PO „500+"

Wściekły atak, który spotkał Friedricha Merza ze strony przedstawicieli wszystkich najważniejszych opcji politycznych, przyczynił się przede wszystkim do tego, że całą sprawę szybko zamieciono pod dywan. Podobnie stało się jednak także w Polsce, w której obowiązujące od końca lutego standardy również nakazują zbiorowe nabieranie wody w usta.

Polskim odpowiednikiem Cottbus w kontekście omawianego tu problemu jest bez wątpienia przygraniczny Przemyśl. Miasto zostało w pamiętny sposób zalane uchodźcami zaraz na początku wojny, lecz od kiedy 1 maja polskie państwo zaczęło przyznawać Ukraińcom świadczenia w ramach programu „500+", lokalne władze zaczęły alarmować, że mają coraz większy problem z socjalnymi turystami. Prezydent Przemyśla, Wojciech Bakun, informował pod koniec września, że do jego miasta przybywają całe zorganizowane transporty kobiet z dziećmi, które z gotowymi instrukcjami w ręku odwiedzają lokalne oddziały ZUS i MOPS, aby zaraz potem autokarem wrócić na Ukrainę.

Na reakcję rządu trzeba było czekać bardzo długo. Mimo że formalnie ZUS oraz wojewodowie i inne organy administracji publicznej otrzymały możliwość pozyskiwania z rejestru Straży Granicznej informacji o każdorazowym przekraczaniu przez uchodźców granicy, skala nadużyć i tak pozostała spora. Prace legislacyjne nad uszczelnieniem systemu pomocy finansowej udzielanej Ukraińcom trwają już od wielu miesięcy, lecz rząd nadal nie zdołał wypracować odpowiednio skutecznych rozwiązań. Dodatkowo, jeśli zimą w wyniku zapaści ukraińskiego systemu energetycznego do Polski znów ruszy wielka fala uchodźców, to przy wypłacie świadczeń może znów zapanować wielki chaos.

Złamane przez prezydenta Przemyśla tabu na temat świadczeń socjalnych przyniosło jednak w Polsce zdecydowanie lepsze rezultaty niż w Niemczech, choć nadal nie udało się zainaugurować poważnej debaty na temat tego, czy zasiłki są najlepszym sposobem, w jaki Polacy mogą pomagać ogarniętym wojną sąsiadom, oraz czy rzeczywiście powinny przysługiwać im w takim, a nie innym wymiarze.

MILIARDY ZŁOTYCH POMOCY

Według różnych wyliczeń Polska wydała na pomoc Ukrainie i przebywającym w Polsce od 20 do nawet 40 mld zł. Oprócz pomocy wojskowej znaczną część tej sumy stanowiły oczywiście kwoty na cele socjalne. Ukraińcy uzyskali dostęp m.in. do programów „500+", Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego, dofinansowania na pobyt dziecka w żłobku, dofinansowania na zakwaterowanie dla goszczących ich Polaków, „Dobry Start" czy też jednorazowych 300 zł przyznawanych w momencie przydzielenia numeru PESEL. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w znacznej liczbie przypadków rodzice z dziećmi mogli tym samym liczyć na uzyskanie kwoty porównywalnej ze świadczeniami Hartz IV finansowanymi przez rząd niemiecki.

W momencie, gdy polskie państwo, nieporównanie biedniejsze niż niemieckie, zaczyna konkurować na wysokość świadczeń socjalnych ze swoim zachodnim sąsiadem, w umysłach rządzących już dawno powinna zapalić się lampka ostrzegawcza. Niestety, jak dotąd jeszcze się to nie wydarzyło. Pomoc uchodźcom z kraju dewastowanego przez Rosję jest oczywiście jak najbardziej zrozumiała (choćby ze względu na nasz własny interes w zatrzymaniu rosyjskiej ekspansji), lecz jej zakres może budzić spore zastrzeżenia.

Do tej pory zjawisko „turystyki socjalnej" służyło zawsze jako klasyczny przykład źle skalibrowanej polityki społecznej. Skoro wypłacane przez państwo świadczenia skłaniają do oszustw sprowadzających się do zorganizowanych wyjazdów po ich uzyskanie, to znaczy, że zostały ustalone na zbyt wysokim poziomie. Przed wybuchem wojny średnia płaca na Ukrainie wynosiła ok. 1,7 tys. zł, co oznacza, że polskie świadczenia są z perspektywy ukraińskiej dużo bardziej atrakcyjne, niż mogłoby się wydawać.

OBCIĄŻENIE DLA GOSPODARKI

Główną odpowiedzialność za to, że część skrzywdzonych przez Rosję uchodźców podejmuje się tego rodzaju działań, ponoszą sami rządzący. Nie sposób bowiem nie zauważyć, że oferując tak rozbudowaną finansową pomoc, chcą przy okazji przyciągnąć do siebie możliwie jak największą część ukraińskiej siły roboczej oraz siły nabywczej ukraińskich konsumentów. W minionych latach Ukraińcy wydawali w Polsce nawet 8 mld zł rocznie. W tym roku jednak, ze zrozumiałych względów, mocno ograniczyli wydatki, a na dodatek wciąż bardzo często przekraczają granicę w obu kierunkach. Nie dochodzi tym samym do skutku zamierzony przez władzę scenariusz skłonienia poprzez transfery socjalne do masowego osiedlenia się uchodźców w Polsce na stałe oraz ich wzmożonej pracy na polski PKB.

Zamiast tego nad wyraz obfite świadczenia dla Ukraińców przyczyniają się w znacznej mierze do pogłębiania problemu rozpasanych wydatków publicznych. Zauważają to zresztą sami Polacy, którzy w badaniach opinii publicznej coraz częściej się domagają, aby uchodźcy partycypowali w kosztach ich utrzymania. Mający coraz większe kłopoty z dyscypliną budżetową i inflacją gabinet Mateusza Morawieckiego nie szczędzi środków, lecz swoją postawą nie przyczynia się wcale do realnego polepszenia statusu materialnego przybyszów, gdyż realna siła nabywcza złotówki nieustannie spada, a obciążona nadmiernym fiskalizmem gospodarka wyraźnie słabnie.

Stwarzanie przez polskie państwo szklarniowych warunków do turystyki socjalnej oparte jest na zasadniczym błędzie, polegającym na uznaniu, że pomoc socjalna stanowi naturalne uzupełnienie pomocy militarnej. W interesie Polski leży oczywiście wspieranie Ukrainy tak, aby Federacja Rosyjska nie graniczyła z nami w okolicach Przemyśla, ale rozdawanie miliardów złotych w formie zasiłków to zjawisko, które powinno zostać jak najszybciej ograniczone, ponieważ może się to fatalnie odbić na kondycji polskiej gospodarki. Bez niej Polska nie będzie zaś w stanie pomóc ani Ukrainie, ani samej sobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Generacja bezpłciowych

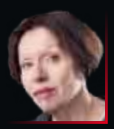

Joanna Bojańczyk

Wykarmieni na mediach społecznościowych mężczyźni z pokolenia Z dyktują styl, ubierając się jak kobiety. Odżegnując się od tradycyjnego wizerunku macho, biją się w piersi za lata władzy rzekomo narzucanej kobietom

To zdjęcie obiegło świat. 19 lipca na festiwalu w Berlinie Brad Pitt promujący film „Bullet Train", w którym gra główną rolę, pokazał się na czerwonym dywanie w brązowej spódnicy odsłaniającej owłosione i wytatuowane łydki, w luźnej marynarce oraz różowej koszuli szczodrze odsłaniającej pierś, na której dyndały naszyjniki. Zapytany, dlaczego jest w spódnicy, 58-letni aktor odpowiedział: „Sam nie wiem. Wszyscy umrzemy, więc poszalejmy trochę".

Gdy w roku 1966 Yves Saint Laurent pokazał damski smoking, wydawało się, że nastąpił przewrót. Wtedy kobietę ubrano jak mężczyznę (w podtekście emancypacji), dzisiaj wszystko się rozhuśtało. Mężczyźni z pokolenia Z, wykarmieni na mediach społecznościowych, dyktują styl, ubierając się jak kobiety. Odżegnują się od tradycyjnego wizerunku macho, samca alfa, biją się w piersi za lata władzy rzekomo narzucanej kobietom. Czy garderoba roku 2022 o angielskich nazwach „no gender", „gender fluid" jest po prostu tylko językową nostryfikacją tego obecnego od dawna w modzie zjawiska?

ZMIĘKCZANIE MĘSKIEGO STYLU

Moda przygotowuje do tego od dawna. Różnica między męskim i damskim leży jeszcze w stronie zapięcia (choć i tu można się pomylić) i w rozmiarze. Ale fason, krój? Od kiedy męskie marynarki stały się wąziutkie w ramionach i w klatce piersiowej, kolorowe, z wzorzystymi podszewkami, dziewczyna będzie w nich wyglądać nie gorzej niż facet. Dopasowane i krótkie sweterki. A spodnie? Gdy kupuję dżinsy, nie pytam, czy są damskie, wybieram tylko odpowiedni fason. Podział damski/męski zatarł się też w butach sportowych. Pumy, nike może nosić każdy – on, ona, dziecko. W męskim dziale generalnie znajduje się dzisiaj to wszystko, co w damskim: biżuteria, szaliki, szale i apaszki, torby.

Zmiękczenie stylu męskiego i jego fuzja z damskim zaczęły się w połowie lat 90. Wtedy nowym zjawiskiem na mapie społecznej Zachodu stali się mężczyźni metroseksualni. Miejscy single, nie geje, lecz hetero, używający kosmetyków, dbający o urodę, modnie ubrani. Na nich nastawiali się handlowcy, dla nich męskie linie uruchomiła większość firm kosmetycznych. Zjawisko to po jakimś czasie spowszedniało i wtopiło

Brad Pitt na festiwalu w Berlinie pokazał się na czerwonym dywanie w brązowej spódnicy odsłaniającej owłosione i wytatuowane łydki

FOT. BEN KRIEMANN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 86d441b100

się w obyczajowość. Ale metroseksualni stali się kamieniem, który uwolnił lawinę. Uruchomili eksplozję męskiej mody, połączoną z jej feminizacją. Przez ostatnią dekadę mężczyzna wyjął koszulę na wierzch, zrzucił krawat, zaczął nosić T-shirt do marynarki, odważył się na różowe koszule, klapki japonki, biżuterię... Polubił torby o fasonach podobnych do damskich. Zaczął nosić biżuterię: bransoletki, naszyjniki, pierścionki. Pozbył się za dużych marynarek, workowatych spodni. Krawat zastąpił barwnym, szerokim szalem. Bardzo wąskie ubrania, które pod koniec lat 90. wylansował Hedi Slimane, męski projektant Diora, przestały być ekstrawagancją, przeszły do głównego nurtu.

Nie tylko Brad Pitt. Na Festiwalu w Wenecji francuski aktor Timothée Chalamet wystąpił w czerwonym kombinezonie projektu Haidera Ackermanna. Ubranie składało się z jedwabnych spodni oraz przodu bez rękawów i z całkiem odkrytymi plecami, jak w damskiej sukni wieczorowej. Ta fotografia także stała się wiralna. Piosenkarz Harry Styles uważa, że mężczyzna jest taką samą kobietą jak wszystkie inne, na dowód czego nie rozstaje się ze swoją małą damską torebką. Na potwierdzenie tego, że czuje się kobietą, Styles (nomen omen) został zaproszony przez markę Gucci do zaprojektowania kolekcji. W reklamie sukni ślubnej nie jest co prawda przekonujący, mimo makijażu i pomalowanych paznokci, ale najważniejsze, że starania były.

Inna postać sceny muzycznej, raper ASAP Rocky, znany z tego, że bijał swoją żonę Rihannę, oraz z upodobania do spódnic, wyznał w wywiadzie: „Kiedy idę po zakupy, żeby znaleźć fajne ciuchy, kieruję się do działu damskiego, bo wiem, że inni faceci nie będą takich mieli. To jest takie punkowe”.

Dla Francuza Ludovica de Saint Sernin, Hiszpana Arturo Obegero łamanie kodów i przekraczanie granic to credo fashion. Anglo-Amerykanin Harris Reed, dyrektor artystyczny Niny Ricci, stawia sprawy bardziej bezkompromisowo. Dwudziestosześciolatek oświadcza, że będzie walczył jak lew „o piękno płynności płci”... „Moda ma wielką rolę do spełnienia w tej walce – deklaruje na Instagramie. Trzeba ludzkość skierować w stronę większej wolności i ekspresji”.

„Ludwik XIV nosił buty na obcasie, jedwabne spódnice, bufiaste rękawy, koronkowe żaboty, wstążki. Dopiero XIX w. uczynił mężczyznę częścią maszynerii kapitalizmu i wbił go w ciemne ubrania. Wtedy z męskiej garderoby znikło wszystko, co było jej upiększeniem. Dzisiaj mężczyzna powoli odnajduje swój historyczny aparat” – mówi tygodnikowi „Paris Match” Thomas Zylberman. I aby dodać słowom powagi, cytuje Kanta: „Rodzaj ludzki zawsze się rozwijał i tak też będzie w przyszłości”.

MOJE CIAŁO, MÓJ WYBÓR

Jeszcze niedawno celebrytka Kardashian prezentowała w mediach posunięte do absurdalnej niemożliwości proporcje ciała. Usunięte żebra, talia osy i ogromnych rozmiarów pupa miały być obrazem kobiecości idealnej. Dzisiaj coś takiego byłoby zniewagą. Dzisiaj ciało nie ma być czymś jednoznacznie męskim lub kobiecym ani też tym, co otrzymujemy w chwili urodzenia. Płeć to przedmiot wyboru. Witamy w świecie płynności.

„Stereotyp” płci, zdawałoby się najbardziej niepodważalny i najtrudniejszy do obalenia, zaczyna się chwiać

Pogląd ten znajduje zwolenników wśród socjologów. „Liczy się, aby należeć do najbardziej pożądanej kategorii społecznej. Płynność oznacza, że niczego nie ustala się na stałe. Tożsamość jest sytuacyjna i może zmieniać się wraz pojawianiem się doświadczeń życiowych” – powiedział francuskiemu dziennikowi „Le Figaro” Bernard Andrieu, filozof i socjolog, autor książki: „Etre vif, être à vif” („Być żywym, być na żywo”).

Biznes podąża za tymi deklaracjami, nawet jeśli czyni to z wahaniem i nawet jeśli koliduje to z tradycją marki. Trudno będzie francuskim i włoskim domom mody, które opierały się na promowaniu kobiecości, teraz nagle odwrócić się od tego. Ale moda to domena młodych, duch czasu jest jej pierwszym przewodnikiem. Konglomeraty, do których należą stare marki, mają tylko jedno sacrum: sprzedaż. Na razie w ubraniach wysokich marek przewrót jeszcze nie nastąpił na dobre, zmianę widać tylko w kosmetykach. Valentino włącza do swoich kolekcji „różnorodność najszerzej pojmowaną”, jak deklaruje marka. Na początek perfumy: „For her, for him, for them”... Perfumy Calvina Kleina to już klasyka lat 90.

TRZECIA „PŁEĆ”

Podważaniu istnienia biologicznej płci sprzyjają nagłaśniane w mediach przypadki „transpłciowości” w sferach artystycznych i wysokiego biznesu. Można odnieść wrażenie, że zmiana płci jest czymś modnym. Urodzona jako chłopiec Xavier Alexander, transpłciowa córka Elona Muska, wystąpiła z wnioskiem do władz Kalifornii o zmianę nazwiska. Teraz będzie się nazywała Vivian Jenna Wilson. Wśród gromadki dzieci Angeliny Jolie i Brada Pitta przypadki transgender są aż dwa. Angelina urodziła się jako chłopiec, jednak identyfikuje się jako dziewczynka. Urodzona w 2006 r. Shiloh, córka aktorskiej pary, początkowo była dziewczynką, ale zdecydowała, że czuje się chłopcem. Rodzice wspierają dzieci w ich decyzjach, a ich matka stała się obrończynią praw osób transpłciowych.

Uniseks – trzecią „płeć” – moda zaczęła wprowadzać w życie, zanim ktokolwiek usłyszał słowo „gender”.

Proces zacierania się różnic trwa od początku XX w. nieprzerwanie, choć w tempie nierównomiernym. W ostatnich dwóch dekadach się nasilił. Teren przygotowują kampanie reklamowe i magazyny mody, które raz po raz testują odporność widza na podważanie „stereotypów”. Stereotyp płci, zdawałoby się najbardziej niepodważalny i najtrudniejszy do obalenia, zaczyna się chwiać. Okładki i strony pism zaludniają dziewczyny z krótkimi włosami, wąskimi biodrami, bez biustów oraz długowłosi chłopcy o wąskich ramionach, pozbawieni muskulatury i owłosienia na klatce piersiowej. Jedni i drudzy podobnie ubrani, o podobnym łagodnym i nieobecnym wyrazie twarzy. Już w roku 1994, oglądając reklamę perfum CK One Calvina Kleina, miało się wrażenie, że mamy do czynienia z jedną tylko płcią. Potem na naszych oczach odbywała się konfuzja wyróżników i cech, które tradycyjnie definiowały role i ciało. Pojęcia „mężczyzna” i „kobieta” krzyżowały się ze sobą. Zmodyfikowano również tradycyjną rolę mężczyzny i kobiety. Słaba płeć? Nie, to obie płcie są słabe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 86d441b100

Fundusz Górnośląski S.A. stawia na ekspansję

Fundusz Górnośląski S.A. wspiera rozwój sektora małych i średnich przedsiębiorstw na wielu płaszczyznach. Oprócz bezpośredniego wsparcia finansowego w postaci pożyczek inwestycyjnych i obrotowych spółka pomaga przedsiębiorcom w poszukiwaniu nowych obszarów inwestycji i rozwoju poza granicami rynku krajowego

W 2022 r. w ramach rozwijającej się współpracy międzynarodowej dla przedsiębiorców zostało udostępnione Centrum Internacjonalizacji w Katowicach oraz Regionalne Biuro Województwa Śląskiego w Abu Dhabi, będące realnym i bezpośrednim wsparciem przedsiębiorców w ekspansji na rynki Bliskiego Wschodu.

CENTRUM INTERNACJONALIZACJI W KATOWICACH

To unikalny ośrodek na skalę kraju, skoncentrowany na rozwoju, badaniach i wspieraniu internacjonalizacji. Jest to nowoczesne zaplecze składające się z sal biznesowych, wystawienniczych oraz konferencyjnych, z których będą mogli korzystać śląscy eksporterzy. W Centrum świadczone są usługi eksperckie dla MŚP zainteresowanych tematyką eksportu oraz handlu zagranicznego – zarówno w ramach UE, jak i poza wspólnotą. W ramach działalności Centrum prowadzone są bezpłatne szkolenia, a także świadczone są indywidualne usługi doradcze.

Oficjalne otwarcie rozpoczęto od symbolicznego przecięcia wstęgi. Następnie odbył się briefing prasowy z udziałem Jakuba Chełstowskiego

eprasa.pl 86d441b100

– marszałka województwa śląskiego, Jacka Mikety i Łukasza Oprawskiego – wiceprezesów Zarządu Funduszu Górnośląskiego SA oraz Tomasza Zjawionego – prezesa Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach.

W czasie wystąpień podkreślono istotną rolę, jaką odgrywać będzie Centrum Internacjonalizacji, realizując strategię województwa śląskiego we wzmocnieniu oraz rozwoju śląskich przedsiębiorstw otwierających się na rynki zagraniczne. Działania te mają również na celu promocję aglomeracji województwa śląskiego za granicą pod względem nawiązywania trwałych relacji biznesowych z zagranicznym kapitałem.

Obecnie trwają prace nad drugim etapem, który obejmuje elewację budynku, budowę łącznika (z multimedialną salą konferencyjną, salami biznesowymi oraz częścią wystawienniczą), a także elewację budynku oraz roboty związane z zagospodarowaniem terenu wokół budynku. Zakończenie prac II etapu zaplanowano na koniec II kwartału 2023 r.

REPRESENTATIVE OFFICE OF SILESIA IN ABU DHABI

24 listopada 2022 r. miało miejsce uroczyste otwarcie Regionalnego Biura Województwa Śląskiego w Abu Dhabi, tj. przedstawicielstwa Funduszu Górnośląskiego S.A. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, które będzie jednocześnie pełniło funkcję hubu biznesowego regionu w najszybciej rozwijającym się środowisku biznesowym w wymiarze globalnym.

Otwarcie nastąpiło podczas Polsko-Emirackiego Forum Gospodarczego, które odbyło się w trakcie zintegrowanej misji gospodarczej i wyjazdu studyjnego do Abu Dhabi, która miała miejsce w dniach 21–25 listopada 2022 r. Celem Forum była prezentacja potencjału firm oraz nawiązanie nowych kontaktów biznesowych z partnerami ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Forum połączyło przedsiębiorców działających w branżach związanych z sektorem energetyki, IT/ICT, przemysłem 4.0 oraz odnawialnymi źródłami energii, w celu wypracowania wspólnej przestrzeni działania i nawiązania relacji na rynku emirackim.

W wydarzeniu udział wzięli również JE ambasador RP w Abu Dhabi Jakub Sławek, prezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu Krzysztof Drynda, prezes Specjalnej Katowickiej Strefy Ekonomicznej Janusz Michałek, prezes Jastrzębskiej Spółki Węglowej Tomasz Cudny, wiceprezes Metropolii GZM Henryk Borczyk oraz przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP, Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach i Instytutu Kościuszki.

Uruchomienie biura było możliwe dzięki ścisłej współpracy z Abu Dhabi Department of Economic Development, które podczas Forum reprezentowali HE Rashed Abdulkareem Al Balooshi oraz HE Sameh Al Qubasi. Natomiast gościem honorowym Forum był HE Thani bin Ahmed Al Zeyoudi – minister stanu ds. handlu zagranicznego Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Nowo powstałe biuro podkreśla naszą otwartość w ramach procesu internacjonalizacji śląskich przedsiębiorstw oraz realny wkład w budowanie mocnej marki narodowej na rynkach Bliskiego Wschodu.

W ramach rozwijania współpracy w Abu Dhabi świadczone są usługi doradcze. Maciej Białko, jako doradca zagraniczny posiadający bogate doświadczenie w działalności na rynku Zjednoczonych Emiratów Arabskich, udziela śląskim przedsiębiorcom bezpośredniego wsparcia, m.in. w zakresie poszukiwania i weryfikacji partnerów biznesowych czy konsultacji prawno-formalnych dotyczących rozpoczęcia działalności w ZEA.

Misje gospodarcze i wyjazdy studyjne są jednym z elementów projektów proeksportowych realizowanych przez Spółkę, mających na celu wsparcie przedsiębiorców sektora MŚP z województwa śląskiego w rozwoju działalności eksportowej.

– Szczególnie wartościowe okazują się zagraniczne misje gospodarcze, które przynoszą wymierne efekty w rozwoju procesów internacjonalizacji przedsiębiorstw, dzięki dywersyfikacji rynków zbytu produktów i usług oferowanych przez śląskie MŚP. W trakcie misji, a w szczególności spotkań B2B, przedsiębiorcy mają szansę na nawiązanie nowych kontaktów biznesowych – powiedział Jacek Miketa.

Realnymi efektami misji są m.in. przedstawicielstwa śląskich przedsiębiorstw w Gruzji, Chorwacji i Dubaju, udział firm w zagranicznych przetargach w Gruzji, Chorwacji i Tunezji, wspólne konsorcja śląskich przedsiębiorstw z firmami funkcjonującymi na rynku arabskim czy nawiązanie współpracy w ramach wymiany know-how oraz transferu technologii i innowacyjności śląskich przedsiębiorstw w Dubaju oraz we Francji.

– Fundusz Górnośląski wspiera działania władz województwa śląskiego i śląskich przedsiębiorców w jak najlepszym wykorzystaniu udziału w takich wydarzeniach oraz w promocji regionu i naszego potencjału gospodarczego. W każdym momencie przedsiębiorcy mogą liczyć na nasze wsparcie i pomoc w rozwijaniu swojego biznesu, ponieważ każda nawiązana współpraca jest dla nas kolejnym, realnym sukcesem w działaniach na rzecz rozwoju gospodarczego Śląska – dodał wiceprezes Zarządu Funduszu Górnośląskiego.

Więcej informacji o projektach realizowanych z udziałem Funduszu Górnośląskiego można znaleźć na stronach: www.fgsa.pl oraz www.intersilesia.eu.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 86d441b100

TEST „DO RZECZY": HUAWEI WATCH D

Świetna jakość wykonania, przydatne funkcje zdrowotne, ocena jakości snu, dokładny czujnik tętna, szybki pomiar EKG oraz możliwość zmierzenia ciśnienia – to największe zalety smartwatcha chińskiej firmy Huawei.

To nie jest tradycyjny smartwatch. Testowanemu urządzeniu bliżej do mobilnego ciśnieniomierza. I chociaż nie zastąpi jeszcze profesjonalnych urządzeń medycznych, to wskazania pulsometru są już wyjątkowo dokładne, a i pomiary ciśnienia od tych dokonywanych przez duże stacjonarne odpowiedniki podczas redakcyjnego testu różniły się przeważnie zaledwie o kilka procent. Według zapewnień Huawei algorytm TruBP umożliwia wykonywanie pomiarów z marginesem błędu w granicach plus minus 3 mm Hg. To ważna zaleta dla tych, którzy cierpią na choroby serca, bo zegarek można zawsze mieć przy sobie. Smartwatch dokonuje pomiaru ciśnienia, wykorzystując umieszczoną pod paskiem niewielką podłużną poduszkę, która napełnia się powietrzem tak samo jak w przypadku pomiarów stacjonarnym ciśnieniomierzem. Zegarek i bezpłatna aplikacja na smartfona mogą również przypominać o regularnych pomiarach, rejestrować, kiedy ciśnienie było zbyt wysokie lub zbyt niskie, oraz alarmować w przypadku wykrycia arytmii lub migotania przedsionków. Oczywiście nie jest to profesjonalna lekarska diagnoza, ale może pomóc w ocenie kondycji serca, a w niektórych przypadkach być może nawet uratować komuś życie. Nie wykona jednak pracy za użytkownika – jeśli więc zegarek ostrzega, że ciśnienie jest o wiele za wysokie, trzeba zrobić coś, aby je szybko obniżyć...

Jak na inteligentny zegarek przystało, testowany model nie tylko mierzy ciśnienie i tętno, sprawdza poziom natlenienia krwi czy umożliwia zrobienie orientacyjnego EKG, lecz także monitoruje sen i poziom stresu, a także oferuje ponad 70 trybów sportowych (w tym programy dla miłośników pływania zarówno na basenie, jak i na akwenach otwartych). Zegarek może więc proponować plany treningowe, co może się przydać zarówno dla tych biegaczy, którzy przygotowują się do pobicia życiowego rekordu na 10 km, jak i tych, których marzeniem jest przebiegnięcie maratonu.

Po stronie plusów trzeba wpisać wodoszczelność IP68, dokładny GPS, a także świetny wyświetlacz AMOLED o wielkości 1,64 cala i rozdzielczości 456 x 280. Kolory są bardzo ładne, a zakres jasności odpowiedni, aby z powodzeniem móc używać tego zegarka zarówno w sypialni po zmroku, jak i podczas jazdy na nartach w bardzo słoneczny dzień.

Na pochwałę zasługuje także akumulator o pojemności 451 mAh. Na jednym ładowaniu testowany Watch D bez trudu wytrzymuje ponad tydzień. Zegarek współpracuje ze smartfonami z systemami HarmonyOS, a także Android i iOS.

Wady? Pierwszy minus: ten smartwatch zapewne nie wszystkim przypadnie do gustu (w redakcji niektórym bardzo się podoba, a innym nie podoba się wcale). Krytykom testowany smartwatch może się wydać toporny (choć waży tylko 40,9 g). Trzeba przyznać, że konstruktorzy tego zegarka zapewne na pierwszym miejscu stawiali funkcjonalność, a nie wzornictwo, ale zarówno jakość wykonania, jak i jakość użytych materiałów (koperta jest wykonana z włókna polimerowego, a dolna część obudowy ze szkła szafirowego) nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że mamy na nadgarstku urządzenie klasy premium. Drugi minus: brakuje możliwości wgrania na zegarek ulubionych utworów i wybiegnięcia w trasę bez smartfona (oczywiście za pomocą testowanego smartwatcha można jednak kontrolować odtwarzacz muzyki w telefonie). Dla wielu wadą może być dość wysoka cena. Za testowany zegarek trzeba zapłacić 1799 zł. Stosunek ceny do oferowanych funkcji jest jednak bardzo dobry. ©℗

Jacek Przybylski

FUTURYSTYCZNA KAPSUŁA DLA GRACZY

Orb X. Tak nazywa się nowe stanowisko dla graczy, które wygląda niczym połączenie luksusowego fotela gamingowego z kosmiczną kapsułą. Wielki gadżet opracowany przez firmę Cooler Master daje ogromne możliwości dostosowania kapsuły do własnych upodobań. Można więc nie tylko ustawić pod siebie luksusowy fotel (z regulacją odcinka lędźwiowego i zagłówka), lecz także sterować ustawieniem składanego dachu czy dostosować oświetlenie RGB. Głośniki stereo – podobnie jak uchwyt na napoje – są już wbudowane w konstrukcję. Specjalny wieszak pozwala z kolei zamontować jednocześnie do trzech monitorów gamingowych o przekątnej 27 cali lub jeden monitor o przekątnej 32 cali. Przedsprzedaż kapsuły ma ruszyć wkrótce. Ceny jeszcze nie ujawniono.

LATAJĄCY „KIJEK DO SELFIE"

PhoneQuad to propozycja dla tych, którzy zamiast siedzieć w domu przed telewizorem (lub w kapsule), wolą zdobywać świat i robić efektowne zdjęcia z różnych miejsc świata. Aby zrobić sobie zdjęcie z góry, np. z widokiem na jakąś słynną zatokę, można wziąć ze sobą drona z wbudowanym aparatem lub np. PhoneQuada. Latające etui na smartfon (może iPhone lub telefon z Androidem na pokładzie) to coś pomiędzy drogim dronem a popularnym kijkiem do selfie. Urządzenie może latać za właścicielem, robić mu zdjęcia z wakacji, urodzin czy noworocznej imprezy. Cena na jednym z portali crowdfundingowych wynosi 657 zł. Przewidywana data wysyłki to niestety dopiero listopad 2023 r. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 86d441b100

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Ujście kapituluje pierwsze

Ujście położone w północnej części Wielkopolski, u zbiegu Noteci i Gwdy, to jedna z najstarszych wielkopolskich osad. Wzmiankowane jest przez Galla Anonima w czasie walk Bolesława Krzywoustego z Pomorzanami, gdyż było to strategiczne miejsce strzegące dostępu do północnej części domeny Piastów. Niegdyś istniał tutaj zamek, jednak – jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" – już przed 1773 r. zmienił się w ruinę i został rozebrany.

Z historii I Rzeczypospolitej znane jest jako miejsce hańby, gdzie 25 lipca 1655 r. skapitulowało pospolite ruszenie wsparte oddziałami piechoty łanowej, wydając Arwidowi Wittenbergowi Wielkopolskę i przyjmując władzę króla Szwecji Karola X Gustawa. Właśnie – czy była to hańba i czy szlachta rzeczywiście poddała się bez walki? Jak zwykle źródła historyczne odbiegają od powszechnych wyobrażeń. W każdym razie wobec groźby wojny obronę Wielkopolski powierzono podskarbiemu koronnemu Bogusławowi Leszczyńskiemu, który jednak czując pismo nosem, wymówił się chorobą. Pospolitym ruszeniem, którego zebrano ok. 15 tys., dowodzili więc wojewodowie: poznański Krzysztof Opaliński i kaliski Andrzej Grudziński. Żaden z nich nie miał doświadczenia jako dowódca; znacznie więcej wiedzy od nich posiadał Władysław Skoraszewski, starszy nad gnieźnieńską piechotą łanową, której zebrano z kilku powiatów prawdopodobnie do tysiąca ludzi.

RYS. ODA

Oddziały te zajęły pozycje pod Ujściem, którego położenie umożliwiało zatrzymanie nawet o wiele liczniejszej armii. Jednak pod warunkiem, że obrońcy dysponowaliby doświadczonym żołnierzem i artylerią. Tymczasem tej w obozie polskim praktycznie nie było, a wszystkie oddziały stanowiły siły pospolitego ruszenia, które w dodatku nie było tak wyćwiczone w walce jak pochodzące ze Wschodu – z Rusi Czerwonej, Wołynia czy Ukrainy. Tymczasem Wittenberg prowadził ok. 17 tys. żołnierzy szwedzkich, w większości weteranów z zakończonej niedawno wojny trzydziestoletniej, i ok. 70 dział.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pomimo dużej dysproporcji sił oddziały Opalińskiego przygotowały obronną pozycję, której wartość należy ocenić wysoko. Główny obóz znajdował się pod miasteczkiem, mniej więcej w okolicy dzisiejszej wieży widokowej. W pobliżu ujścia Gwdy do Noteci usypano pierwszy z szańców obsadzonych piechotą łanową. Natomiast główny usypany został na północ od Gwdy, w miejscu, które przecina droga nr 11, przy pozostałości starorzecza. Bronił go wojewoda kaliski Grudziński z piechotą i sześcioma działami. Pomniejszy szańczyk usypany był na północny wschód od Ujścia, pod Dziembowem, blokując drogę przez bagna.

Wittenberg, który kilkakrotnie przysyłał listy z wezwaniem do poddania się, 24 lipca zaatakował główną pozycję Grudzińskiego. Nie mogąc sforsować bagien i błot pod lufami wroga, rozpoczął ostrzał i walkę ogniową, która trwała ok. pięciu godzin. Piechota łanowa, chociaż niedawno zaciągnięta, wytrzymała nawałę; wsparta luźną czeladzią pospolitego ruszenia odrzuciła wszystkie napady ogniowe Szwedów. Kryzys nastąpił gdzie indziej – zaczynało brakować prochu, zwłaszcza do dział. Nie wiadomo też, czy wojewodowie i podskarbi nie dopuścili się malwersacji środków. W tej sytuacji nie wytrzymał psychicznie Grudziński i opuścił szaniec. Wówczas Wittenberg otworzył ogień do oddziałów pospolitego ruszenia stojących na szczytach doliny Noteci i zmusił je do wycofania się. Jednak Szwedzi poniechali zajęcia szańców z powodu trudnego terenu i możliwości zasadzki. Aby wyprowadzić wojsko z impasu, Wittenberg wysłał pod wieczór część jazdy, aby przełamała pozycje polskie pod Dziembowem, obeszła obóz pospolitego ruszenia i zaatakowała go, biorąc Opalińskiego i Grudzińskiego w kleszcze. Dopiero ten manewr wywołał panikę, która okazała się nie do opanowania przez niedoświadczonych dowódców. Pomogła też protekcja przebywającego przy wojsku szwedzkim Hieronima Radziejowskiego, który pośredniczył w rozmowach. Ostatecznie 25 lipca między godzinami 12 a 14 województwa poznańskie i kaliskie poddały się pod protekcję króla Szwecji.

Jak można oceniać ten traktat? Na pewno nie była to tak podła zdrada jak Janusza Radziwiłła. Ani Opaliński, ani Grudziński nie wykroili sobie z ziem Wielkopolski udzielnych księstw, przeszli na stronę wroga dopiero po stoczeniu walki, której wygrać pozostającymi w ich dyspozycji siłami nie mogli. Gdyby pod Ujściem znajdowało się przynajmniej 2 tys. piechoty niemieckiej z liczną artylerią i dużym zapasem prochu, Wittenberg musiałby przełamywać obronę polską w krwawych walkach. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jaki Nowy Rok, taki cały rok

Tradycje noworoczne sięgają czasów starożytnych, kiedy to posługiwano się kalendarzem juliańskim wprowadzonym przez Juliusza Cezara. Ustalił on 1 stycznia jako początek każdego roku. Obecnie posługujemy się kalendarzem gregoriańskim, w którym Nowy Rok przypada dokładnie tak samo, a noc poprzedzająca to wieczór sylwestrowy.

Wszyscy ci, którzy w sylwestrowy wieczór postanowili pozostać w domu i będą przygotowywać kolację dla rodziny lub przyjaciół, zastanawiają się zapewne, co przygotować. Wychowywałyśmy się na Górnym Śląsku, a – jak wiadomo – Ślązaczki słyną z tego, że są oszczędnymi gospodyniami i bardzo mało w kuchni śląskiej gospodyni trafia do kosza. Nauczone doświadczeniem w naszym domu wykorzystujemy zawsze do końca to, co zostało już kupione. Ważne jest, żeby w ten wieczór zadbać o to, aby na naszym stole znalazło się coś wyjątkowego. I wcale nie chodzi o to, aby stół uginał się od liczby potraw, raczej o to, aby potrawy miały smak i były starannie, ładnie podane.

Wykorzystajmy więc to, co nam jeszcze pozostało ze świąt. Może suszone grzyby? Może mak? A może zamroziliśmy kapustę z grzybami? My proponujemy tartę na kruchym spodzie z kapustą i grzybami. Możemy do tego wykorzystać gotowe ciasto francuskie. Można też zrobić paszteciki drożdżowe z kapustą i grzybami – idealne do barszczu.

FOT. ADOBE STOCK

Jeśli została nam chociaż jedna paczuszka grzybów suszonych, to proponujemy, aby przygotować na gorąco polędwiczki wieprzowe w sosie grzybowo-śmietanowym. Z maku, który pozostał nam z pieczenia ciast świątecznych, możemy przyrządzić nadzienie do delikatnych pierogów. Polane masłem, posypane cukrem i zjedzone w noc sylwestrową przyniosą nam oniryczną aurę, w której zbledną codzienne sprawy i kłopoty, a odświętny nastrój sprawi, że z odwagą i nadzieją spojrzymy w nowy 2023 r.

Polędwiczki wieprzowe w sosie grzybowym

• polędwiczka wieprzowa – ok. 500 g • po łyżce soli, pieprzu i czerwonej papryki • 2 łyżki oleju • 1 cała duża cebula, najlepiej cukrowa • 30 g grzybów suszonych namoczonych i podgotowanych przez ok. 30 min • 4 duże łyżki sosu sojowego • ½ kubka śmietanki 30-procentowej • garść orzechów włoskich, posiekanych i natka pietruszki

Polędwiczkę wieprzową kroimy na plastry ok. 1 cm, delikatnie możemy roztłuc na cieńsze plastry, przyprawiamy solą i pieprzem oraz papryką słodką. Na dużej patelni podgrzewamy dwie łyżki oleju, podsmażamy pokrojoną w piórka cebulę ok. 5 min, dodajemy pokrojone mięso, sos sojowy, a następnie pokrojone na małe kawałki i podgotowane suszone grzyby. Wszystko razem dusimy pod przykryciem, po jakimś czasie (ok. 40 min) dolewamy wywar z grzybów i na koniec słodką śmietankę. Czekamy, aż sos się zredukuje i zgęstnieje. Na koniec posypujemy świeżą natką i orzechami włoskimi. Polędwiczki podajemy z pieczonymi ziemniakami i ze świeżą sałatą. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Misiaczki sado-maso

Zepsuję pastoralny nastrój Bożego Narodzenia, ale może właśnie teraz powinno się napisać o tej sprawie, a nie za bardzo widzę w naszych mediach, kto byłby chętny. Sprawa jest wyjątkowo paskudna.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marka Balenciaga jest w Polsce znana, jak sądzę, głównie bywalcom portali plotkarskich, gdzie lansują się co zamożniejsi celebryci. Ci, których stać na galanterię lub buty oznaczone modnym obecnie napisem. Menedżerowie firmy Kering zacierają ręce, bo pseudoluksusowa masówka z logo Balenciagi sprzedaje się świetnie. Mogę sobie więc wyobrazić dobry nastrój, który panował w firmie, gdy zatwierdzano jej najnowszą, mającą się ukazać przed świętami reklamę.

Na jednym obrazku przedstawiającym kolekcję wiosenną 2023 widać torebki w kształcie misiów ubranych w stroje sado-maso. Na innym Nicole Kidman i Isabelle Huppert siedzą w nowojorskim biurze Balenciagi, ich torebki po 2 tys. euro leżą na dokumentach amerykańskiego Sądu Najwyższego, które dotyczą seksualnego wykorzystywania dzieci. Na innym na drugim planie widać dyplom z nazwiskiem Johna Philippe'a Fishera, człowieka skazanego za kazirodztwo. Na jeszcze innym Isabelle Huppert pozuje z książką belgijskiego artysty Michaëla Borremansa, który specjalizuje się w portretowaniu nagich dzieci. Dostrzeże to bystre oko, mniej bystre mogłoby przeoczyć, ale przecież nie to było celem twórców obrazka… W branży reklamowej, a nawet poza nią, wiadomo, że zatwierdzanie każdej reklamy to drobiazgowa analiza każdego przecinka, każdego włosa modelki. A jednak ta reklama przeszła i nikt nie przewidział skutków.

To nie przypadek, nie pomyłka. To coś bezdyskusyjnie odrażającego i precyzyjnie obmyślonego. Można się tylko zastanowić, w jakim świecie żyją panowie (i panie) od mody, że dali temu swój placet.

Dyrektor artystyczny Balenciagi, Demna Gvasalia, urodził się w Gruzji, uciekł na Ukrainę, potem do Rosji. Markę swoją zbudował na prowokacji. Na ostatnim pokazie, który odbył się już w czasie inwazji Rosji na Ukrainę, modelki na pokazie uciekały, walcząc niby z burzą, trzymając w plastikowych torbach (oczywiście z napisem Balenciaga) resztki ocalałego mienia… Ten niesmaczny występ był, jak się okazało, tylko wstępem do prawdziwego walnięcia z armat. Obscenicznej, cynicznej kokieterii wobec jednego z najobrzydliwszych występków: pornografii dziecięcej.

Potem nastąpiło to, co zawsze: przeprosiny, tłumaczenia, odebranie Gvasalii ważnej nagrody, obietnica ukarania winnych. Ciekawa jestem, czy panie Kidman i Huppert wiedziały, w czym biorą udział. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Cud-sztafeta

Wielkie dni nastały. 7 grudnia Chiny ogłosiły, że rezygnują z polityki zero-COVID, tydzień później, że wprowadzają zasadę niewykazywania w statystykach wyników pozytywnych testów wobec osób bezobjawowych. I nagle, tak jak wcześniej w Polsce, zbito termometr i niby-gorączka zniknęła. To oznacza kilka rzeczy.

Po pierwsze, koniec religii zero-COVID, której Pekin był Watykanem. Chodziło w niej o to, że walczymy z wirusem do końca jego albo kraju, który z nim walczy. W ramach religii miano wyeliminować wirusa do zera przypadków, a więc zaprzestano leczenia, tylko skupiono się na przerwaniu transmisji i izolowaniu ludności.

Do takiego młyna wpadało się po każdym pozytywnym teście. Nawet jak byłeś bezobjawowy. Nic to – lądujesz w specjalnym ośrodku, gdzie siedzisz (najczęściej bezobjawowy) z innymi (najczęściej bezobjawowymi). Przy fałszywie pozytywnych testach (ponad 60 proc.) lądujesz zdrowy w masowej kwarantannie i dopiero tam zakażasz się koronawirusem. Wyjdziesz, jak cię stestują na wynik negatywny, co przy takiej „wymianie" wirusa jest z biegiem czasu coraz mniej prawdopodobne.

W ten sposób przy takiej sztucznej produkcji pandemii wywoływano w Chinach miejscowe fale (w skali Chin obejmujące często kilkaset milionów ludzi), zamykano wielomilionowe miasta, wszystkich z negatywnym testem na kwarantannach po domach, często bez jedzenia i picia. Testowanych minimum raz dziennie. I jak maszyna losująca wyrzuciła, żeś pozytywny, to już z podwórkowego testu nie wracałeś do domu, tylko zabierali cię do ośrodka dla takich jak ty, gdzie przecież cię nie leczono. Bo czym?

To dobrze, że to się kończy, bo ten przykład, tak jak wcześniejsza strategia lockdownów, izolacji i kwarantann, był już aplikowany w kilku krajach. Po trzech pozytywnych testach zamknięto w Australii dwuipółmilionowe Brisbane, a w Austrii zalecano chodzić w maseczce po domu. To było jak walka o dojście do horyzontu. Ciągle się oddalał.

Dzięki temu krokowi – a jeszcze nie tak dawno na zjeździe chińskich komunistów obiecywano kontynuację religii zero-COVID – możemy zajrzeć do chińskich statystyk. Chińskie raporty stanęły bowiem 17 lutego 2020 r., mniej więcej wtedy, kiedy szaleństwo covidowe przeszło na resztę świata. Jakby nam Chińczycy przekazali pałeczkę w jakiejś śmiercionośnej sztafecie. Co pokazują nowo odkryte statystyki?

Wyszło, że w ciągu tysiąca dni pandemii zmarło na COVID (a raczej z COVID) łącznie 5235 osób, co daje ok. pięciu osób dziennie, podczas gdy dziennie w Chinach umiera średnio 27 397 osób. Czyli mamy pięć osób zmarłych z powodu COVID na ponad 27 tys. Taka to była ta pandemia. W kraju, od którego się wszystko zaczęło. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

(Nie)wiedza medyczna

Nie daje mi spokoju pytanie, jak rozumieć zarzut, że czyjeś opinie lub stwierdzenia są nienaukowe. Że są niezgodne z wiedzą medyczną. Oskarżenie dotyczy grupy lekarzy, którzy mają rzetelne wykształcenie, praktykę zawodową i często publikacje w fachowych pismach. A co najważniejsze, ich „nienaukowe i niezgodne z wiedzą medyczną" opinie potwierdziły się w praktyce.

Na przykład prof. Rutkowski podważał sens noszenia maseczek, uznając taką ochronę za wątpliwą. Wskazywał szkody, które wiążą się z zasłanianiem ust i nosa: utrudnione oddychanie, niemożność utrzymania odpowiedniej sterylności, infekcje bakteryjne, w końcu – problemy psychologiczne, a także problemy komunikacyjne niedosłyszących, posługujących się językiem migowym. Za te stwierdzenia prof. Rutkowski – ekspert, alergolog – będzie sądzony przez sądy lekarskie w Poznaniu i Białymstoku. Inny przykład: dr Paweł Basiukiewicz opisywał absurdalność zamykania „chorych bezobjawowych", krytykował izolacje, śledzenie kontaktów i kierowanie zdrowych ludzi, w tym np. lekarzy i pracowników medycznych, na kwarantanny, co demolowało system opieki zdrowotnej. Choć domagał się przedstawienia naukowych dowodów, że lockdown przynosi pozytywne skutki, to nigdy ich nie otrzymał. Teraz będzie sądzony przez sąd lekarski w Poznaniu.

To ledwie dwa przykłady z ponad setki lekarzy, którzy rzekomo wypowiadają się „nienaukowo", a ich opinie „są sprzeczne z aktualną wiedzą medyczną". A więc czym jest ta „wiedza medyczna" i jak ocenić czyjeś poglądy za „zgodne z nauką lub nie"? Sprawa jest poważna, bo stawką jest z jednej strony życie pacjentów, a z drugiej – groźba utraty prawa wykonywania zawodu lekarza.

I nagle: eureka! Znalazłem odpowiedź w wywiadzie byłego rzecznika odpowiedzialności zawodowej NIL, lekarza Grzegorza Wrony, który stwierdził, że aktualna wiedza medyczna to taka, którą ustala Izba Lekarska. Przyznam, że takie postawienie sprawy zwalnia mnie z zadawania innych pytań. Na przykład: Czy istnieje kraj na świecie, gdzie nie ma różnic między ustaleniami naukowców, gdzie nie toczy się dyskusja między ekspertami? Albo: Gdzie ma się odbywać medyczna debata naukowa? Czy w profesjonalnych periodykach medycznych, na konferencjach naukowych czy na sali izb lekarskich? Jeśli w izbach i przed sądami lekarskimi, to czy np. taki Grzegorz Wrona, spec od organizacji służby zdrowia bez tytułu naukowego, może ustalać, co jest aktualną wiedzą medyczną, na rozprawie, gdzie obwinionym jest profesor, autor kilkudziesięciu poważnych prac?

Takie pojmowanie sprawiedliwości w korporacji medyków to skrajna patologia. Ten chory system sam się nie uzdrowi. Konieczna jest interwencja z zewnątrz. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Rozważajcie ze mną!

Żeby nikomu nie umknęło: mistrzostwa świata w Katarze wygrał Polak o nazwisku Marciniak. Stop. Marciniak był sędzią głównym w finale między Argentyną i Francją. Stop. Sędziował wirtuozersko i to jemu właśnie światowe media przyznały zwycięstwo. Stop. Coś tam jeszcze było, że Messi i Argentyna, ale to didaskalia. Stop. Najważniejsze, że na fali triumfu Polaka trenerem polskiej reprezentacji pozostać chce bardzo Michniewicz Czesław. Stop. W Katarze aż nadto widać było, że nasza reprezentacja nie ma trenera. To może by się i ten Michniewicz przydał? Stop.

Kiedyś był taki dżingiel w „Trójce" – i zapadł mi w pamięć głęboko – jak taka pani nie z miasta emocjonalnie skarżyła się na sąsiadów, mówiąc: „Chodzo, bijo, wyzywajo". Stop. Bym teraz do tej sytuacji z Sikorskim Radkiem dodał: „Się czepiajo!". Stop. Portal, bynajmniej niepisowski, Politico nawiązał do afery w Parlamencie Europejskim i zapudłowania za korupcję socjalistki Evy Kaili. Stop. I tenże portal podał nazwiska polityków dorabiających „na boku" za „niewiadomoco". Stop. Na liście umieszczono Radosława Sikorskiego, który miał wziąć 40 tys. euro za tajemnicze konsultacje. Stop. Pewnie się teraz Radek konsultuje z prawnikiem. Stop. Prawnicy też tani nie są. Stop.

Znany i wszechpotężny do czasu producent hollywoodzki Harvey Weinstein ma nowe zmartwienie. Stop. Posiadając wiosen 70, odsiaduje wyrok 23 lat więzienia za nadużycia seksualne. Stop. Teraz na mocy nowego wyroku został uznany winnym gwałtu i grożą mu kolejne 24 lata odsiadki. Stop. Nie wiadomo, czy zgłoszą się nowe poszkodowane, ale przy okazji przypomniano wywiad pani Rosati, córki pana Rosatiego, która, owszem, znała się z panem Weinsteinem i sobie nawet chodzili po Warszawie. Stop. W wywiadzie owym aktorka poskarżyła się, że w Ameryce zmuszono ją do odegrania sceny rozbieranej. Stop. Scenę odbiuściła, owszem, ale się nie uśmiechała. Stop. Nie była jeszcze w tej sprawie u prokuratora. Stop.

W Norwegii taka jedna reżyserka Tonje Gievion napisała, że mężczyźni nie mogą być lesbijkami, i grożą jej trzy lata więzienia za mowę nienawiści. Stop. O nienawiść oskarża ją osoba, która urodziła się facetem, ale twierdzi, że jest kobietą i właśnie lesbijką. Stop. Za czasów mojej młodości, kochane dzieci, takie gadki traktowano jako straszne głupoty i leciutko je obśmiewano. Stop. Zrobił się jednak wielki galimatias i nie wiadomo, czy definicje gejów czy lesbijek w ogóle jeszcze istnieją. Stop. Hasło: „Wszyscy jesteśmy lesbijkami" będzie przedmiotem moich rozważań, gdyż zamierzam sobie wyrobić nowoczesne zdanie przed nowym rokiem. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Optymizm tanio sprzedam!

Małgośka, mówią mi, napisz coś optymistycznego, bo jak nie, to zabarykadujemy się przed nowym rokiem i zostaniemy w starym. Mijający rok ma tę przewagę, że przynajmniej podsyła oswojone nieszczęścia. Ja jednak należę do optymistów z tej prostej racji, że jest to postawa życiowa o wiele trudniejsza niż ta, którą Tyrmand obrazowo nazywał „dodupizmem". Optymizm ćwiczę regularnie, bo częste latanie samolotem sprzyja wypracowywaniu strategii unikania klęski.

Kardynalną zasadą pozytywnego myślenia jest więc po pierwsze: nie mieć żadnych złudzeń! Bądź radośnie nastawiony na najgorsze, a wszystko się uda! Wysiadasz o godz. 6 z taksówki na lotnisku i wtedy właśnie przychodzi SMS, że jednak lot jest opóźniony o parę godzin. Cudownie! Od razu masz mniej stresu, bo już nie musisz się martwić, co pójdzie nie tak. Już wiesz (!), więc kamień z serca. Im gorszy początek, tym lepiej dla ciebie, bo później będzie już tylko z górki! Możesz się więc odprężyć, ale uwaga – nie na tyle, żeby przestać nerwowo co trzy minuty badać, gdzie masz telefon, bilet i paszport. Stąd zasada numer dwa: pilnuj się, prowadź się po bożemu, żeby nie multiplikować pecha, który, jak wiadomo, lubi łazić parami. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, bo w życiu obowiązują te same zasady co na lotnisku. Po trzecie: żadnego przyciągania posępnych myśli. Gdy czekasz na wejście na pokład i myślisz: „Żeby tylko baba z tym rozpuszczonym bachorem nie siedziała obok mnie" – już masz gwarantowane, że wasze fotele spotkają się w środku. W wersji hard dzieciak będzie siedział za tobą i kopał w twój fotel, aż się zmęczy i zaśnie. Żadnego jednak żołądkowania się, pozostań kopanym w nerki optymistą, bo życie potrafi przydzielić gorszych współpasażerów (w trakcie urynoterapii lub porodu, obierających jajko, krztuszących się jajkiem, wymiotujących z powodu nerwów lub promili, dziennikarza „Wyborczej" chrapiącego na twym ramieniu).

Zasada numer cztery: zawsze miej w pogotowiu słuchawki i aplikację Spotify, aby móc się odciąć od nadawców, których nie da się wyłączyć. Muzyka naprawdę łagodzi obyczaje, mógłbyś przecież, przywiedziony do rozpaczy, pobić niektórych natrętów albo gawędziarzy, a po prostu higienicznie wylogowujesz się od nich. Zasada numer pięć: żadnych pretensji do pilota, żadnych dezyderatów do Opatrzności, nikt nie gwarantował, że obędzie się bez siniaków i potłuczeń. Grunt, że żyjemy! Jeśli więc wyjdziemy cało z tej podróży przez 2023 r., to będziemy mogli sobie zamaszyście pogratulować, czego Państwu i sobie życzę! ©℗

eprasa.pl 86d441b100

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zaproszenie do rozbiorów

Głównym kozłem ofiarnym jest dla nas Polska. Jeśli my i europejscy biurokraci będziemy potrzebować wspólnego wroga, to Polska będzie najlepszym kandydatem" – do takiego wniosku doszli uczeni rosyjscy na naradzie przygotowującej ideologię nowej fazy wojny Putina o panowanie nad Europą Wschodnią. Narada odbyła się i została opublikowana u progu 2020 r. w wydawanym przez administrację prezydenta Rosyjskiej Federacji prestiżowym czasopiśmie „Russia in Global Affairs".

Na tejże naradzie profesor uniwersytetu Sorosa w Budapeszcie (obecnie w Wiedniu), Aleksiej Miller, jako znany i ceniony w kręgu Putina specjalista ds. polskich, podsunął myśl, by II Rzeczpospolitą przedstawiać przede wszystkim jako centrum antysemityzmu, źródło Holokaustu. Prezydent Rosji wykorzystał te podpowiedzi w swym najobszerniejszym tekście poświęconym historii, który opublikował na użytek zachodnich odbiorców na łamach amerykańskiego kwartalnika „National Interest" w połowie 2020 r. Hitler okazał się w tym ujęciu tylko pomniejszym pomagierem sanacyjnej elity MSZ – właściwego inicjatora ludobójstwa Żydów. Jako receptę na wznawiającą się chorobę wschodnioeuropejskich małych, ale ludobójczych nacjonalizmów Putin proponował w zakończeniu swego wielkiego eseju („The Real Lessons of the 75th Anniversary of World War II") współpracę mocarstw, które powinny wspólnie przywrócić porządek światu. Potrzebna jest nowa Jałta.

Od momentu przejścia armii rosyjskiej do kolejnego etapu „operacji porządkowej" w naszej części świata nie ma chyba miesiąca, by prezydent Putin nie poruszył osobiście kwestii zagrożenia, które stanowi Polska. Tym razem chodzi już nie tylko o polski antysemityzm i rasizm, który piętnowany był skutecznie we współpracy z europejskimi mediami i politykami w czasie akcji nasyłania przez Putina i Łukaszenkę imigrantów z Bliskiego i Środkowego Wschodu, powstrzymywanych przez polskie służby graniczne. Teraz tematem numer jeden jest odnawiający się, drapieżny polski imperializm. Polska chce dokonać rozbioru Ukrainy – alarmują Ukraińców i Zachód rosyjscy politycy oraz eksperci. Tę właśnie kwestię długo rozważał prezydent Putin na specjalnej naradzie z Rosyjskim Towarzystwem Historycznym 4 listopada w Moskwie. Jak się ironicznie wyraził, stara „idejka" Polski od morza do morza powraca w Warszawie. Przy okazji wojny i „rzekomej pomocy" udzielanej Kijowowi polskie elity chcą w rzeczywistości odebrać Ukrainie ziemie, które II RP straciła w 1939 r. Tylko Rosja jest w tej sytuacji gwarantem ukraińskiej państwowości i suwerenności – stwierdził stanowczo Putin. Wtórował mu przewodniczący Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego, Siergiej Naryszkin. Ten nie ma co prawda żadnego wykształcenia historycznego (poza tym, które odebrał na uniwersytetach KGB), ale jest za to najwyższym rangą funkcjonariuszem służb specjalnych, szefem Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR). I w tej podwójnej roli – historyka wywiadowcy – Naryszkin potwierdził 7 grudnia, że prezydent Polski Andrzej Duda wydał już polecenie podległym sobie służbom, by przygotowały uzasadnienie aneksji obwodów lwowskiego, wołyńskiego, iwanofrankiwskiego i tarnopolskiego. Weteran KGB zapewnił, że trwają już pełną parą przygotowania do pseudoreferendum, w którym mieszkańcy tych obwodów zatwierdzą polską aneksję…

Nader konkretna wypowiedź Naryszkina była rozwinięciem zdania, które dzień wcześniej Putin sformułował na spotkaniu z członkami swojej Rady Praw Człowieka: „Nacjonalistyczne elementy w Polsce […] chcą odzyskać tzw. swoje historyczne terytoria". Pod pozorem pomocy Ukrainie szykują jej rozbiór. Przejście Polski do polityki zaboru ziem ukraińskich ogłosił również autorytatywnie sekretarz Rady Bezpieczeństwa RF, Nikołaj Patruszew.

Nie tylko on, Naryszkin czy inni „historycy" rozwijają egzegezę przestróg Putina przed polskim imperializmem. Obszernie skomentował je m.in. członek Komitetu Dumy ds. Oświecenia, Anatolij Wasserman: Polska chce wrócić do roli kolonizatora na Ukrainie, odnawiając najgorsze tradycje europejskiego kolonializmu. Kropkę nad i stawia senator Władimir Dżabarow, również absolwent wyższej szkoły KGB, a obecnie wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Rady Federacji: „Były już trzy rozbiory Polski. Jak Polacy będą tak dalej postępować [rozwijając swój kolonializm kosztem Ukrainy], to nie wykluczam, że nastąpi czwarty rozbiór, którego mogą już nie przetrzymać".

Coś trzeba zrobić z tą imperialistyczną Polską! To wezwanie jest adresowane do Rosjan, do Polaków (wśród których Moskwa poszukuje kandydatów do nowego Związku Patriotów Polskich), a także do zachodnich odbiorców. Dziś, inaczej niż w 2020 r., jakby nieco mniej liczą w Moskwie na amerykańskich „realistów". Zwracają się raczej ku starym, wypróbowanym gwarantom „suwerennego porządku" w Europie: w Berlinie i Paryżu. Tak właśnie, z życzliwą nadzieją, skomentował syzyfowe wysiłki prezydenta Macrona i kanclerza Scholza, by zaspokoić potrzebę bezpieczeństwa Rosji, wiceprzewodniczący Rady Federacji RF, Konstantin Kosaczew: „We Francji i w Niemczech wraca instynkt samozachowawczy". Rosja przestrzega przed polskimi zaborcami i jest gotowa ich poskromić – wspólnie z europejskimi partnerami. ©℗

eprasa.pl 86d441b100

GOŁODUPCEW

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mam Chrześniaków, czyli ponoszę odpowiedzialność za część wychowania. Ich matką jest niejaka Szwagierka, co zwiększa moją odpowiedzialność za Chrześniaków, bo muszę nadrabiać i prostować oraz lawirować pomiędzy minami wychowawczymi, które ona pozostawia. Szwagierka ma wad pod dostatkiem, natomiast o zaletach trudno mi mówić, gdyż na razie żadnej nie znalazłem. Matka moich Chrześniaków jest przedziwna – zielony moher. Ja też jestem moher (w języku lewicy: katolicka odmiana taliba). Szwagierka też, ale ona jest do tego zielona, czyli eko. Aktywistka jakiejś ekoorganizacji. Nie wiem, jak ona to łączy, ale łączy i jest autentycznym szczerym moherem zielonym.

W tej sytuacji co jakiś czas odbywam z Chrześniakami pogadanki na tematy ważne, czyli prowadzę coś w rodzaju życiowych korepetycji. Posłuchajcie…

Zadałem Chrześniakom pytanie, czy odróżniają kradzież od rabunku.

Odróżniają – kradzież odbywa się po kryjomu, czyli bez wiedzy osoby okradanej, i jest w tym sensie „pokojowa", że nikt nikomu nie grozi maczetą. Z kolei rabunek to kradzież bezczelna, która odbywa się na oczach osoby okradanej i jest związana z przemocą. Robin Hood zatrzymuje kogoś w lesie i zabiera sakiewki na oczach osoby okradanej. Za rabunek powinna więc być kara większa niż za zwykłą kradzież (np. kieszonkową), nawet jeżeli ukradziona kwota jest identyczna.

Potem zadałem Chrześniakom pytanie, czym jest wymuszenie. To też wiedzieli, bo mieli o tym lekcję z policjantem – wymuszenie jest wtedy, gdy ktoś zmusza cię do czegoś, czego zrobić nie chcesz, i w tym przypadku może chodzić o pieniądze, choć wcale nie musi. Czyli młody bandzior w szkole może wymuszać na słabszych kolegach, by mu przynosili z domu kanapki, papierosy lub po prostu forsę.

– A co to jest haracz?

– Haracz jest wtedy, Stryjaszku, gdy jakaś banda przychodzi i zmusza cię, żebyś im odpalał dolę z tego, co zarobisz, bo jak nie, to zarobisz w ryj lub kulkę – odpowiedzieli Chrześniacy.

Skoro Chrześniacy wiedzieli wszystko, co powyżej, zadałem im pytanie wymagające przemyśleń, a nie tylko wiedzy: Czym się różni rabunek od podatków? Wskaż trzy różnice. Odpowiedzieli prawidłowo, że niczym. Bo jeżeli nie zapłacisz podatków, to i tak przyjdą i ci zabiorą na twoich oczach, czyli obrabują w biały dzień.

A czym się różnią podatki od wymuszenia?

Niczym. Wszyscy płacą podatki, dlatego że są do tego zmuszani i się ich straszy konsekwencjami.

A od haraczu czym się różnią?

Niczym, bo jakaś banda sama ustala, jaki procent masz im odpalać od tego, co zarobiłeś.

Doszliśmy wspólnie do wniosku, że podatki są zjawiskiem niemoralnym, że to zabór mienia, przemoc i ogólnie granda. Małe dzieci, niedługo po Pierwszej Komunii Świętej, więc mają wciąż jeszcze w głowach poukładane po bożemu. Dziesięć przykazań znają na pamięć i rozumieją, czym jest kradzież oraz że kradzież jest złem, niezależnie od tego, jak ją nazwiemy, i niezależnie od tego, czy złodziejem jest Rysiek z osiedla czy urząd podatkowy.

***

Kiedyś myślałem, że najlepszym podatkiem byłaby dziesięcina. Bo łatwo się liczy i jest na tyle niewielka, że wszyscy chętnie zapłacą. Dziesięcina od dochodu niezależnie od tego, czy to dochody prywatne czy dochód przedsiębiorstwa, czy z giełdy, czy jakikolwiek. Dziesięcina i na tym koniec – jeden podatek w państwie, a nie piętrowo kilka: dochodowy i VAT, i akcyza, i ZUS, i składka zdrowotna…

Po rozmowie z Chrześniakami zmieniłem zdanie – jedyną chrześcijańską formą podatku byłby podatek dobrowolny. Każdy płaci tyle, ile uznaje za stosowne w sytuacji swojej osobistej oraz swojego państwa.

– Chłopaki, ale to nie będzie działać – mówię do Chrześniaków. – Nikt nie zapłaci i państwo się rozpadnie.

– Nieprawda, Stryjaszku. Podatek dobrowolny istnieje w Kościele. Jedni dają więcej, inni miej i Kościół nie pada. A przecież Kościół to coś jak państwo w państwie lub międzynarodowa korporacja, lub oba naraz.

Mieli rację. W dodatku rząd, zabiegając o podatek dobrowolny, musiałby się porządnie starać, by nie upaść. Konferencje prasowe premiera musiałyby być wreszcie skierowane do narodu, a nie do pismaków. Premier musiałby bronić budżetu przed narodem i przekonywać do dobrowolnej zrzutki na konkretne precyzyjnie określone cele. W dodatku naród musiałby te cele uznać za ważne i przydatne. Czyli premier musiałby działać jak mój proboszcz w USA, który rok temu zgłosił budżet na rok 2022, bo chciał to i tamto wyremontować i dokupić złocone kandelabry na ołtarz. Ogłosił swoje plany parafianom i ich przekonał. Zrzucili się dobrowolnie. Państwem nie da się tak kierować?

A dlaczego się nie da? Podaj trzy różnice.

***

Meksyk przez całe dziesięciolecia nie zawracał sobie głowy zbieraniem podatków od obywateli – za dużo niepotrzebnej roboty. Państwo utrzymywało się z dwóch monopoli wydobywczych – na ropę i na srebro (Meksyk był największym dostarczycielem srebra dla przemysłu fotograficznego i filmowego w czasach, gdy jeszcze cały świat stosował kliszę światłoczułą). Kilka krajów arabskich utrzymuje się wyłącznie z monopolu na ropę i nie pobiera od obywateli podatków, a nawet dopłaca. Podobnie stan Alaska – ma takie dochody z udzielania licencji na wydobycie ropy i gazu, że swoim obywatelom wypłaca dywidendę, a nie zbiera podatków.

***

Tamtego popołudnia zadałem też Chrześniakom pytanie, czy wiedzą, kto to gołodupcew. Wiedzieli – facet bez forsy. Pogadaliśmy i doszliśmy do wniosków następujących:

Gołodupcew nie powinien rządzić krajem, a jedynie ktoś bogaty. Ktoś, kto się dorobił. Ktoś, kto ma dużo do stracenia, gdyby państwo zaczęło podupadać. Ktoś, komu się z powodu piastowania urzędu sytuacja finansowa pogorszy, a nie poprawi. Ktoś, kto jest spełniony, bo już swoje w życiu osiągnął, a nie idzie do polityki, by zaistnieć.

Żaden przywódca III RP nie spełniał tych kryteriów – same gołodupce, które się dorabiały na polityce, a nie wcześniej (Wałęsa był chyba najbogatszy, gdy wchodził do polityki, ale on się niczego nie dorobił – dostał dużo forsy z Nagrody Nobla i tyle). ©℗

eprasa.pl 86d441b100

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER: „ZAPOMNIANE KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1197 ZŁ~~

367,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 830 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 86d441b100

OD 1 STYCZNIA 2023 ROKU, DZIĘKI RZĄDOWEMU WSPARCIU, PGNiG OBRÓT DETALICZNY Z GRUPY ORLEN UTRZYMA CENĘ GAZU DLA GOSPODARSTW DOMOWYCH I PODMIOTÓW WRAŻLIWYCH NA POZIOMIE 200,17 ZŁ/MWh!

POLACY CHRONIENI, MIMO KRYZYSU GAZOWEGO

Od 1 stycznia 2023 roku, gospodarstwa domowe będące Klientami PGNiG Obrót Detaliczny, skorzystają z zamrożonych cen gazu na poziomie z 2022 roku. Jest to możliwe dzięki wprowadzonej przez rząd ochronie w związku z trwającym w Europie kryzysem energetycznym. Obejmie ona także, analogicznie do 2022 roku, liczną grupę podmiotów wrażliwych.

Nieprzewidywalne wydarzenia na rynkach energetycznych zapoczątkowane w drugiej połowie 2021 roku nasiliły się w roku 2022. Inwazja Rosji na Ukrainę i wahania cen surowców na światowych giełdach spowodowały, że ceny gazu osiągnęły historycznie wysokie ceny – nawet 15 razy większe niż w 2021 roku!

Mimo to, gospodarstwa domowe będące Klientami PGNiG Obrót Detaliczny oraz tysiące podmiotów wrażliwych, **takich jak szkoły, szpitale, żłobki czy Ochotnicze Straże Pożarne**, nie zostały dotknięte drastycznymi podwyżkami rachunków za gaz. Było to możliwe m.in. dzięki wartym 10 mld złotych rządowym rekompensatom dla firm sprzedających gaz tym odbiorcom.

Również w 2023 roku Klienci PGNiG Obrót Detaliczny nie muszą obawiać się radykalnego wzrostu rachunków – rządowa ochrona została wydłużona, dzięki czemu zostanie zamrożona cena gazu na poziomie 200,17 zł/MWh dla gospodarstw domowych oraz podmiotów społecznie wrażliwych.

Materiał informacyjny
PGNiG Obrót Detaliczny z Grupy ORLEN

eprasa.pl 86d441b100